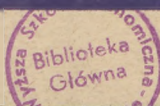


W obronie POKOJU

Nr 17



LISTOPAD 1952

Cena zł 1.80

KONGRES NARODÓW W OBRONIE POKOJU

FRYDERYK JOLIOT-CURIE – PIERRE COT

NEEDHAM: O WOJNIE BAKTERIOLOGICZNEJ

MŪLK RAJ ANAND – CZAO SZU - LI

ROGER VAILLAND – GORDON SCHAFER

WOJNA W VIETNAMIE

PROF. MŁYNARSKI – P. JASIENICA

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 724-90

Sekretarz Redakcji 721-10

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wilejska 12, tel. 752-50

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 5.40 zł

półrocznie — 10.80 zł

rocznie — 21.60 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują najbliższe placówki PPK „Ruch”, poczty i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, al. Jerozolimskie 125

**Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”,
Warszawa, ul. Poznańska 38**

Konto PKO I-5569/III tel. 758-85.

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W obronie pokoju”.

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE GOTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR) *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LÉON KRUCZKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argent.) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

MOBILIZACJA SIŁY POKOJU

PIERRE COT

ZALEDWIE miesiąc dzieli nas od daty otwarcia Kongresu Narodów w Wiedniu. Każdy z nas powinien poświęcić ten krótki okres przygotowań do tego ważnego wydarzenia. Od naszego wysiłku zależy jego powodzenie — od jego powodzenia zależy inuę, jakie zdobędzie sobie na całym świecie Ruch Obrońców Pokoju.

*

O CO idzie? Czy o zwołanie do Wiednia Trzeciego Kongresu Ruchu Pokoju? O powtórzenie Kongresu Warszawskiego? W żadnym razie.

Kongres Wiedeński organizowany jest przez Ruch Obrońców Pokoju; lecz będzie on Kongresem Narodów.

Znaczy to, że kobiety i mężczyźni różnych narodowości, ras i poglądów — a nie tylko bojownicy Ruchu Obrońców Pokoju — przybędą do Wiednia, aby dać wyraz swojej woli przeciwstawienia się grożącej światu wojnie, aby dać wyraz woli pokojowego współistnienia różnych państw i różnych ustrojów politycznych.

*

LO co zwoływać Kongres Narodów? Dlatego, mówiąc językiem potocznym, że to już nie może dłużej trwać! Trzeba odwrócić bieg wydarzeń.

To nie może dłużej trwać! Świat znalazł się na drodze, która prowadzi do katastrofy. Codziennie w Korei, Wietnamie i wielu innych krajach morduje się kobiety, mężczyźni, dzieci, jeńców wojennych; padają bomby napalmowe i bakteriologiczne. W warunkach zimnej wojny, wyścigu zbrojeń i ograniczania wymiany między Wschodem a Zachodem, chwieje się gospodarka wielu krajów, mnożą się trudności ekonomiczne i społeczne. Przede wszystkim zaś nieustannie wzrasta napięcie międzynarodowe, wszystkie problemy komplikują się i jeżeli nikt nie ugasi płonącego lontu, to beczka z prochem musi wybuchnąć.

TRZEBA odwrócić bieg wydarzeń! Do chwili obecnej dyplomaci i politycy nie potrafili tego zrobić. Niewątpliwie wysiłki ich — a raczej wysiłki niektórych z nich — nie pozostały bez rezultatu. Jeden tylko przykład: godna podziwu cierpliwość dyplomatów chińskich pozwoliła uniknąć wybuchu konfliktu azjatyckiego.

Ale zapała wznieśiona przeciw wojnie jest krucha i w każdej chwili może być obalona.

Jeżeli politycy i dyplomaci nie potrafili zapewnić narodom pokoju, powinny one same zabrać się do tej wielkiej sprawy. W wypadku wojny właśnie narody cierpią i właśnie od narodów, od ich cierpień, ich wytrzymałości na cierpienia, zależy ostateczny wynik. Dla uniknięcia wojny interwencja narodów jest niemniej konieczna.

Doświadczenie pokazało praktyczną wartość tej interwencji. Jeżeli dotychczas nie użyto broni atomowej w toczących się obecnie wojnach, to stało się tak przede wszystkim dlatego, że setki milionów prostych ludzi ze wszystkich krajów zgodziły się uczynić jeden maleńki gest: podpisać *Apel Sztokholmski*.

Jeżeli jutro setki milionów kobiet i mężczyzn dadzą wyraz temu, że wybierają porozumienie zamiast wojny, że wołają pokojowe współistnienie od narzucania przemocą prawa silniejszego, musi się to przyczynić do zmniejszenia napięcia międzynarodowego i do ułatwienia pracy najlepszych spośród dyplomatów.

Niedawno w Pradze Erenburg powiedział do kilku przyjaciół: „Historia zna już jeden Kongres Wiedeński, ale to był kongres dyplomatów. Nowy Kongres, który odbędzie się w Wiedniu, będzie Kongresem Narodów“.

*

ABY ten Kongres był rzeczywiście Kongresem Narodów, trzeba, aby każdy mógł wziąć w nim udział osobiście lub przez swoich delegatów. Wszystkie ruchy masowe, wszystkie organizacje — związkowe, religijne, polityczne czy inne — będą mogły delegować swoich przedstawicieli do Wiednia. Wyciągamy braterską dłoń do wszystkich tych, którzy uczciwie pragną pracować dla pokoju — wyjąwszy oczywiście kombinatorów łowiących ryby w mętnej wodzie i prowokatorów.

Jeżeli pośród tej ogromnej liczby kobiet i mężczyzn dobrej woli znajdą się tacy, którzy w jednej czy wielu sprawach nie zgadzają się z hasłami Ruchu Obrońców Pokoju — na przykład z koniecznością przzerwania toczących się wojen, z potępieniem wojny bakteriologicznej, ze sprzeciwem wobec remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, z tym, że wolimy porozumienie międzynarodowe i Pakt Pokoju od wyścigu zbrojeń, z koniecznością rozwoju międzynarodowej wymiany gospodarczej bez dyskryminacji politycznej — będą oni mogli z całą swobodą wyrazić na Kongresie Narodów swój punkt widzenia, przedstawić

swoje wnioski i zastrzeżenia w stosunku do tych i innych punktów porządku dziennego.

W ten właśnie sposób powstaną kontakty i rozwiną się formy współpracy, nieodzowne dla obrony pokoju przez same narody.

ABY osiągnąć powodzenie w tym przedsięwzięciu należy poświęcić wiele troski jego przygotowaniu. We wszystkich krajach, w miastach i na wsi, we wszystkich odłamach opinii publicznej musimy przeprowadzić mobilizację rezerw i sił pokoju.

Gdyby ci wszyscy, którzy szczerze pragną pokoju, przybyli na Kongres lub przystali nań swoich delegatów, siła Ruchu Pokoju wzmogłaby się na tyle, że obaliby wszystkie przeszkody. Nie mamy, przynajmniej na razie, tak wielkich ambicji. Ale od nas zależy, czy Kongres Narodów przyczyni się do obniżenia temperatury międzynarodowej. Od nas zależy, czy tendencja wojny i beznadziejności zostanie zastąpiona wolą porozumienia i nadzieją na współpracę międzynarodową.

Pokój, tak jak i wojna, nie jest tylko sprawą specjalistów. Ponieważ wojna zagraża nam wszystkim, pokój jest sprawą każdego z nas.

Każdemu z nas Kongres Narodów pozwoli zrozumieć jego zadania i obowiązki. Jeżeli głosy, które zabrzmiały z trybuny wiedeńskiej będą dosyć liczne i potężne, to dźwięk ich przeniknie do wszystkich krajów świata — i wówczas historia ludzkości będzie mogła stać się historią pokoju.



Przed kongresem **NARODÓW** **NASZ WSPÓLNY CEL**

FRYDERYK JOLIOT-CURIE

W WIEDNIU odbędzie się w ciągu grudnia br. wielki Kongres Narodów w Obronie Pokoju. Kongres ten dostępny będzie dla wszystkich ruchów i dla wszystkich ludzi, którzy, niezależnie od przekonań politycznych lub religijnych, szczerze pragną znaleźć drogę do odprężenia międzynarodowego. Trwające obecnie na całym świecie przygotowania do Kongresu przybrały wyjątkowy zasięg. Przygotowania te, które mają doprowadzić do wyznaczenia delegatów na Kongres, stanowią dla każdego sposobność poważnej pracy wyjaśniania i analizowania niepokojących problemów doby obecnej.

Nie ulega wątpliwości, że w czasie licznych zebrań z okazji przygotowań do Kongresu wyłonią się nowe punkty widzenia i nowe rozwiązania. Znaczenie oczekiwanych rezultatów zależeć będzie od jak najszerzego i swobodnego udziału milionów mężczyzn i kobiet, którzy dotąd pozostawali na uboczu akcji w obronie pokoju, lub którzy pod wpływem propagandy odnosili się z rezerwą do inicjatywy i akcji narodowych ruchów pokoju czy Światowej Rady Pokoju.

Jedynym celem Kongresu Narodów jest zgromadzenie wszystkich ludzi ożywionych szczerą wolą pokoju w celu uniknięcia nowego i strasznego konfliktu.

KONGRES Narodów nie może stać się trybuną dyskusowania nad zalecaniami poszczególnych ustrojów. Będzie on trybuną, skąd z całą swobodą mężczyźni i kobiety, żyjący w różny sposób, wyznający rozmaite ideologie, wspólnie szukać będą najskuteczniejszego rozwiązania dla osiągnięcia odprężenia międzynarodowego.

W chwili, gdy w Azji toczą się wojny, w chwili, gdy stajemy wobec sytuacji zagrażającej tak poważnie wybuchem wojny światowej, trzeba, aby niezależnie od różnic poglądów wszyscy uczciwi ludzie, którzy chcą położyć kres tym wojnom, położyć kres groźbie wojny światowej, którzy chcą żyć z myślą o polepszeniu warunków egzystencji, którzy chcą być szczęśliwi, wspólnie znaleźli rozwiązanie dla utrwalenia pokoju i spowodowali realizację tego rozwiązania.

Tylko wspólna praca może osiągnąć wspólny cel, jakim jest pokój w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Ważne jest, aby przedstawiciele wszystkich narodów świata wzięli liczny udział w tym Kongresie, aby wypowiedzieli się z całą swobodą i szczerością, gdyż trzeba położyć kres tym wojnom, trzeba położyć kres „zimnej wojnie“, która posługując się propagandą i oszczerstwem tworzy sprzyjające warunki dla wybuchu strasznego konfliktu światowego.

Możemy być przeświadczeni, że takie spotkanie narodów w olbrzymim stopniu pomoże do uzyskania odprężenia międzynarodowego i utrwalenia pokoju.

Trzeba aby narody, a w szczególności naród amerykański, narażony na skutki rozszalałej propagandy,

która coraz bardziej izoluje go od rzeczywistej sytuacji na świecie, wysłał licznych przedstawicieli na ten Kongres.

Zwłaszcza naród amerykański, który dał dowód tyłu swych zdolności i którego wspaniała praca produkcyjna może być tak pożyteczna dla świata, winien poprzez obecność licznych delegatów ukazać swe prawdziwe oblicze, pokazać obraz swych uczonych oddanych pracom dla dobra ludzkości, swych pisarzy i swych robotników.

Wiem, że mówi się narodowi amerykańskiemu, iż jego bezpieczeństwo, sposób życia, który kocha i który ma prawo kochać, są zagrożone i że to samo dzieje się gdzie indziej w odniesieniu do wielu innych narodów.

Rzekomo w obronie wolności, ludzkości, postępu społecznego itp. żąda się od tego narodu ciężkich ofiar pieniężnych i pracy, a nawet życia jego młodzieży.

Każę mu się wierzyć, że inne narody na świecie nastawione są wrogo lub odnoszą się z nienawiścią do niego, co jest nieprawdą.

NAROD amerykański dowiaduje się z opowiadań i listów żołnierzy, urzędników, kupców i turystów, którzy wracają do Stanów Zjednoczonych przebywszy czas jakiś w krajach podlegających wpływom amerykańskim, że narody tych krajów nie czują dla niego żadnej wdzięczności i jest tym bardzo dotknięty. Ale naród amerykański powinien wiedzieć, że to, co jak mu się zdaje, jest amerykańską pomocą, rodzi tam, gdzie jej się udziela, reakcję społeczną, zubożenie, utratę niepodległości narodowej i prześladowanie patriotów.

Jakże naród amerykański może pogodzić głoszone zasady wolności, ludzkości i postępu społecznego z faktem, że gdziekolwiek działa to, co, jak mu się zdaje, jest pomocą amerykańską, dochodzą do władzy rządy wrogie postępowi społecznemu, wolności i uczciwości?

Jakże pogodzić te zasady z faktem umieszczenia na Formozie Czang Ka-szeka, w Korei Li Syn-mana, w Indochinach Bao-Dai?

Jak pogodzić te zasady z faktem ułaskawiania hitlerowskich zbrodniarzy wojennych?

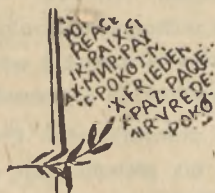
Dlaczego pomoc amerykańska popiera to wszystko, co jest najbardziej skorumpowane i zacofane na świecie?

Taka ocena wypływa ze wszystkich opinii, ze wszystkich warstw społecznych krajów, którym naród amerykański, jak mu się zdaje, pomaga. Cóż dziwnego, że narody tych krajów pragną końca takiej polityki?

Cóż dziwnego, że dają temu wyraz w szczególności przy pomocy napisów na murach i na szosach, napisów domagających się od Amerykanów, aby wrócili do siebie? Napisy te nie oznaczają żadnej nienawiści do narodu amerykańskiego, ale wrogość wobec określonej polityki.

KONGRES Narodów, dając wielkiej liczbie obywateli amerykańskich, delegowanych przez mężczyzn i kobiety, przez organizacje miłujące pokój, sposobność do spotkania się z innymi przedstawicielami narodów, przyczyni się do wzajemnego zrozumienia.

Pokaże on narodowi Stanów Zjednoczonych charakter prawdziwych uczuć narodów innych krajów. Pokaże on tym narodom inne oblicze wielkiego narodu, jakim są Amerykanie, oblicze licznych obywateli, którzy odważnie walczą w tym kraju w celu uświadomienia swych współobywateli.



Wolna TRYBUNA LUDZI DOBREJ WOLI

W ciągu grudnia br. odbędzie się w Wiedniu Kongres Narodów, na którym przedstawiciele wszystkich przeko-
nań i wszystkich krajów skonfrontują swe poglądy na
sprawę obrony pokoju.

Rokowania dyplomatyczne, toczące się obecnie na temat zagadnień dzielących świat, nie mogą doprowadzić do przywrócenia klimatu międzynarodowego odprężenia. Niebezpieczeństwo wzrasta z każdym dniem. Coraz więcej ludzi odczuwa potrzebę osobistej interwencji w celu wysunięcia własnego rozwiązania sprawy pokoju. Stąd nadanie Kongresowi w Wiedniu nazwy Kongresu Narodów. Uprawnieni przedstawiciele wszystkich narodów, wszystkich wyznań i poglądów mogą, jeśli zechcą, skonfrontować swoje idee, by potem połączyć swe głosy — zaważyć wielkim ciężarem na rokowaniach międzynarodowych i przyszłości świata.

Nasze pismo pragnie uczestniczyć w tym swobodnym dialogu, którego potrzeba tak głęboko daje się odczuć; dialogu między wszystkimi ludźmi dobrej woli.

W jakich punktach możliwe jest porozumienie?

Oto ogólny cel tej ankiety, którą dziś'aj rozpoczynamy.

Prof. Jacques Madaule

PROFESOR i historyk, Jacques Madaule jest członkiem francuskiej partii M. R. P. Ostatnio bawił w Związku Radzieckim jako członek delegacji francuskiej.

NAJLEPSZĄ pracą, jaką należałoby i którą trzeba przedsięwziąć, jest rozproszenie nieufności, ponieważ jej skutki mogą wciągnąć świat do wojny.

Dlatego, moim zdaniem, przyjmując stanowisko „neutralizmu” — ponad klótniami — narody europejskie wraz z innymi narodami nieeuropejskimi, jak Indie premiera Nehru, mogłyby i powinny prowadzić konstruktywną pracę dla pokoju.

Uważam również, że należałoby jak najbardziej rozszerzyć ruchy pokoju, wzywając do zainteresowania się nimi lub do współpracy z nimi wszystkie istniejące organizacje pokojowe.

— *Taki jest właśnie cel Światowego Ruchu Pokoju, który nawiązuje kontakty ze wszystkimi rodzajami organizacji pokojowych, jak np. Kwakrzy, Mondialiści i wiele innych. W szczególności Światowy Ruch Pokoju wzywa przedstawicieli wszystkich tych organizacji, które mają te same cele co on, do uczestnictwa w Kongresie Narodów. I nie tylko przedstawicieli organizacji, ale przedstawicieli wszystkich kół, które pragną zakończenia tego niebezpiecznego napięcia między narodowego.*

— Ten Kongres, to wspaniała rzecz. Jestem przeświadczony, że żadna z palących kwestii doby dzisiejszej nie może być rozwiązana bez czegoś w rodzaju ogólnej konferencji między czterema wielkimi mocarstwami, lub raczej pięcioma (bowiem nieobecność

Chin byłaby absurdem), gdzie dzisiejsi przeciwnicy rozmawialiby ze sobą z całą szczerością. Można się porozumieć pod warunkiem, że się pragnie, aby oba ustroje, które dzisiaj dzielą świat między sobą, mogły współistnieć. Jeśli rozpoczniemy wojnę — będziemy zgubieni. Jeżeli Kongres ten dopomoże do realizacji tej woli porozumienia, będzie ogromnie pożyteczny.

— *Co Pan sądzi o remilitaryzacji Niemiec?*

— Remilitaryzując Niemcy, przyczyniamy się do stworzenia sytuacji koreańskiej w samym sercu Europy. Opóźniamy w nieskończoność zjednoczenie Niemiec, którego pragnienie, w co nie można wątpić, ożywia serca wszystkich Niemców. Nadajemy sojuszwowi atlantyckiemu, czy tego chcemy, czy nie, charakter agresywny, narażamy się na niebezpieczeństwo, że odrodzone armie niemieckie służyć będą do podboju dawnych wschodnich granic Niemiec, co musi doprowadzić do wojny. Przejeżdżałem przez Polskę. Wystarczy kilka godzin, aby się zorientować, że ziemię na wschód od granicy Odra — Nysa stały się prawdziwie polskie i zamieszkałe są przez Polaków. Jest to rzecz absolutnie ustalona i niezaprzeczalna.

— *Wróćmy jeszcze do wpływu, jaki może wywrzeć na przyszłe wydarzenia Kongres w Wiedniu.*

— Amerykanie nie mogą iść do walki bez swych zachodnich sprzymierzeń-

ców. Dzielępy bardzo dobrze wykazał w swej ostatniej książce: „*Wojna nie wybuchnie jutro*” ten wpływ opinii Zachodu, który podczas wojny koreańskiej doprowadził do odwołania Mac Arthura.

Postawa wielkich krajów zachodnich, jak Anglii i Francji, ma zatem duże znaczenie. Ogólnie biorąc, wpływ opinii publicznej odgrywa wielką rolę, jak ją już odegrał jeżeli chodzi o używanie bomby atomowej.

— *Co, Pana zdaniem, winien uchwalić Kongres w Wiedniu aby pomóc skutecznie w odręczeniu międzynarodowym?*

— Przede wszystkim on sam, samym swym składem, winien dać dowód pokojowej woli narodów. I myślę, że wśród powziętych rezolucji dwie byłyby szczególnie pożyteczne.

Pierwsza — w sprawie konieczności zwołania konferencji pięciu mocarstw dla uregulowania głównych kwestii aktualnych i ewentualnie następnie kwestii rozbrojenia.

Druga — w sprawie konieczności podjęcia i wzmożenia wszelkiego rodzaju wymiany między krajami Zachodu i Wschodu.

G. M.

Alfredo Occhiuto

honorowy prokurator generalny Sądu Kasacyjnego w Rzymie

WYBITNY adwokat sądowy w Rzymie, Alfredo Occhiuto, jest jedną z wielkich postaci sądownictwa i prawa włoskiego. W 1925 r. został zdymisjonowany przez Mussoliniego, kiedy jako sędzia w procesie o zabójstwo Matteotiego prowadził surowe dochodzenie dla wykrycia winnych. Po wyzwoleniu powrócił na swe wysokie stanowisko.

WYPOWIEDŹ Occhiuto w sprawie inicjatywy Światowej Rady Pokoju zwołania Kongresu Narodów w Wiedniu jest jasna i mocna:

— Obecna sytuacja międzynarodowa w pełni usprawiedliwia to wielkie spotkanie między ludźmi wszystkich krajów i wszystkich kierunków. Myślę, że inicjatywa ta będzie mogła przynieść dobre rezultaty. Nie należy niczego zaniedbywać dla zapewnienia pokoju.

Przedkładał mu różne wnioski Światowej Rady i proszę, aby określił mi swe stanowisko. Occhiuto rozpoczął od zasadniczego oświadczenia:

— Jako liberał i demokratę sądzę, że wszyscy ludzie winni znaleźć w so-

bie samych, w swym sumieniu, w miłości dla bliźnich potrzebną siłę, dla takiego postępowania, by ich działalność nie sprawiała materialnej i moralnej szkody innym ludziom. Toteż całkowicie sprzeciwiam się wszelkiemu gwałtowi i wszelkiej dyktaturze i dlatego całkowicie sprzeciwiam się wojnie, która jest najbardziej brutalnym gwałtem i która popiera dyktatury, zadające śmiertelne ciosy życiu gospodarczemu, swobodom cywilnym i postępowi zarówno u zwyciężonych jak i u zwycięzców.

Rozbieżności między narodami winny być rozwiązywane w myśl interesów i woli mas ludowych, nie siłą, ale przy pomocy badania, dyskusji i ukiadu po-

kojowego między rządami i rzeczoznawcami. Łatwo przestąpić krok od wojny zimnej do wojny gorącej. *Casus belli* może powstać nawet, jeśli się go nie szuka i ludzkość wciągnąca by została po raz trzeci w okropności konfliktu światowego.

Oto dlaczego zdecydowanie popieram wszelką inicjatywę, zmierzającą do odparcia bardzo realnego dzisiaj niebezpieczeństwa. Uważam, że wszyscy ludzie dobrej woli, niezależnie od ich przekonań politycznych, bez różnicy rasy, koloru skóry, lub wyznania, mają obowiązek poświęcić się sprawie zachowania pokoju.

— *Co Pan sądzi o polityce zbrojeń, w szczególności w odniesieniu do życia gospodarczego narodu, nędzy ludności i niebezpieczeństwa, jakim polityka ta zagraża pokojowi? Czy opowiada się Pan za konferencją pięciu wielkich mocarstw w sprawie stopniowej i jednoczesnej redukcji zbrojeń i zakazu broni masowej zagłady?*

— Spotkanie między pięcioma wielkimi mocarstwami i zawarcie takiej konwencji jest pilną koniecznością. Pięniądze wydane na zbrojenia — to zużycie całego świata. To godne pożałowania marnotrawstwo w każdym znaczeniu. Nie ma zresztą potrzeby wyrażania mojej nienawiści do broni masowej zagłady, broni atomowej, bakteriologicznej itp., której użycie stanowi zbrodnię przeciw ludzkości, zrozumiałe, że trzeba nieco dobrej woli i wzajemnego zaufania, bez czego wszystkie konferencje są tylko stratą czasu. W związku z tym trzeba położyć kres kampaniom, mającym na celu sianie nieufności, urazy i nienawiści ideologicznej między jednym narodem, a drugim. W pewnych momentach trzeba

również potrafić nucić zaufanie. Myślę, że można dojść do porozumienia, ale trzeba tego chcieć, przede wszystkim chcieć.

Poruszamy obecnie problem niemiecki.

— *Jaką drogą należy iść, Pana zdaniem, dla osiągnięcia pokojowego i trwałego rozwiązania? Czy uważa Pan za możliwą i pożądaną konferencję między pięcioma wielkimi mocarstwami?*

— Tutaj znowu, odpowiada Occhiuto, mamy do czynienia z kwestią szczerości i wzajemnej dobrej woli. Niezbędne wydaje mi się porozumienie pokojowe. Nierozwiązanie bowiem problemu niemieckiego stanowi naprawdę jedno z najpoważniejszych niebezpieczeństw dla pokoju. Jest to punkt nieustannych starć między Wschodem i Zachodem, które winny jednak znaleźć drogę pokojowego współistnienia.

— *Co Pan sądzi o remilitaryzacji Niemiec?*

— Jest to błąd, akt niemoralny i poważne niebezpieczeństwo na przyszłość. Niemiecki militarizm i hitleryzm w swej najgorszej postaci podnoszą głowę. W Niemczech zachodnich zbrodniarze wojenni są znowu na wolności. Oddać broń tym ludziom, nawet w hipotetycznej, bardzo hipotetycznej współpracy europejskiej, oznacza narażanie się na wielkie niebezpieczeństwa!

— *Czy sądzi Pan, że układy separatystyczne w Bonn i w Paryżu były pożyteczne i korzystne oraz, że ułatwiły one stworzenie Niemiec zjednoczonych i prawdziwie demokratycznych?*

— Nie sądzę. Zbyt wcześnie zapomniano o przeszłości, którą właśnie należy mieć na uwadze.

— Innym błędem, oświadcza Occhiuto

zo, był traktat, który dopuszcza remilitaryzację Japonii. A wojna w Korei jest wielką niesprawiedliwością. Wszystkie narody wszystkich krajów i wszystkich kolorów skóry mają prawo, kiedy są dojrzałe, rządzić się same i według własnego upodobania. Również niesprawiedliwa i gospodarczo rujnująca dla Francji jest wojna w Indochinach. Azja jest olbrzymim kontynentem, bogatym w surowce i w nową energię. Wielkie narody, jak Chiny i Indie, potrzebują wnieść wspaniały udział do po-

stępu światowego. Trzeba być szalonym, aby tego nie wiedzieć, lub raczej udawać, że się nie wie.

I prokurator generalny Occhiuto tak kończy:

„Życzę wiedeńskiemu Kongresowi Narodów wielkiego powodzenia. Wnie- sie on w każdej dziedzinie ważny wkład do sprawy pokoju, do której wszyscy ludzie prawdziwie ludzcy są głęboko przywiązani.“

Wywiad przeprowadził

ARRIGO JACCHIA

Senator Ugo della Seta

SENATOR Ugo della Seta, profesor filozofii, jest starym republikaninem, patriotą i antyfaszystą. Wystąpił ze swej partii wskutek nieporozumień w sprawie polityki wewnętrznej i zagranicznej rządu chrześcijańsko-demokratycznego, który popiera Włoska Partia Republikańska i z którym ona współpracuje. Senator della Seta jest obecnie niezależnym i przywódcą opozycji republikańskiej w senacie. Zgodził się chętnie przedstawić nam swój pogląd na Kongres Narodów i na problemy pokoju.

SENATOR della Seta ocenia pożyteczność spotkania w Wiedniu i gorąco życzy mu powodzenia.

— Obrona pokoju jest sprawą szlachetną nie tylko sama w sobie, ale dlatego, że odpowiada wymaganiom moralnym. Trzeba zrobić wszystko, aby pokój obronić i utrzymać. Polityka atlantycka, oparta z powodów ideologicznych na podziale Europy między Wschód i Zachód, nie jest zapewne najbardziej wskazaną drogą dla osiągnięcia tego celu. Wprost przeciwnie, sądzę, że kryje w sobie niebezpieczeństwo wciągnięcia ludzkości do nowej katastrofy. Po doświadczeniu i okropnościach ostatniej wojny, uważam remilitaryzację Niemiec i Japonii za rzecz najbardziej szkodliwą i najbar-

dziej niebezpieczną broń tej polityki atlantyckiej.

— Czy, zdaniem Pana, można uniknąć nowej wojny w obecnych warunkach napięcia międzynarodowego?

Bez wahania senator della Seta odpowiada z energią:

— Trzeba się przekonać i przekonać innych, że wojna nie jest nieunikniona. Wojna jest rezultatem postawy złej woli; w wojnie — z wyjątkiem wypadku obrony ojczyzny przeciw obcemu najeźdźcy — decydują najbardziej szaleńcze namiętności, najbrudniejsze interesy finansowe, chciwość nacjonalistyczna i zaborczość imperialistyczna. Złej woli, prowadzącej do wojny, trzeba przeciwstawić dobrą wolę, wolę pokoju.

— Jak można skutecznie walczyć z wojną? Jak można doprowadzić do rozbrojenia?

— Trzeba walczyć na dwóch frontach — na terenie polityki realistycznej, którą prowadzą ustanowione i odpowiedzialne władze oraz gromadząc wszystkie ludowe i masowe siły moralne, które mogą działać i zaważyć na szali.

Z pierwszego punktu widzenia uważam zawsze za wskazane zwołanie konferencji pięciu wielkich mocarstw w sprawie redukcji zbrojeń, wykluczenia środków masowej zagiady, zakazu broni atomowej i bakteriologicznej. Z drugiego punktu widzenia trzeba, powtarzam, nie tylko zwalczać ideę fatalizmu wojny, ale rozpowszechniać niewzruszone przekonanie, że dzisiaj do wybuchu wojny nie wystarczy już wola ustanowionych władz — bez zgody i woli narodów.

Nie uważam zresztą, aby formalna większość parlamentarna wyrażała wolę narodu.

Wobec tak straszeiwej ewentualności, jaką jest wojna, sąd narodów musi znaleźć mocne i skuteczne formy wypowiedzania się. Trzeba szybko zrea-

lizować porozumienie między ludźmi dobrej woli bez różnicy przekonañ politycznych, narodowości, rasy lub religii, wszystkich zjednoczonych w obronie pokoju. Porozumienie takie nie może jednak konkretyzować się w efektownej manifestacji, która wyraziłaby się w szermierce słownej, ukoronowanej platonicznym wnioskiem. Musi ona być wyrazem przekonañ prostych ludzi oraz ludzi o umysłach najbardziej subtelnych i oświeconych, musi być wyrazem wolnych głosów ze wszystkich krajów. Należy wysunąć pozytywne sugestie i zredagować dokument, który przypomina rządóm o ich odpowiedzialności. Dojdzie wtedy do głosu powszechne sumienie ludzkie, wzywające do wskazanych przez rozsądek form współistnienia.

Jeżeli ten głos nie będzie usłyszany — *kończy senator della Seta* — narody wydadzą wyrok. Niech mi będzie wolno wreszcie wyrazić więcej niż nadzieję, wyrazić pewność. Ostatnie słowo w podejmowaniu wielkich decyzji należy do robotników, tej olbrzymiej siły moralnej i politycznej, która weszła do historii z pełną świadomością swego autorytetu.

A. J.

Szeik Mohammed Al Achmar

PRZYWÓDCA okręgu religijnego Damaszku, szeik Mohammed Al Achmar, jest jednym z najwyższych autorytetów religijnych w Syrii. W latach 1925 — 1927 był jednym z przywódców powstania przeciw okupacji francuskiej.

Szeik Mohammed Al Achmar zechciał udzielić wywiadu jednemu z naszych korespondentów.

KONGRES w Wiedniu, oświadczył: szeik Mohammed Al Achmar, będzie miał szeroki oddźwięk, a jego u-

chwały i rezolucje — wielkie znaczenie dla wszystkich narodów. Przyczynią się one do zachowania pokoju świata.

łowego, a pokój światowy jest niezbędny, ponieważ oznacza on pokój dla ludzkości.

Wszystkie narody arabskie chcą pokoju, zarówno z religijnego, jak z moralnego punktu widzenia. Powiedziano w Koranie: „Jeżeli narody składają się ku pokojowi, ty również masz być wraz z nimi“. A w innym wersecie powiedziano: „Stworzyliśmy was, mężczyzn i kobiety, narody i plemiona, abyście mogli porozumieć się i poznać“. Kongres Narodów przyczyni się do osiągnięcia tego celu.

Szeik Mohammed Al Achmar potępił następnie kategorycznie plany zmierzające do wcielenia krajów arabskich do bloku wojskowego, odmawiając jednak wyrażenia zdania w sprawie czysto politycznego charakteru przemian, zaszyłych obecnie w niektórych krajach Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Dzisiaj narody nie zgadzają się już, by wtrącano się do ich spraw wewnętrznych. Narody arabskie żyły spokojnie przed okupacją ich krajów. Żyły w pokoju. Zgodziły się na wielkie poświęcenia w imię swej niepodległości i wolności, a tym samym — dla odzyskania tego pokoju, którym się cieszyły. Pokój w świecie — to wolność każdego narodu, a wolność każdego narodu — to gwarancja pokoju. Walczyliśmy przeciw okupantom, aby żyć w pokoju sami u siebie.

Ci, którzy przygotowują wojnę, chcą pchnąć narody arabskie w ogień wojny, ale interes narodów jest odmienny. Narody chcą zostać panami u siebie, a proponuje im się pakt, który musi być dla nich szkodliwy. Dlatego go odrzucają.



SZANSE POROZUMIENIA

CZYŻ nie jest zaprzeczeniem zdrowego rozsądku żyć tak, jak żyjemy w wielu krajach, narażać się w każdej chwili na katastrofę, dźwigać miażdżące budżety wojenne, nurzać się w bezradności, widzieć przyszłość jedynie jako horyzont ponury i brudny? Każdy to przyznaje. A jak zmienić bieg wydarzeń? Niektórzy wpadają w rozpacz. „Wiedziecie dobrze, że nie można się porozumieć. Nie łączy się wody z ogniem“.

Czy rzeczywiście nie ma szans porozumienia? Co prawda, dyplomaci nie zdołali położyć kresu ani wojnie zimnej, ani gorącej, ani stworzyć atmosfery zaufania, niezbędnego dla współpracy między narodami. A jednak niesłuszne byłoby utrzymywać, że niczego nie osiągnęli. Postąpili naprzód na drodze do porozumienia. W kilku najważniejszych problemach dzielących dzisiaj narody — a w szczególności w sprawie niemieckiej i wojny w Korei — dyplomaci niewątpliwie ustalili pewne punkty porozumienia. Wydaje się, że nagle stanęli wobec przeszkód nie do przezwyciężenia.

Spójrzmy na sprawę niemiecką. Gdzie jesteśmy? Co przeszkadza obu stronom w dojściu do porozumienia? Co dzieli obecnie tezy?

PROBLEM NIEMIECKI MOŻNA ROZWIĄZAĆ

Przede wszystkim, krótkie przypomnienie historyczne.

Dnia 2 kwietnia 1945 r. komunikat konferencji w Poczdamie określił cele okupacji Niemiec, a mianowicie:

- całkowite rozbrowienie i całkowita demilitaryzacja Niemiec oraz wyłączenie lub kontrola wszystkich gałęzi przemysłu niemieckiego, mogących służyć produkcji wojennej;

- rozwiązywanie partii hitlerowskiej, rozwiązywanie instytucji hitlerowskich,

- gwarancja, że nie odżyją pod żadną postacią i zakazanie wszelkiej aktywności lub propagandy hitlerowskiej lub militarystycznej;

- przygotowanie ewentualnej odbudowy politycznego życia niemieckiego na podstawach demokratycznych i ewentualnej współpracy pokojowej Niemiec w życiu międzynarodowym.

Potem sojusznicy poróżnili się. Świadomie pominiemy tutaj szczegóły nieporozumień, które doprowadziły w dniu 23 maja 1949 r. do stworzenia separatystycznego rządu Niemiec zachodnich w Bonn, rządu Niemieckiej Republiki Federalnej. Celem naszym nie jest nakreślanie historii zimnej wojny, ale przypomnienie zasadniczych faktów dla zrozumienia sytuacji obecnej.

**OTWARTY LIST
50 WYBITNYCH
AMERYKANÓW
DO NARODU
AMERYKAŃSKIEGO**

„Niechaj naród amerykański — czytamy w tym liście — wykaże wobec narodów Europy, że znaczny odłam Amerykanów świadomy jest niebezpieczeństwa, wynikającego z układów w Bonn. Poślijmy petycje do prezydenta z żądaniem zorganizowania konferencji mężów stanu, szefów czterech wielkich mocarstw, aby przedyskutować sprawę traktatu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami“.

Wśród sygnatariuszy wymienić można następujących:

Clemens F. France, adwokat, Providence, R. I.; wielbny Arthur W. Moulton, Kościół protestancki, były biskup Salt Lake City; prof. William T. Starr, Northwestern University; Samuel D. Menin, adwokat i wiceprzewodniczący Narodowego Stowarzyszenia Prawników (National Lawyers Guild), Denver; Elmer A. Benson, były gubernator Minnesoty; dr W. E. B. DuBois, antropolog i historyk; William P. Spofford, redaktor „The Witness” biskupiego tygodnika protestanckiego; dr Corliss Lamont, pisarz; wielbny Joseph M. Evans, pastor, The Community Church, Chicago; Leon Straus, wiceprzewodniczący Związku Pracowników Futer i Skóry; dr Theodore Rosebury, profesor Washington University, Saint-Louis.

Dnia 7 października 1949 r. stworzona została na Wschodzie Niemiec Republika Demokratyczna, która — w odróżnieniu od Republiki Federalnej — ogłosiła swą wierność dla Układów Poczdamskich.

Dnia 20 grudnia 1950 r. konferencja dwunastu krajów zachodnich w Brukseli oznajmiła przyszłe wcielenie niemieckich sił wojskowych na Zachodzie do armii atlantyckiej.

„Ministrowie uznają pogląd, że odbudowa armii niemieckiej nie służyłaby prawdziwym interesom ani Niemiec, ani Europy. Uważają oni, że opinię tę podziela znaczna większość narodu niemieckiego. Ministrowie wzięli jednak pod uwagę głosy, wyrażone ostatnio w Niemczech i gdzie indziej, za udziałem Niemiec w połączonych siłach, mających na celu obronę wolności europejskich. Kwestie związane z problemem udziału Republiki Federalnej we wspólnej obronie Europy stanowią obecnie przedmiot badań i wymiany poglądów“.

Idea remilitaryzacji Niemiec wywołała żywe zaniepokojenie w różnych kołach w krajach zachodnich, które podczas wojny były okupowane przez wojska hitlerowskie. To zaniepokojenie wyraziło się w sposób szczególnie jasny i proroczy w artykule Etienne Gilsona zamieszczonym 29 września 1950 r. w „Le Monde“:

„Drugi punkt był jasny od początku. Niezależnie od ilości jego sygnatariuszy, faktycznie pakt miał w efekcie ten sens, jaki mu nadano w Waszyngtonie. Stany Zjednoczone pragnęły posiadać potężnych sojusz-

ników w Europie i uważały, że ich ideałem będzie Europa zjednoczona politycznie i wojskowo, wciągnięta z góry do ich obozu na wypadek wojny ze Związkiem Radzieckim. Problem sprowadza się odtąd do znalezienia piechoty... wobec czego ogłosili natychmiast, że remilitaryzacja Niemiec jest rzeczą konieczną.

Ludzie dziwią się dzisiaj, że znaleźli się w obliczu tego dylematu — remilitaryzacja Niemiec lub powierzenie nam samym ich obrony, ale każdy mógł wiedzieć od przeszło roku, że pędzono nas na oślep w tym kierunku. Nie dziwny się zatem, że znaleźliśmy się w tej sytuacji, a przede wszystkim przestańmy się łudzić. Stany Zjednoczone będą zbroić Niemcy, ponieważ taka jest ich polityka, a ponieważ jesteśmy z nią związani — problem zadecydowany zostanie tutaj, w taki sam sposób, jak w Waszyngtonie“.

Dnia 22 października 1950 r. ministrowie ZSRR, Czechosłowacji, Polski, Węgier, Rumunii, Albanii i Niemieckiej Republiki Demokratycznej ogłosili komunikat, domagający się:

1) odrzucenia przez cztery wielkie mocarstwa remilitaryzacji Niemiec i zastosowania w praktyce Układów Poczdamskich;

2) niedopuszczenia do odrodzenia niemieckiego potencjału wojennego;

3) zawarcia traktatu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami;

4) utworzenia Zgromadzenia Konstytucyjnego dla całych Niemiec celem utworzenia zjednoczonego państwa niemieckiego.

Dnia 3 listopada 1950 r. rząd radziecki wysunął propozycję zwołania konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech wielkich mocarstw w sprawie problemu niemieckiego. Wywiązała się długa wymiana not, w których zachodni sprzymierzeńcy sprzeciwili się omawianiu samej tylko kwestii demilitaryzacji Niemiec. Rokowania te doprowadziły do zwołania w Paryżu w marcu 1951 r. konferencji zastępców ministrów spraw zagranicznych, mającej na celu ustanowienie porządku dziennego konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych. Ta konferencja zastępców, zwana konferencją w Palais Rose zakończyła się w czerwcu, bez osiągnięcia jakichkolwiek rezultatów. Odtąd napięcie wzmoгло się. Wielu uczciwych ludzi zniechęciło się, uważając że porozumienie między Wschodem a Zachodem jest niemożliwe.

1 grudnia 1950 r. premier rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej Grotewohl zaproponował kanclerzowi Adenauerowi utworzenie Niemieckiej Rady Konstytucyjnej, wspólnej dla obu części Niemiec, w celu przygotowania utworzenia zjednoczonych Niemiec. 15 stycznia 1951 r. kanclerz Adenauer odrzucił tę propozycję. „Naród niemiecki, oświadczyl, skłonny jest uczestniczyć w obronie Zachodu“. Ale apel Grotewohla rozległ się w całych Niemczech głębokim echem. Zaczął się wzmacniać ruch przeciw remilitaryzacji i na rzecz zjednoczenia.

Kwestia pokojowego uregulowania problemu niemieckiego powróciła 11 marca 1952 r. na porządek dzienny, kiedy rząd radziecki skierował notę

PRZECIW „UKŁADOWI OGÓLNEMU“

„...Układ ogólny uniemożliwia rozwiązanie problemu niemieckiego...

Należy nie dopuścić do jego ratyfikacji. Ankieta, przeprowadzona wśród ludności niemieckiej, która dotąd ośmioma milionami głosów opowiedziała się przeciw układowi ogólnemu, wykazuje, że naród życzy sobie osiągnięcia pokojowego porozumienia po zawarciu sprawiedliwego traktatu pokojowego.

Nota rządu radzieckiego odpowiada woli tych milionów osób. „Koło działania na rzecz porozumienia między Niemcami i o sprawiedliwy traktat pokojowy“ żąda od parlamentu federalnego, od każdego z jego deputowanych, aby ze wszystkich sił pomagali w realizacji pragnieniu narodu odzyskania niepodległości, położenia kresu napięciu, zapewnienia życia w demokracji i pokoju, poparcia propozycji zwołania konferencji czterech mocarstw“.

Dr Joseph Wirth, Katharina von Kardoff-Cheimb, Charlotte Fleischmann, dr Maase

do rządów zachodnich. Nota radziecka stała się podstawą toczących się obecnie dyskusji. Tutaj również nie będziemy analizować szczegółowo treści każdego z wymienionych dokumentów. Zadowolimy się ustaleniem pozycji obu stron i zbadaniem dzielącej je różnicy.

STANOWISKO RADZIECKIE

Niemcy będą odbudowane i zjednoczone. Otrzymają możliwość rozwoju jako państwo niepodległe, demokratyczne i pokojowe. Wszystkie wojska okupacyjne wycofają się najpóźniej w rok po wejściu w życie traktatu. Zakazane będą organizacje wrogie demokracji i utrzymaniu pokoju, natomiast swobodna działalność partii i organizacji demokratycznych zostanie prawnie zagwarantowana. Niemcy zobowiążą się nie zawierać żadnych koalicji, czy sojuszków wojskowych, skierowanych przeciw jakemukolwiek mocarstwu, które przy użyciu swych sił zbrojnych uczestniczyło w wojnie z Niemcami. Granice Niemiec wytyczone będą zgodnie z Układem Poczdamskim. Niemcom wolno będzie utrzymywać narodowe siły zbrojne, niezbędne dla ich obrony. Będzie im wolno również produkować sprzęt i materiał wojskowy, którego jakość i typy nie będą mogły przekraczać rozmiarów potrzebnych dla wyposażenia określonych w traktacie pokojowym sił zbrojnych. Rozwój gospodarki pokojowej i handlu niemieckiego nie będzie podlegał żadnym o-

graniczeniom. Państwa — sygnatariusze traktatu pokojowego poparą kandydaturę Niemiec do ONZ:

STANOWISKO MOCARSTW ZACHODNICH

Rządy amerykański, brytyjski i francuski oświadczają, że przyszedł rząd zjednoczonych Niemiec musi powstać na bazie wolnych wyborów. Proponują one zlecić Komisji ONZ zbadanie w obu częściach Niemiec, czy istnieją warunki przeprowadzenia tych wolnych wyborów. Co do pozostałych spraw, uważają, że nie można zrealizować Układu Poczdamskiego, ani uznać za ostateczne ustanowionych w Poczdamie wschodnich granic Niemiec (linia Odra — Nysa). Odrzucając wysuniętą przez notę radziecką zasadę neutralizacji, to znaczy nie uczestniczenia w koalicji, lub wszelkiej innej formie przymierza z innymi narodami, zmierzając wyraźnie do wciągnięcia nowego zjednoczonego państwa niemieckiego do paktu atlantyckiego.

Ten ostatni warunek wzbudził poważne zastrzeżenia w kołach, uważanych za bardzo umiarkowane. Autor wstępnego artykułu w dzienniku francuskim „Le Monde” tymi słowami skrytykował to postanowienie mocarstw zachodnich: „**Roszczą sobie prawo przemawiania z góry w imieniu Niemiec, których woli zdają się nie znać. Wydaje się wątpliwe, by naród niemiecki poparł ten język.**”

Związek Radziecki dał zadośćuczynienie pierwszemu żądaniu państw zachodnich uznając również ze swej strony konieczność zorganizowania

wolnych wyborów. Ale opierając się na art. 107 Karty Narodów Zjednoczonych nie zgodził się, aby badanem zajęła się Komisja ONZ, co spowodziłoby się do oceniania spraw niemieckich przez przedstawiciela Kuby, czy Panamy, gdy tym czasem sami Niemcy nie mieliby prawa wyrażania swych poglądów.

Wydawało się, że będzie można dojść do porozumienia w sprawie pierwszego punktu. Mianowicie w nocy z 9 kwietnia państwa zachodnie odpowiedziały:

„**Mimo, że wołałyby oprzeć się na procedurze, przedstawionej w powyższym paragrafie (aby zbadanie warunków wolnych wyborów zlecić Komisji ONZ) rząd Stanów Zjednoczonych (lub Zjednoczonego Królestwa, lub Francji) gotów jest wziąć pod uwagę wszelką inną szczegółową i praktyczną propozycję rządu radzieckiego w sprawie utworzenia bezstronnej komisji badawczej pod tym jedynym warunkiem, aby propozycja ta umożliwiła zorganizować w niedługim czasie wolne wybory w całych Niemczech.**”

W swej nocy z 23 sierpnia rząd radziecki wysunął nowe wytyczne w sprawie utworzenia proponowanej przezeń komisji. Komisja ta miałaby się składać z Niemców z Zachodu i ze Wschodu, wybranych z aprobatą czterech wielkich mocarstw spośród przedstawicieli Izby Ludowej i Bundestagu. Ale nota rządu radzieckiego nie oddzielała tej kwestii, jak nota rządów zachodnich, od całości problemu niemieckiego. W celu osiągnięcia zjednoczenia i układu w sprawie traktatu pokojowego, jak to

przewidziano w Poczdamie, zaproponowała następujący porządek dzienny dla wspólnych rozmów przedstawicieli czterech mocarstw:

1) Przygotowanie traktatu pokojowego z Niemcami;

2) Utworzenie rządu dla całych Niemiec;

3) Zorganizowanie wolnych wyborów i utworzenie komisji;

4) Ustalenie daty wycofania wojsk okupacyjnych;

5) Zaproszenie na konferencję dla zbadania wyżej wymienionych kwestii przedstawicieli Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemieckiej Republiki Federalnej.

Mocarstwa zachodnie odpowiedziały notą z 22 września, że nie zgadzają się na żadne z tych rozwiązań, odmawiając dyskusowania wszelkich innych kwestii poza sprawą Komisji Badawczej, oraz nie zgadzając się na zaproszenie na konferencję „władz ze wschodnich Niemiec, które nie reprezentują ludności strefy radzieckiej“.

Mocarstwa zachodnie odrzuciły również radziecką propozycję w sprawie utworzenia Komisji z udziałem Niemców z Zachodu i Wschodu, utrzymując, że Komisja taka byłaby stronnicza.

Widzimy więc jasno, że dyplomaci nie posuwają się naprzód, natomiast powstają i umacniają się paktów wojскове. Zwolną to, co było zjawą armii europejskiej staje się rzeczywi-

stością. W niewidoczny sposób tworzą się nowe formy. Powstaje armia niemiecka pod wodzą dawnych generałów. Ale ci, którzy nie są biegli w sprawach dyplomacji i rozumują przy pomocy własnego zdrowego rozsądku, nie są zadowoleni z tych rezultatów. Trudno im pogodzić się z tym, że porozumienie, które wydawało się przynajmniej możliwe do zrealizowania, stało się teraz, przynajmniej w jednym punkcie, nagle zupełnie niemożliwe.

Jednak naród niemiecki wykazuje całą swą postawą, że życzy sobie rozmów między Republiką Federalną a Republiką Demokratyczną w celu realizacji tego zjednoczenia. Mimo wszystkich spiętrzonych na jej drodze trudności, delegacja Niemieckiej Republiki Demokratycznej z wicepremierem dr Otto Nuschke na czele, udała się do Bundestagu w Bonn, gdzie przyjęta została przez przewodniczącego Bundestagu — dr Ehlersa.

Czyż można dzisiaj rozwiązywać problem niemiecki bez brania pod uwagę życzeń samego narodu niemieckiego, zarówno na zachód jak i na wschód od Łaby? Czyż nie jest niezbędne, aby naród niemiecki, jak wszystkie narody zainteresowane w uregulowaniu tego naczelnego problemu, wyraził swe poglądy i wysunął propozycje?

Kongres Narodów w Wiedniu może umożliwić tę niezbędną konfrontację.

REVISOR

PRAWDA O WOJNIE BAKTERIOLOGICZNEJ

PROF. JOSEPH NEEDHAM

PROFESOR Needham przybywa z Chin. Jestem z nim w jego pokoju, gdzie stoją jego jeszcze nie rozpakowane walizki. Jest to człowiek wielki i silny, z którego całej postaci promieniuje uczciwość. Bez wstępów pokazuje mi grubą księgę wielkiego formatu w czarnej okładce.

— Oto, powiada, praca naszej Komisji Naukowej. Kiedy te dokumenty zostaną rozpowszechnione, będzie niemożliwością dalej zaprzeczać realności wojny bakteriologicznej.

Książka ta liczy 630 stron i nosi tytuł: „Sprawozdanie Międzynarodowej Komisji Naukowej powołanej dla zbadania faktów dotyczących wojny bakteriologicznej w Korei i Chinach”. Samo sprawozdanie obejmuje 60 stron, resztę stanowią 42 załączniki.

Kiedy wyraziłem zdziwienie, że dzieło to, wydane w Pekinie zostało napisane w języku francuskim, profesor Needham wyjaśnił mi:

„W naszej Komisji mówiono siedmiu językami, lecz język francuski rozumiany był i używany przez większość jej członków. W konsekwencji tego języka przede wszystkim używano w pracach. Historia tej książki jest szczególna. Jest ona owocem dwu miesięcy wyłożonej pracy wykonanej na miejscu przez członków Komisji i wydana została w ciągu dziesięciu dni. Jest to prawdziwy wyczyn”.

Wertuję karty książki, podczas gdy profesor Needham komentuje jej historię. Czytelnicy nasi przypominają sobie prawdopodobnie sprawozdanie ogłoszone w niniejszym czasopiśmie z dramatycznego posiedzenia Światowej Rady Pokoju w Oslo, gdzie Kuo Mo-żo w imieniu Chin i Li Ki-ien w imieniu Korei oskarżyli rząd Stanów Zjednoczonych o użycie broni bakteriologicz-

nej. Przywieźli oni z sobą sprawozdania opracowane przez komisje naukowe ich krajów. Oświadczyli, że pragną przybycia do Korei i Chin międzynarodowej komisji złożonej z osobistości znanych ze swej uczciwości, uczonych bezstronnych, szczerych i niezależnych, związanych lub nie związanych z ruchem pokojowym, lecz lojalnie oddanych sprawie humanitaryzmu.

Bezpośrednio po sesji w Osio poczyniono odpowiednie kroki i ukonstytuowano Komisję Międzynarodową. W jej skład weszli: Andreen Andrea (Szwecja), doktor medycyny, kierowniczka laboratorium kliniki centralnej Dyrekcji Szpitali miasta Sztokholmu; Jean Malterre (Francja), inżynier-agronom, dyrektor laboratorium fizjologii zwierzęcej E. N. A. Grignon, były ekspert UNRRA do spraw inwentarza żywego, członek-korespondent włoskich i hiszpańskich towarzystw zootechnicznych; Joseph Needham (Wielka Brytania), doktor F. R. S., lektor biochemii (katedra Sir Williama Dunna) na uniwersytecie w Cambridge, były radca naukowy ambasady brytyjskiej w Czung-Kingu, dyrektor Wydziału Nauk Przyrodniczych UNESCO; Oliviero Olivo (Włochy), doktor, profesor anatomii na wydziale medycyny Uniwersytetu Bolońskiego, były wykładowca biologii ogólnej na uniwersytecie w Turynie; Samuel Pessoa (Brazylia), doktor, profesor parazytologii na wydziale medycyny uniwersytetu w Sao-Paulo, były dyrektor Zdrowia Publicznego Stanu Sao-Paulo, profesor honoris causa wydziału medycyny uniwersytetu w Recife oraz wydziału medycznego uniwersytetu w Paraíba; Vereżnikov Zukov (ZSRR), doktor, profesor bakteriologii, wiceprzewodniczący Akademii Lekarskiej ZSRR, były naczelny ekspert lekarski na procesie wojskowych japońskich, oskarżonych o branie udziału w wojnie bakteriologicznej (proces Charbarowski); Franco Grazioli (Włochy), doktor, asystent Instytutu Mikrobiologii uniwersytetu w Rzymie, przybył do Chin zbyt późno, aby uczestniczyć w pierwszej części prac, pomagał Komisji jako obserwator i doradca; San

Tsiang-tsien (Chiny), doktor, dyrektor Instytutu Fizyki współczesnej Akademii Chińskiej w Pekinie, został postawiony do dyspozycji Komisji przez władze chińskie i wyznaczony jako łącznik Komisji.

— Jedną z trudności na jakie napotykała Komisja musiał być oczywiście brak znajomości języka chińskiego?

— Ależ ja mówię i piszę po chińsku — mówi mi na to profesor Needham. Mieszkałem w Czung-Kingu podczas wojny. I to jest jeden z powodów, dla których zgodziłem się wziąć udział w pracach Komisji. Nikt nie może twierdzić, że Komisja nie rozumiała, lub że została oszukana.

Tu prof. Needham otwiera swoje walizy i pokazuje mi książki, które znalazł, przeszukując sklepy antykwariszy w Pekinie.

—To nie ma nic wspólnego z wojną bakteriologiczną, lecz na pewno wzbudzi pańskie zainteresowanie.

Pokazuje mi najstarszą istniejącą rozprawę na temat prochu i tłumaczy mi ustęp, w którym autor opisuje niezwykle możliwości „ognistego smoka”. Entuzjazmuje się traktatem jakiegoś uczonego z siódmego wieku, który dokonał klasyfikacji chorób wówczas znanych z wszystkimi ich objawami.

Potem wracamy do wojny bakteriologicznej.

Komisja przybyła do Chin w dniu 23 czerwca i pracowała tam przez całe dwa miesiące.

— W jakich warunkach prowadziła ona swoje prace? Profesor Needham ponownie otwiera wielką czarną książkę:

— Wyjaśniliśmy to w naszym sprawozdaniu:

MEMBRES DE LA COMMISSION SCIENTIFIQUE INTERNATIONALE CHARGÉE D'EXAMINER LES FAITS CONCERNANT LA GUERRE BACTÉRIOLOGIQUE EN CORÉE ET EN CHINE:

ANDREËN, Andrea: M.D. Ph. D. (Médecine clinique et de Laboratoire) (Suède)

Andrea Andrein

MALTERRE, Jean: Ing. Agri. (Physiologie animale et Biologie)

~~MALTERRE~~
NEEDHAM, Joseph: Sc. D. F.R.S. (Biochimie, Embryologie, Langue et Littérature Chinoises). (U.K.)

Joseph Needham

OLIVO, Oliviero: M.D. (Médecine, Biologie et Anatomie) (Italie)

Oly Olivo

PESSOA, Samuel, B.: M.D. (Parasitologie et Entomologie Médicales) (Brésil)

Samuel B. Pessoa

ZHUKOV-VEREZHNIKOV, Nicolai Nicolaievitch: M.D. Membre de l'Académie de Médecine (Bactériologie et Epidémiologie) (U.R.S.S.)

Nicolas Zhukov-Verzhnikov

Pékin, le 31 Août 1952.

„Posiedzenia Komisji nie zawsze miały ten sam charakter. Czasem członkowie jej dyskutowali godzinami problemy naukowe przy drzwiach zamkniętych, gdy tymczasem na innych posiedzeniach obecni byli rzeczoznawcy chińscy albo koreańscy. Czasem znowu potrzebne były obszerne sale, aby wysłuchać zeznań licznych naocznych świadków, pochodzących ze wszystkich klas społecznych... Czasem wyznaczano specjalne podkomisje, złożone z dwóch lub trzech członków Komisji w celu przeprowadzenia dochodzeń wraz z kolegami chińskimi na temat problemów specjalnych, po czym składały one sprawozdanie Komisji. Dnie całe spędzano w laboratoriach w Pekinie, Mukdenie i Phenianie, gdzie uczeni chińscy i koreańscy demonstrowali szczegółowo wyniki swoich dochodzeń. Członkowie Komisji korzystali wreszcie z wielkich ułatwień w poszukiwaniach bibliograficznych w bibliotekach Pekinu i Mukdena... A oto najważniejsze podróże, przedsięwzięte przez Komisję: Przeprowadzaliśmy dokładne badania faktów w Pekinie w czasie od 23 czerwca do 9 lipca, Komisja pojechała do Mukdena, gdzie pracowała od 12 do 25 lipca... W towarzystwie członków Komitetu Współpracy Komisja przekroczyła następnie rzekę Jalu, udając się do Korei Północnej. Posiedzenia odbywały się w Phenianie, przerywane czasem, jak można przypuszczać, przez naloty powietrzne, w czasie od 28 do 31 lipca. Następnie, zwracając ku północy, Komisja spędziła dwa dni z wziętymi do niewoli lotnikami, przed ponownym przekroczeniem granicy, aby 6 sierpnia powrócić do Chin północno-wschodnich... Przedtem Komisja podjęła krótszą ekspedy-

cję do rejonu pogranicznego Mongolii Wewnętrznej w dniach 15 i 16 lipca“.

— Jaki był stan umysłów członków Komisji przy rozpoczęciu badań?

— Nastroje były sceptyczne. Obowiązkiem naszym było postępować z jak największym sceptycyzmem.

Badając pewną liczbę przypadków, zajęliśmy się najpierw sprawdzeniem wartości podstaw naukowych dowodów, ustalonych przez uczonych chińskich i doszliśmy do wniosku, że te podstawy naukowe są poważne.

Nie mieliśmy oczywiście możliwości, co miało by znaczenie kapitalne, oglądania przedmiotów zrzuconych z nieba pod nasze stopy, ani oglądania osób iście lądujących lotników z ich niekniętym materiałem bakteriologicznym. Wypadło nam zatem uciec się do zespołu wydarzeń ściśle ze sobą powiązanych, które wzajemnie się wyjaśniały, nabierając wartości dowodu.

Znam zastrzeżenia, których nie o mieszkają wobec nas wysunąć: lecz wy sami, o sobie nie widzieliście spadających zbiorników, ani samolotu lądującego z tymi przedmiotami. Mogliście więc stać się przedmiotem zakrojonej na olbrzymią skalę mistyfikacji.

Odpowiedziałbym na to, że nie możliwe jest zorganizowanie mistyfikacji równocześnie tak drobiazgowej, z taką doskonałością i w takich rozmiarach, aby w niej uczestniczyło ponad dwustu uczonych i ponad czterystu chłopów, którym wyznaczono by taką rolę.

Znamy uczonych chińskich, wykształconych na uniwersytetach zachodnich. Nie są oni aktorami. Chłopi tak samo nie są aktorami. Chłopi chińscy zupełnie nie są sofistami. Są oni bardziej

prości aniżeli chłopci naszych krajów zachodnich. Ci, których przesłuchiwa-
liśmy, nigdy nie próbowali „upiększać”
opowiadanych historii, nie próbowali
mydlić oczu. Zeznania ich były zgod-
ne ze sobą i zgodne z innymi poczy-
nionymi obserwacjami.

Tak na przykład w jednym z prze-
studiowanych przypadków, pewien wie-
śniak powiedział nam, że słyszał około
północy przelatujący samolot. Zwrócił
na niego uwagę, gdyż nad jego wioską,
położoną przy drodze z Charbinu w
Mandżurii przelatuje regularnie samo-
lot w czasie dnia, lecz nigdy nocą.
Otóż nocny przelot tego samolotu od-
naleźliśmy w raporcie obserwatorów
wojskowych chińskich sił lotniczych,
którzy odtworzyli jego kurs i rozkład
lotu od momentu przekroczenia przez
samolot rzeki Jalu.

Z drugiej strony, wadliwa forma w
jakiej czasem przedstawiano dowody
rzeczowe, świadczy o szczerości chło-
pów. Tak na przykład poszliśmy zoba-
czyć wieśniaka, który trzymał trzy my-
szy polne w szklanym dzbanku. Tylko
jedno ze zwierząt było w stanie nada-
jącym się do zbadania. Gdyby tutaj
chciano dopuścić się mistyfikacji, po-
stąpiono by na pewno staranniej,
przedstawiając Komisji do zbadania
obiekt w dobrym stanie.

Absolutną szczerość zeznań uważam
za rzecz nie ulegającą wątpliwości.
Weźmy za przykład wypadek dżumy
w Korei. Komisja zbadała zarazek. By-
ła to na pewno dżuma. Widzieliśmy
krewnych ludzi zmarłych na dżumę.
Oni nie grali komedii. W tym samym
czasie kontrolowaliśmy to, co powie-
dział koreański minister zdrowia: „Dżu-
ma nie występuje w Korei w postaci

endemicznej. Od pięciu wieków nie by-
ło w Korei dżumy”.

— Sceptycy mogliby powiedzieć, że
dżuma została tam przyniesiona przez
ochotników chińskich?

— Nie. Jeśli bowiem w warunkach
normalnych występuje epidemia dżumy,
znajduje się zawsze martwe gryzonie.
Wszystkie zeznania zgodne są w
stwierdzeniu, że nikt nie widział mar-
twych szczurów. Z drugiej strony, dżu-
ma jest chorobą, która zawsze sroży się
latem. Tymczasem, przypadki stwier-
dzone w Korei, miały miejsce w lutym,
a zatem z przesunięciem o trzy do czte-
rech miesięcy.

Ogół wydarzeń powiązanych z sobą,
które zaobserwowano, usunął początko-
wy sceptycyzm niektórych członków
Komisji pod koniec trzeciego tygodnia
dochodzeń. Komisja została przekona-
na przed przeniesieniem się na Koreę
o realności użycia broni bakteriologicz-
nej.

— Jak można, Pańskim zdaniem,
wytłumaczyć użycie broni bakteriolo-
gicznej? Jaki był rzeczywisty cel Ame-
rykanów?

Amerykanie posłużyli się dużą różno-
rodnością środków ataku. Nie stwierdzo-
no stosowania na przykład takich środ-
ków jak skraplanie przy pomocy samo-
lotów. W Mukdenie, wybuchła epidemia
zapalenia mózgu, w postaci dotychczas
nieznanej i bardzo osobliwej, przy prze-
dostawianiu się wirusów do organizmu
drogami oddechowymi.

Sądzę, że można by owe ataki ba-
kteriologiczne określić jako ekspery-
menty na szeroką skalę, dokonywane
na żywym narodzie, pewnego rodzaju
próbę generalną.

— Czy zeznania poczynione przez pilotów amerykańskich wziętych do niewoli były dla was dużą pomocą?

— Oficerowie ci wydają się być porządnymi ludźmi, którzy niezmiennie żałują tego, co musieli czynić. Z punktu widzenia naukowego, woleliśmy o ile możliwości jak najbardziej precyzować fakty bez uciekania się do pomocy pilotów. Zeznania ich, poczynione bez jakiegokolwiek nacisku, służyły nam jako potwierdzenie.

— Ile przypadków poddaliście badaniu?

Profesor Needham odsyła mnie do czarnej księgi. Zawiera ona charakterystyczną tablicę, którą reprodukowujemy obok, a która pozwala jasno zrozumieć metodę analizy zastosowaną przez Komisję.

Odpowiedzi pozytywne na każdy punkt tablicy schematycznej stanowiłyby kompletną siatkę dowodów. Oczywiście nie można osiągnąć tego idealnego rozwiązania. Raport jednakowoż stwierdza:

„Istnieją wypadki, które są do siebie dość podobne, aby stać się dowodami rzeczowymi, i gdzie można odtworzyć akty oskarżonego i odpowiednio wyjaśnić ich skutki“.

Profesor Needham dodaje:

— W wielu przypadkach Komisja była w stanie wyjaśnić fakty, które nie zostały przedtem wyjaśnione. Na przykład obok pewnego zbiornika zrzuczone zostały ostrzygi. Były one zarażone zarazkami cholery. Chłopki, które je jadły, nie żyją. Otóż spotkaliśmy się z dziwnym faktem. Dlaczego użyto mięczaków żyjących w wodzie morskiej, które, gdyby były dostały się do

zbiornika z wodą słodką byłyby zginęły w ciągu niespełna tygodnia? Japończycy, którzy mają pewne doświadczenie w prowadzeniu tego rodzaju wojny gdyż stosowali ją w czasie ostatniej wojny światowej, odkryli, że mięczaki morskie dają charakterystyczną czystą hodowlę bakterii, znacznie wyższą od mięczaków słodkowodnych. Przed śmiercią w słodkiej wodzie zbiorników byłyby one spowodowały zakażenie o wiele bardziej skuteczne.

Ja, który w 1944 r. sporządziłem dla mojego rządu raport w sprawie japońskich ataków bakteriologicznych, nie mam żadnych wątpliwości, że Amerykanie poparli ich badania i użyli metod bardzo podobnych.

Podobnie w przypadku węglika, przy infekcji drogami oddechowymi, choroby niesłychanie rzadkiej i do tej chwili nieznanej w Chinach, dochodzenia przeprowadzone przez Komisję pozwoliły stwierdzić, że kilka ofiar tej choroby zbierało owady bez zabezpieczenia się przy pomocy masek, czego Chińczycy w swoich poprzednich badaniach nie zaznaczyli.

— Jak zachowuje się ludność wobec wojny bakteriologicznej?

— Ludność, zarówno w Chinach, jak i w Korei, wykazała podziwu godną odwagę. Tępi ona owady według otrzymanych wskazówek. Przedsięwzięto poważne środki ostrożności. Powiedzieć można, że nie różnią się one od tych, jakie przedsięwzięto by w podobnym wypadku w Anglii.

— Jakie są Pańskie projekty?

— Z chwilą, gdy sprawozdanie wraz z załącznikami zostanie ogłoszone w Anglii, zamierzam spowodować dojście do skutku spotkania ludzi nauki i zor-

27

ganizować publiczne zebrania, aby dać poznać prawdę. Oczekuję wezwania do Komisji Spraw Zagranicznych Izby Gmin, gdyż pewien poseł z Partii Pracy zażądał otwarcia debaty w sprawie użycia broni bakteriologicznej.

Tu prof. Needham powtarza to, co

powiedział na początku naszej rozmowy:

— Sprawa ta wywołuje wielkie zainteresowanie w Anglii. Amerykanie nie będą mogli już zadowolić się pustym zaprzeczeniem.

WNIOSKI RAPORTU MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI NAUKOWEJ

Od początku 1952 r. niezwykle wydarzenia zaszły na terytorium Korei i Chin wywołując oskarżenia narodów i rządów tych krajów, zdaniem których siły zbrojne USA użyły broni bakteriologicznej.

Międzynarodowa Komisja Naukowa, utworzona dla zbadania odnośnych faktów zakończyła swe prace po dwóch miesiącach badań na miejscu. Stała ona wobec poważnej ilości wydarzeń, z których pewne stanowią logiczną całość i są bardzo przekonujące. Jej wysiłki skoncentrowały się szczególnie na tych ostatnich. Doszła ona w ten sposób do następujących wniosków:

Narody koreański i chiński były celem powtarzających się ataków mikrobiologicznych ze strony sił zbrojnych USA. Zastosowano różne metody rozsiewania bakterii, z których pewne wydają się stanowić rozwinięcie metod, stosowanych przez wojska japońskie podczas drugiej wojny światowej.

Komisja doszła do tych wniosków, wiążąc wszystkie fakty zgodnie z prawami logiki. Musiała poddać się wymowie dowodów i stwierdzić, że wykorzystano tak nieludzką broń wbrew powszechnemu potępieniu.

Komisja wzywa wszystkie narody świata do zdwojenia wysiłków dla zapobieżenia wojnie i walki o to, aby postęp nauki nie służył zniszczeniu ludzkości.

PERSPEKTYWY SIÓDMEJ SESJI O.N.Z.

JEAN R. CLEMENTIN

SIÓDMA zwyczajna sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ rozpoczęła się 14 października w Nowym Jorku. Rzut oka na proponowany porządek dzienny wskazuje na cztery grupy zagadnień, które wypłynęły już w obradach szóstej sesji, odbytej w Paryżu między 6 listopada 1951 a 5 lutego 1952 r.

Pierwsza grupa wiąże się bezpośrednio z problemem wojny i pokoju; konflikt koreański, ograniczenie i redukcja zbrojeń, kroki, które należy podjąć celem utrzymania pokoju, definicja agresji.

Następnie, już od wielu lat dyskutowana sprawa przyjęcia czterech nowych członków w skład ONZ.

Trzecia grupa dotyczy losu niektórych krajów kolonialnych, takich jak Maroko, Tunis i Antyle Holenderskie, niektórych terytoriów powierniczych, oraz spraw krajów zacofanych w rozwoju.

Na koniec, cały szereg punktów porządku dziennego odnosi się do zagad-

nienia obrony praw człowieka: rasistowska polityka rządu Unii Południowo-Afrykańskiej, potępiona już przez ostatnią sesję ONZ, oraz zagadnienie kodyfikacji praw człowieka w układzie międzynarodowym.

Z tymi czterema grupami łączy się w sposób mniej lub bardziej bezpośredni wiele drugorzędnych punktów porządku dziennego; poza tym mamy jeszcze około piętnastu rozdziałów poświęconych, jak zwykle, sprawom funkcjonowania i administracji organów ONZ, oraz specjalnym zagadnieniom prawnym.

Jakkolwiek Organizacja Narodów Zjednoczonych nie stała się jeszcze „sumieniem narodów“, jak tego pragnął prezydent Roosevelt, to jednak stanowi ona dość wierny wskaźnik sytuacji międzynarodowej. Oczywiście trzeba umieć odczytywać ten wskaźnik; trzeba na przykład pamiętać o tym, że większość głosów w łonie ONZ nie zawsze, a nawet rzadko, odpowiada rzeczywistej większości narodów. Małe kraje, jak na przykład Republika Haiti, posiadają w głosowaniu taką samą wagę jak Indie. Nie należy zapominać, że delegacja chińska jest w

rzeczywistości delegacją rządu Formozy, zamieszkiwanej przez 7 milionów ludności, podczas gdy rząd pekiński, którego władza obejmuje 450 milionów ludności Chin, nie jest w ogóle reprezentowany w ONZ. Mając na uwadze te zastrzeżenia, jak i wiele innych, które trudno tu z braku miejsca wymienić, można niemiennie ocenić według przebiegu obrad ONZ rzeczywisty „stosunek sił” na świecie.

* * *

Od sesji w 1950 roku, która odbyła się w Flushing Meadows w trzy miesiące po rozpoczęciu wojny koreańskiej, prace ONZ toczyły się pod znakiem wojny i pokoju i były bezpośrednim odbiciem nieustającego wzrostu napięcia międzynarodowego.

Ten charakter obrad był szczególnie widoczny w świetle sesji paryskiej w roku 1951. Nie trzeba być prorokiem, aby już teraz stwierdzić, że pewne cechy obrad tamtej sesji pojawiają się znów, a nawet pogłębiają się na trwającym posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego.

Pierwsza z nich, która tak jaskrawo zabarwiła obrady w Pałacu Chaillot, to tak zwana „mechaniczna większość głosów”. Wiadomo powszechnie co ona oznacza. Mechaniczna większość składa się z państw powiązanych politycznie i gospodarczo z mocarstwami zachodnimi, w pierwszym rzędzie ze Stanami Zjednoczonymi. Już od 1950 roku pozwalała ona Stanom Zjednoczonym na zapewnienie sobie decydującego wpływu na politykę ONZ, co w praktyce doprowadziło do przekształcenia ONZ w organ wykonawczy polityki zagranicznej USA.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że przeważająca część uczestników me-

chanicznej większości, to kraje gospodarczo zacofane — dwadzieścia republik południowo - amerykańskich, oraz wiele dawnych kolonii, które otrzymały niepodległość po ostatniej wojnie. Ale nawet i te kraje niejednokrotnie odmawiały swego poparcia delegacji USA. Wpłynęły na to dwa podstawowe czynniki. Po pierwsze, polityka zbrojeń i remilitaryzacji oznacza w praktyce porzucenie programu pomocy gospodarczej i technicznej dla krajów cofniętych w rozwoju; po drugie, tendencja Stanów Zjednoczonych do objęcia całego świata systemem atlantyckim pod przykrywką ONZ, napawa te kraje obawą przed koniecznością ich udziału w ewentualnym konflikcie.

Te dwa akcenty wylaniają się stale w wystąpieniach delegacji większości tych krajów, a w szczególności Indii, Iranu, Egiptu, Argentyny, Chile...

Oto przykłady: „...wielkie mocarstwa wydatkują setki miliardów na zbrojenia, podczas kiedy nasze narody znajdują się w okropnych warunkach...”

Albo „...nie zgadzamy się na wciążające nas do konfliktów między wielkimi mocarstwami, ponieważ my pierwsi padlibyśmy ich ofiarą...”

Ta woła samoobrony ze strony krajów gospodarczo zacofanych i dawnych krajów kolonialnych nie zawsze wyraża się po prostu głosowaniem przeciwko propozycjom delegacji USA. Faktem jest, że wielokrotnie miały miejsce głosowania, w których nie było mechanicznej większości. Niejednokrotnie jednak delegacje tych krajów głosowały razem z delegacją USA, ale dopiero po przeprowadzeniu w proponowanych przez USA tekstach zmian osłabiających ich charakter agresywny.

Najlepszym przykładem będzie tu rezolucja o „metodach utrzymania pokoju“ zwana inaczej „planem Achesona“. Jedenaście krajów, z których osiem uczestniczy w pakcie atlantyckim i w pakcie Pacyfiku (zwanym w skrócie ANZUS), złożyło wspólną propozycję, aby Zgromadzenie Ogólne *zatwierdziło* ich sprawozdanie, które w swoim zakończeniu przewidywało automatyczne rozszerzenie systemu atlantyckiego na cały świat. Egipt, Chile, Indie i inne kraje wystąpiły wówczas z propozycją aby Zgromadzenie *włączyło* to sprawozdanie *do akt ONZ, nie zatwierdzając go jednak*; przy tym kraje te dołączyły jeszcze zastrzeżenie, przekreślające charakter automatyzmu, zawarty w sprawozdaniu: dwa zastrzeżenia warte są więcej niż jedno.

Dopiero potem rezolucja została przegłosowana 51 głosami przeciw 5.

Większość przekształciła się więc z mechanicznej w wiarodolną.

* * *

Jeżeli prawdą jest, że jednakowe przyczyny powodują jednakowe skutki, to wzrost napięcia międzynarodowego, który nastąpił już po ostatniej sesji ONZ wskutek zastosowania broni bakteriologicznej w Korei Północnej, oraz wskutek faktycznego wciągnięcia Niemiec zachodnich do systemu atlantyckiego — powinien przejawić się na siódmej sesji nowymi i bardziej charakterystycznymi pęknięciami w łonie mechanicznej większości, nowymi, ostrzejszymi próbami oporu w stosunku do delegacji USA.

I tu właśnie istnieje pole dla działalności sił ruchu obrońców pokoju. W całokształcie czynników, które na ostatniej sesji ONZ wpłynęły na określenie postawy wielu państw w kierunku roz-

wiązywania spraw spornych drogą porozumienia a nie siły, poważną rolę odegrał nacisk opinii publicznej, wyrażony za pośrednictwem ruchu pokoju. Nie jest przypadkiem że przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego przyjął oficjalnie delegację Biura Światowej Rady Pokoju, zaś Sekretariat Generalny ONZ przyjął delegację Francuskiej Rady Obrońców Pokoju w kilka dni po upadku „planu Achesona“. Na podkreślenie zasługuje również fakt, że mówcy, którzy spowodowali fiasko „planu Achesona“, wyjaśniając dlaczego nie mogą poprzeć tego planu, kładli szczególny nacisk na konieczność liczenia się z opinią publiczną swych krajów.

Czynnik, które doprowadziły wówczas Zgromadzenie Ogólne do odrzucenia „planu Achesona“ działają nadal i to silniej. Jest więc rzeczą oczywistą, że jeżeli światowy ruch pokoju potrafi wyrzucić na Zgromadzenie Ogólne nacisk większy niż w ubiegłym roku, to ONZ powinna zająć wyraźniejsze niż wówczas stanowisko i wejść w sposób bardziej zdecydowany na drogę porozumienia.

W świetle tej oceny zrozumiałe jest znaczenie Kongresu Narodów w Obronie Pokoju, który zbierze się w Wiedniu jeszcze w czasie obrad siódmej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

* * *

Wiele delegacji na sesję ONZ odczuje wpływ Kongresu tym bardziej, że w jego porządku dziennym figurują problemy, które bezpośrednio dotyczą tych delegacji.

Zagadnienie niezależności narodowej i prawa każdego narodu do swobodnego wyboru odpowiadającego mu sposobu życia wypłyne niewątpliwie w

dyskusji nad sprawą Maroka i Tunisu. Istnieją podstawy do przypuszczenia, że w związku z tym zagadnieniem nastąpią tarcia między niektórymi uczestnikami paktu atlantyckiego. Będziemy również świadkami wspólnych usiłowań krajów Ameryki Łacińskiej oraz Środkowego i Dalekiego Wschodu, idących w kierunku zapewnienia realnej pomocy gospodarczej i technicznej ONZ dla tych krajów, co równoznaczne jest z dążeniem do obniżenia wydatków zbrojeniowych.

Zeszłoroczna sesja ONZ w Pałacu Chaillot pokazała tym krajom, że głosy ich stanowią siłę, z którą należy się liczyć. Można oczekiwać, że zechcą one wykorzystać tę siłę w interesie swojego rozwoju gospodarczego, a więc i swojej niepodległości.

Nie ulega wątpliwości, że problem krajów zacofanych może stać się przeszkodą, o którą rozbijają się próby „atlantyzacji” ONZ.

Opinia światowa oczekuje jednak przede wszystkim od ONZ rozwiązania problemów Korei, powszechnego rozbrojenia, oraz definicji agresji. To ostatnie zagadnienie weszło już w stadium realizacji. Na sesji w Pałacu Chaillot trzydzieści delegacji przeciwko dwunastu (w tej liczbie delegacja Stanów Zjednoczonych) wypowiedziało

się za uchwaleniem definicji agresji. Zadaniem obecnej sesji będzie opracowanie i uzgodnienie tej definicji; byłby to niewątpliwie poważny krok na drodze do utrudnienia ewentualnej agresji.

Problem Korei i zagadnienie planu powszechnego rozbrojenia bardzo mało posunęły się naprzód; rozmowy w Panmunżon znajdują się nadal w rękach amerykańskiego sztabu generalnego, który nie zamierza odstąpić swego miejsca dyplomatom z ONZ; czy większość zechce zrewidować swoje stanowisko w tej sprawie? Podobnie Komisja Rozbrojeniowa ONZ, funkcjonująca od lutego ubiegłego roku, nie uczyniła, praktycznie biorąc, żadnego postępu w swojej pracy.

Zanotujmy wreszcie, że poruszona zostanie niewątpliwie sprawa wojny bakteriologicznej. Pod adresem ONZ skierowane zostanie żądanie potępienia broni bakteriologicznej, podobnie jak broni atomowej.

Te punkty: pokój w Korei, plan powszechnego rozbrojenia i zakaz broni masowej zagiady, stanowią problemy, co do których najtrudniej będzie uzyskać porozumienie.

Wobec tych właśnie problemów opinia światowa winna wyrazić swoje stanowisko z największą siłą i zdecydowaniem.



INICJATYWA 183

WILLARD UPHAUS

JEZELI ci, którzy przynoszą pokój są błogosławieni, jak uczył Chrystus, wówczas tysiące obywateli stanu Waszyngton mogą kandydować do stanu laicki, gdyż ponad 27 tysięcy mieszkańców tego stanu podpisało orędzie pokoju, domagając się poddania go pod głosowanie ludowe w formie referendum podczas wyborów listopadowych. (Zgodnie z ustawami tego stanu, tekst referendum musi być uprzednio poparty 50 tysiącami podpisów, by móc go przedłożyć oficjalnie wyborcom).

Inicjatywę orędzia, które, będąc zarejestrowane pod nr 183, nosi powszechnie nazwę „*Inicjatywa 183*“, podjęły trzy matki amerykańskie, z których dwie mają synów w Korei.

Wyraziły one bezwątpienia prawdziwe uczucia wszystkich matek, gdy oświadczyły: „Jesteśmy zmęczone wojną. Chcemy, by synowie nasi powró-

cili do domu, gdyż tu jest ich miejsce. Ale idziemy dalej jeszcze: jesteśmy przekonane, że prawdziwe miejsce wszystkich chłopców amerykańskich jest u ich ognisk domowych“.

Szybko udało im się stworzyć komitet, w którego skład weszli księża, ludzie świeccy, młodzież, członkowie związków zawodowych. W parę dni później wiele osób na ulicach miast stanu Waszyngton podchodziło do przechodniów z prośbą o podpisanie petycji na rzecz referendum pokoju podczas wyborów listopadowych. Petycja brzmiała: „My, niżej podpisani obywatele stanu Waszyngton i wyborcy z miast, wsi i okręgów, wymienionych przy naszych nazwiskach, zalecamy, by poddano pod głosowanie ludności następujący tekst: „Wzywamy Kongres do złożenia oświadczenia, że celem polityki Stanów Zjednoczonych jest pokojowe współżycie z innymi narodami i do wezwania szefów wielkich mocarstw do zebrania się na konferencji, celem uregulowania istniejących sporów“.

Wstęp, składający się z trzech punktów, stwierdzał, że „spory pomiędzy narodami nie będą nigdy rozstrzygane siłą i gwałtem“.

„Inicjatywa 183“ jest zgodna z duchem Karty NZ, z artykułem 2, paragrafem 3 tej Karty, który stwierdza: „Członkowie Organizacji załatwiają spory międzynarodowe drogą pokojową, tak, by pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe, jak również sprawiedliwość nie były zagrożone“. Zgodna jest dlatego, że wzywa szefów rządów głównych krajów świata do zebrań się na konferencji celem uregulowania sporów i doprowadzenia do porozumienia, które położy kres groźbie wojny dla naszego i dla przyszłych pokoleń.

Podczas ostatnich dwu tygodni kampanii o zbiór podpisów pod petycją miałem sposobność zaobserwować żywcze przyjęcie z jakim się spotkała. Chodziło mi szczególnie o zorientowanie się w stanowisku zajęтым przez duchownych i ludzi wierzących. Była to, moim zdaniem, forma akcji na rzecz pokoju, najbardziej odpowiadająca narodowym tradycjom. Inicjatywa nie może budzić wątpliwości na temat wyniku rokowań. Jest ona potężnym atutem moralnym, wezwaniem do prezydenta i Kongresu, by nie tylko zwrócili szczególną uwagę na wszelkie propozycje pokojowego porozumienia pochodzące z innych krajów, lecz by sami podjęli inicjatywę w tym kierunku. Dla duchownych i ludzi świeckich, którzy wierzą w miłość pomiędzy ludźmi i pragną ich pogodzenia się, petycja s anowała sposobność dania wyrazu

ich pragnieniom. Mieli możliwość skoryzyszczać z lubianego, lecz często zapomnianego prawa do prośby.

Podczas tych dwóch tygodni zetknąłem się z przeszło 50 księżmi, bądź to telefonicznie, bądź też w bezpośrednich rozmowach albo na konferencjach w mniejszym gronie osób. Pastorowie Metodystów z okolic Seattle zapraszali mnie trzykrotnie do swoich parafii, gdzie spotkałem ich kolegów pastorów. Ojciec Harold J. Bass z kościoła Św. Pawła w Tacoma zaprosił do siebie 4 kolegów. Większe zebranie, w którym wzięło udział 60 osób, odbyło się w jego kościele w następnym tygodniu. Ojciec Charles T. Hatten z Centralia zaprosił gromadkę księży i wiernych. Dr Johnston z Yakima postarał się bym mógł przemawiać na zebraniu Rady Kościołów. Dał przykład podpisując petycję.

Reakcja księży była bardzo różna. Atmosfera była tak dalece zatruta „McCarthyizmem“, że niektórzy bali się, pomimo prostoty tekstu Inicjatywy i zgodnego z prawem sposobu w jaki została powzięta i wniesiona. Przyznawali, że muszą uważać na to co robią, że „pokój“ stał się niebezpiecznym słowem. Niektórzy byli bardziej zajęci pracą w parafiach. Inni znowu, stwierdzali, nie bez racji, że zapóźno się do nich zwrócono. Niewielka część odmawiała podpisu, twierdząc, że nie chcą mieszać polityki z religią. Kilku oświadczyło, że inicjatywa jest atakiem na rząd, który, ich zdaniem, „robi wszystko co może na rzecz pokoju“. Niektórzy sądzili, że ONZ nie odgrywa

już żadnej roli. Byli też tacy, którzy w wielkiej mierze dzielali wątpliwości i zniechęcenie, które spotykaliśmy czasem wśród prostych ludzi: „Wojny i groźby wojen będą zawsze“. „Nie można ufać Rosjanom“, „Nasz rząd jest skorumpowany“, „Jakie zmiany może przynieść nasz podpis?“. Ale wielu pastorów nie było bynajmniej pesymistami i szczerze nam pomagało. „Sytuacja staje się dziwna — oświadczył jeden z nich — jeżeli doszliśmy już do tego, że Kościół nie może pracować na rzecz pokoju“. Siedmiu z nich chętnie podpisało gorący i pilny apel do 1500 księży stanu, który wzywał ich do poparcia Inicjatywy.

„Pokój — pisali — jest powszechnym pragnieniem ludzkości. Ojcowie, matki i młodzież naszego kraju modlą się, by położono kres rzeziom i zniszczeniom wojennym. Jako uczniowie Księcia Pokoju, który nauczał: „Błogosławieni, którzy pracują dla pokoju“, musimy pomóc tej modlitwie... Możemy dać wyraz naszej wierze w rokowania i porozumienie, jako w środki do uregulowania sporów między narodami i ustalenia powszechnego pokoju. Możemy dać sposobność wszystkim wyborcom w naszym stanie do wyrażenia swych przekonań“.

List zwraca się do pastorów z prośbą o naświetlanie „Inicjatywy 183“ w kazaniach albo specjalnych komunikatach i o przygotowanie odpisów celem zbierania pod nimi podpisów.

Apel podpisali księża: Harold J. Bass i Arthur Beil z Kościoła Biskupiego w Tacoma, George L. Poor, metodysta od

Sw. Trójcy, George Lyles z Kościoła Pielgrzymów Babtystów, Ray C. Roberts z Kościoła Ludowego, Dawid Rose z Kościoła Kongregacjonalistów Alki, wszyscy czterej z Seattle.

Akcji nie udało się tym razem — za późno ją rozpoczęto — zebrać 50 tysięcy podpisów, które umożliwiłyby oficjalne referendum. Niemniej jednak komitet zebrał 27500 podpisów i gdybyście mogli byli widzieć zebranie końcowe w Olimpii, stolicy stanu, które odbyło się 7 lipca po południu, moglibyście się byli przekonać, że twórcy tej kampanii nie uważali bynajmniej jej wyniku za klęskę i postanowili ponowić wysiłki, licząc na o wiele lepsze rezultaty. Czyż 27500 podpisów nie jest dużą liczbą?

Trzy matki, których synowie są na wojnie oświadczyły przedstawicielom prasy: „Jesteśmy dumne, że „Inicjatywa 183“ położyła podwaliny pod masowy ruch pokoju“. Tysiące osób pochodzących z organizacji kościelnych, ze związków zawodowych i innych zrzeszeń zjednoczyło się po raz pierwszy, by bronić ludzi przed światową klęską. Jesteśmy pewne, że dotrzymałyśmy słowa, czujemy, że jeszcze bardziej zasłużyliśmy na miłość i szacunek naszych dzieci, przebywających w dalekich krajach“.

Jeden z najenergiczniejszych zbieraczy podpisów, który sam zebrał ich ponad 800, oświadczył na zebraniu w Olimpii: „Ludzie szukają nowych dróg. Nie lubią potrawy, którą właśnie jedzą. Kampania ta jest dowodem, że Waszyngton jest jeszcze stanem pionierów“. A jakaś matka dodała: „Moje

miasto (Summer) odpowiedziało, jak nigdy dotąd". Kampania pozwoliła po raz pierwszy młodzieży na skorzystanie z ich prawa do składania petycji. Pewien uczeń stwierdził: „że wiele osób zgadzało się z duchem „Inicjatywy 183“, ale że z takich, lub innych względów bały się ją podpisać. Głosowałyby za nią z pewnością, gdyby głosowanie było tajne.

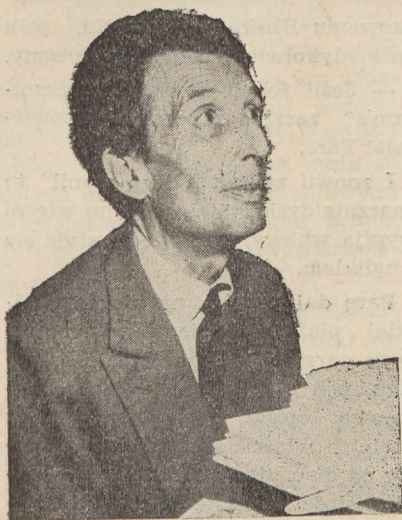
Pewne jest w każdym razie, że ruch

w obronie pokoju łączy wielu ludzi nie mających ze sobą nic wspólnego poza pragnieniem pokoju. Jeżeli mamy nadzieję, że Wschód i Zachód znajdą drogę do współżycia na tym świecie, czyż wobec tego ludzie, którzy są poza Kościołem i ci, co do niego należą nie powinni znaleźć wspólnej platformy? Dobrą formułą dla obu stron byłoby: „Niech ten który jest bez winy, pierwszy rzuci kamieniem“.



Fellah zabiera głos

ROGER VAILLAND



MÓJ pierwszy wieczór w Kairze spędziłem na tzw. „roof garden“, czyli na tarasie na dachu, w barze i nocnej restauracji hotelu „Semiramis“, które są miejscem spotkań dyplomatów, polityków i specjalnych wysłanników prasy międzynarodowej. Odnalazłem tam kolegów angielskich i amerykańskich, których od dwudziestu lat spotykałem po trochu wszędzie na świecie.

Walter Farr z „Daily Mail“, który wypił już dużo whisky, powtarzał: „Oto znów zgromadziliśmy się wszyscy. Zły znak dla Egiptu. Kiedy spadamy na jakiś kraj, jest to znak, że poleje się krew“. Potem krakał, naśladując kruka, lecz czynił to dyskretnie, gdyż jest Anglikiem.

Weszło dwóch ludzi, którzy usiedli na uboczu, z dala od brazylijskiej orkiestry, która usiłowała grać Ravela w stylu „bi-bop“. Jeden z nich musiał być ważną osobistością, gdyż wszyscy, na których spojrzał, natychmiast kłaniali mu się bardzo uniżenie. Twarz jego była szpetna, jak morze po burzy, koloru ołowiu z przeblaskami białości. Dolna szczęka, ogromna jak szczęka rekina, miała skłonność do opadania, jak gdyby miesiąc szczękowy odmawiał posłuszeństwa. Jego towarzysz, jakiś agent handlowy lub kupiec, sądząc po jego uniżonym zachowaniu się, usiłował go zabawić i śmiał się sam ze swoich własnych dowcipów. Człowiek ów jednak pozostał niemy, zgaszony, sztywny jak szkielet. Każdej

chwili oczekiwałem, że jego wyjęcie ze stawów szczęki zaczną kłapać.

Farr, który go znał, rozmawiał z nim przez chwilę. Jest to bogaty właściciel ziemski, były pasza i wielki ulubieniec byłego króla. Nazajutrz po abdykacji króla groziło mu aresztowanie, lecz nie przejął się tym zbyt, wiedząc z długiego doświadczenia, że kto posiada dostateczną ilość pieniędzy może wszystko w Egipcie załatwić. Usunął się więc dobrowolnie do małego pałacu, jednej z jego włości w Delcie. Dopiero co wrócił pospiesznie do Kairu, tym razem na prawdę przestraszony. Chłopi, jego chłopci odmówili płacenia czynszów dzierżawnych, których termin płatności nadszedł wraz z wielkim przybojem wody w Nilu. Odmówili nawet pozdrawiania go. „*Nie jesteś już paszą — powiedział mu jakiś fellah — nie jesteśmy ci nic więcej winni*“.

Szesnaście milionów fellahów na dwadzieścia milionów mieszkańców! Społeczeństwo egipskie opiera się na pracy fellahów. *Fellah* — to powinno znaczyć tyle co chłop, lecz w ustach bogaczy, którzy żyją z pracy fellaha, słowo *fellah* przyjęło znaczenie pejoratywne, *fellah* — oznacza tyle, co chamski, gburowaty, przyziemny. Dla Turków, Ottomanów, dawnych panów Egiptu, dumnych ze swej techniki wojskowej, pełnych pogardy dla rolnictwa, *fellah* — znaczyło tyle co Egipcjanin. Znaczy to, że dla nich, każdy Egipcjanin, obojętnie czy chłop czy pasza, nie był niczym innym jak tylko chamem. Upadek cesarstwa otomańskiego nic tu nie zmienił. Oto co

nie wróży nic dobrego paktowi wojskowemu Bliskiego Wschodu, jeśli on kiedykolwiek zostanie podpisany.

— Jeśli fellah powstanie, „Semi-ramis“ zacznie się walić — powiedział Farr.

I znowu zakrakał, lecz czynił to znacznie dyskretniej, gdyż im więcej wypija whisky, tym więcej staje się Anglikiem.

Parę dni później, na aleksandryjskiej plaży, w cieniu wielobarwnych parasoli, dyskretnych schronień, pod którymi rodzą się jednolite spiski, spotkałem kilku wielkich właścicieli ziemskich, którzy od dwudziestu lat kierują w rzeczywistości polityką egipską.

Projekt reformy rolnej, obietnica bez podania terminu, nie zatrwożyła ich zbyt. Uważali oni, że Naguib i Maher musieli dać jakiś ochłap fellahom, którym upadek króla pokazał, że nie ma instytucji, której nie możnaby obalić. Maher, przedstawiciel magnatów handlowych, był zadowolony z tego, że może nastraszyć obszarników i że dostał do ręki narzędzie, przy pomocy którego będzie mógł wywierać na nich nacisk. Jest to jednak człowiek rozsądny i zrównoważony. Czyż nie powiedział dopiero co, że potrzeba pięciu lat na to tylko, aby dokonać rewizji spraw katastrofalnych?

Niepokoili ich natomiast to, że ich zarządcy sygnalizują, iż wszędzie na wsi fellahowie wzięli daną im obietnicę dosłownie. Wypadki odmowy płacenia czynszów dzierżawnych należały jeszcze do wyjątków, natomiast powstawały niezliczone „komitety chłopskie“, które nawiązywa-

ły kontakt z tworzącymi się w miastach „komitetami narodowymi“. Tu leży niebezpieczeństwo. Temu właśnie nie powinien położyć kres ten obdarczony szczęściem generał, wczoraj jeszcze nieznany, a dziś dysponujący pełnią władzy. Cóż jednak może on uczynić na dłuższą metę ze swymi sześćdziesięcioma tysiącami żołnierzy i policjantów przeciwko szesnastu milionom fellahów?

Jeden z moich przyjaciół w Kairze, poeta arabski Gamal, powiedział mi, że ma przyjaciół na wsi. Poprosiłem go, aby mnie zabrał z sobą i pokazał mi owych fellahów, którzy wzbudzili postrach wśród swych paszów.

Wczesnym rankiem opuszczamy stolicę. Wlecemy się od pięciu z górą godzin. Po opuszczeniu Kairu, autobus sunął najpierw wzdłuż pustyni wschodniej, a potem wjechał w obszar Deltę, po drodze biegnącej prosto między dwoma rzędami eukaliptusów.

— Ta kukurydza i trzcina cukrowa, powiedział mi Gamal, należą do markiza de Carabas.

— Te plantacje bawełny należą do markiza de Carabas.

— Te pola ryżowe należą do markiza de Carabas.

Przejeżdżamy w tej chwili przez jedną z posiadłości byłego króla Faruka, który ze swymi 50.000 hektarów jest największym właścicielem ziemskim w Egipcie.

Zatrzymujemy się w rozległej wiosce. Nowy autobus, o wiele mniejszy, o wiele bardziej trzęsący i bardziej dychawiczny aniżeli pierwszy wiózł nas drogami wąskimi, pełnymi kurzu i wybojów, wzdłuż kanałów, w

których kąpały się nagie dzieci, woły barwy hipopotama, oraz wielbłądy i olbrzymie pławikoniki. Wsie ciągnęły się jedna za drugą. Samotność jest w Delcie czymś niemożliwym. Człowiek jest nieodłączną częścią krajobrazu. Gęstość zaludnienia w dolinie Nilu i na obszarze Deltę przekracza 500 mieszkańców na km² wobec mniej niż 50 we Francji. Luksem bardzo rzadko spotykanym, zarówno na wsi jak w mieście, jest posiadanie jednego pokoju dla siebie.

Nie istnieje również horyzont. Delta jest tak dokładnie płaska, że pole kukurydzy lub plantacja bawełny wystarcza, aby zasłonić widok. A z wielkich szkut, które wiatr popycha kanałami i odnogami Nilu, najczęściej widać tylko wysokie trójkątne żagle, które wydają się ślizgać po ścieżkach lądowych.

Na wysokości jakiejś służy Gamal trąca w ramię szofera, który zatrzymuje się, aby nam pozwolić wysiąść. Przeprowadzamy się przez kanał i idziemy polną drogą, w kierunku wioski, złożonej z białych sześciątów, nad którymi wznoszą się wiechy ze słomy lub trzciny, tworzące nad miejscinami Egiptu jak gdyby jasne targane wiatrem fryzury.

Pola bawełny obsypane kwieciami. Jest to kwiat takiego samego kształtu co duża malwa, lecz o żółtości żywej i jaśniejszej; gdy płatki opadną, kwiat zamienia się w welnisty kłęb. To bawełna. Po naszej prawej stronie rozpościera się ogromna plantacja pomidorów, sięgająca daleko aż do pola kukurydzy, tak wysokiej i

tak rozległej, że można by w niej ukryć batalion wojska.

Kobiety i dzieci, w grupach po dziesięć, zrywają pomidory. Grupa mężczyzn plewiła pole bawełny, posuwając się każdy swoją bruzdą. Od chwili wyjazdu z Kairu, nie widzieliśmy ani jednej maszyny rolniczej. Dzieci poganiały woły, wprawiające w obrót koła czerpaków. Wydobywały one brunatną wodę, której muły wyrwane zielonym lasom centralnej Afryki, stanowią najcenniejszy nawóz.

Wąski skrawek ziemi pomiędzy polami a drogą stanowił podłużną grządkę, na której dojrzewały bakłażany biskupie, pękate dynie i ogromne kawony. Czarnoziem doliny Nilu jest tak cenny, że nie pozwala się na to, aby nawet na drogach pozostawał nie wykorzystany. Dolina Nilu stanowi ogród lepiej wymierzony pod sznur, aniżeli ogrody naszych proboszczów. Droga zatrzymuje się nagle przy cuchnącej kałuży, którą musi okrążyć, pomiędzy stosami śmieci. Po drugiej stronie, tuż obok, na powierzchni o wiele mniejszej od tej, którą zajmuje moja włoska Buguey, która w r. 1900 liczyła 500 mieszkańców, a dziś 43, żyje osiem tysięcy fellahów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Gleba doliny Nilu jest tak cenna, że właściciele ziemscy skąpo wymierzają swoim fellahom powierzchnię ziemi ubitej, ziemi niepłodnej, niezbędnej im do spania. Dolina Nilu jest najbogatszym ogrodem świata, a fellah, najuboższym ogrodnikiem.

Chaotycznie rozmieszczone domy są ciasno stłoczone. Ściany zrobione z mułu, narzuconego na listwy dre-

wniane, wysuszonego na słońcu i powleczonego tynkiem z wapna, zachodzą jedne na drugie. W ten sposób wieś tworzy bryłę. Chodzi się po niej, jak po katakumbach. Ani podwórza, ani obory, ani stodoły, ani drwalni. Nie godzi się, aby ogrodnik wkraczał na teren cudzego ogrodu. Umieszcza swego woła w swojej sypialni, lub jeśli ktoś woli, stawia swoje łóżko w oborze swego woła; w rzeczywistości nie posiada on w ogóle łóżka. Z tego samego też powodu składa swój opał na dachu. A skutek tego? Oto drobna wiadomość, jakich wiele można spotkać w prasie egipskiej:

„We wsi Deir, w okręgu Toukh, wybuchł pożar, który strawił 217 domów, spowodował 20 wypadków śmierci, pochłonął zbiory i trzodę, oraz wpędził w nędzę 400 rodzin. Dochodzenie ustaliło, że pożar spowodowała pewna wieśniaczka, nazwiskiem Nefissa Hassan, która gotowała u siebie strawę. Kilka iskieł dostało się do umieszczonych na dachu wiązek chrustu i pod wpływem wiatru pożar wybuchnął niebawem“.

Zastępca prefekta, zwanego „omdeh“, osobisty przyjaciel Gamala, uprzedzony przez niego o naszej wizycie, oczekiwał nas na progu swego domu.

„Omdeh“ jest urzędnikiem mianowanym przez ministra spraw wewnętrznych dla administrowania wsią, czyli prefektem gminnym. W stosunku do fellahów dysponuje on władzą, ograniczoną jedynie postanowieniami wielkiego właściciela ziemskiego, pana feudalnego. Omdeh mianuje sobie do pomocy jednego, lub kilku zastępców, słabo wynagra-

dzanych, oraz stróżów wiejskich nie umundurowanych, uzbrojonych jedynie w pałki lub stare rusznice, których opłaca fellah.

Zastępca omdeha, który przyjął nas owego dnia, jest siostrzeńcem prefekta. To prawdopodobnie tłumaczy fakt, że omdeh przymyka oczy. Ten zastępca omdeha spędza bowiem zupełnie wyraźnie czas na tym, aby zajmować się żądaniami fellahów, co od dawna już powinno go być zaprowadzić do więzienia. Okazuje się jednak, że sam omdeh, jakkolwiek bardzo dyskretnie, sprzyja wielkiemu, domagającemu się praw, ruchowi chłopskiemu. Rzecz taka była nie do pomyślenia jeszcze przed dziesięciu laty. W owych czasach wszyscy bez wyjątku byli policjantami i tylko policjantami. Dziś natomiast zdarza się coraz częściej, że omdehowie przymykają oczy. Spotyka ich się nawet wśród członków tajnych ruchów demokratycznych. Przyczyna tego tkwi może w zwiększeniu liczby autobusów. Omdehowie nie tkwią już, jak wtedy, zamknięci w swoich wsiach. Kilka razy w roku jeżdżą do Kairu. Natykają się nosami na oświetlone witryny luksusowych sklepów. Są łzeni przez szoferów wielkich pojazdów słowami: „*Nie umiesz przechodzić przez ulicę, ty fellahu, chamie!*” Rozumieją oni, że tyran wiejski nie jest bynajmniej mniej nędzny od fellaha, który przed nim drży. Dla paszy, omdeh jest jedynie fellahem wśród fellahów.

Możliwe też, że przeszło tamtędy dwóch studentów, owych nowych pielgrzymów, którzy w okresie wakacji uniwersyteckich idą od wsi do

wsi i tłumaczą, jak paszowie sprzymierzyli się z Anglikami, aby utrzymać fellahów i ich omdehów w niewolnictwie, lecz że nadzieja istnieje, gdyż są już kraje, w których zbiorry bawełny należą do tych, którzy ją uprawiają. To wydarzyło się w owej wsi kilka lat przedtem.

Zastępca omdeha, który nas, Gamala i mnie, przyjmuje owego popołudnia, jest człowiekiem w wieku lat czterdziestu, wielkim, chudym i lekko zgarbionym. Nosi na sobie wyraźnie wyciśnięte cechy charakterystyczne narodu egipskiego: piękne proporcje, żywe i inteligentne spojrzenie, życzliwy uśmiech, wyraz dobroci na twarzy. Ten wyraz dobroci jest cechą najbardziej powszechną wśród najuboższych warstw ludności Egiptu, a zwłaszcza wśród młodych ludzi. Czasem spotyka go się również na obliczu prostych policjantów, którzy zresztą są niemal takimi samymi nędzarami jak fellahowie, co mogłem zaobserwować w trakcie wydarzeń, które nastąpiły po moim aresztowaniu (nazajutrz, w innej wiosce). Niegdyś mówiono o człowieku, który posiadał w wysokim stopniu uzewnętrznione cechy swojej rasy, że *ma w sobie rasę*, że jest *rasowy*, i w słowie tym dźwięczało coś królewskiego. Ten zastępca omdeha nosił po królewski swój galabieh, to znaczy koszulę bawełnianą, jedyne odzienie egipskiego wieśniaka, w kształcie raglana, opadającą równo aż do stóp. Gest, z jakim zaofiarował nam ryż z gołąbkami, który osobiście dla nas przygotował i owinięty w wilgotne płótno wypalany z gliny

dzban, w którym woda była chłodna mimo promieni słonecznych, ten gest nacechowany był prostotą i uroczystą godnością, która powszechna jest w Egipcie i wśród ludów muzułmańskich w ogóle, lecz jedynie w warstwach ubogich.

Zebrał on u siebie kilku dzierżawców ze wsi, abym mógł z nimi porozmawiać. Oto, co mi oni wyłożyli, a co zresztą znalazło również wyraz w petycji podpisanej przez wszystkich starszych rodzin, którą tego samego dnia wysłali do generała Naguiba:

Powierzchnia uprawna obejmuje 1500 hektarów, należących do jednej jedynej rodziny, która zimą mieszka w Kairze, latem w Aleksandrii, a sześć miesięcy w roku spędza w Europie i której fellahowie zupełnie nie znają, wyjąwszy administratora. Te rozległe włości są eksploatowane przez dzierżawców, zajmujących od jednego do trzech hektarów, oraz przez robotników rolnych (stosowana tutaj intensywna uprawa bez użycia jakiegokolwiek maszyny wymaga znacznej liczby siły roboczej).

Urodzajna gleba Deltę daje zbiory trzy razy w roku. Nie wchodzi w bardzo złożone szczegóły płodozmianów, które rozkładają się na szereg lat. Stwierdźmy po prostu, że na tej samej działce uprawia się jesienią bawełnę, na początku wiosny paszę, a na początku lata zboża.

Pasza wystarcza w sam raz dla wyżywienia wołów. Zboże zabiera właściciel jako zapłatę za całość nasion i innych dostaw w ciągu całego roku. Kukurydza zostaje u dzierżawcy i stanowi podstawę jego wyżywienia. Bawełnę rozdziela się nastę-

pująco: na jeden kwintal, pozostający u dzierżawcy, trzeba dostarczyć trzy kwintale właścicielowi. Ten kwintal stanowi jedyne źródło dochodów dzierżawcy. Cena rynkowa jednego kwintala bawełny na farmie wynosi w tym roku 3.700 franków. Przeciętna wydajność bawełny z jednego hektara wynosi 4 kwintale. Dzierżawcy otrzymują więc w zależności od wielkości farmy, od 8 do 24 tysięcy franków rocznie, z których opłacić muszą swoich robotników rolnych.

Robotnik rolny otrzymuje 50 do 60 franków dziennie i ma zapewnioną pracę jedynie w ciągu kilku miesięcy w roku. Zarobki jego wystarczają w sam raz na to, aby nie umrzeć z głodu. Los dzierżawcy nie jest wcale lepszy. Ogrodnicy najżyźniejszego ogrodu świata są wiecznie głodni. Dostawcy bawełny dla świata zachodniego chodzą w lachmanach.

Ogrody doliny Nilu wzbogacają wielką liczbę ludzi: egipskich właścicieli ziemskich, kupców, którzy kupują i sprzedają surową bawełnę, spekulantów, którzy obniżają i podwyższają ceny bawełny, międzynarodowych finansistów, którzy budują przedsiębiorstwa i tkalnie. W Auteuil pewien starzec żyje samotnie w ogromnym mieszkaniu, zapełnionym cennymi przedmiotami. Dzieje się tak dlatego, że uzyskał on prawo do części płodów najpiękniejszego ogrodu świata. Brytyjski bezrobotny pobieraienne odszkodowanie równe zarobkom pięciu egipskich robotników rolnych. Dzieje się tak dlatego, że Wielka Brytania, przy pomocy krętaćw, pobiera jeszcze swą dzie-

ścięcinę z wszystkich produktów doliny Nilu. A trzeba jeszcze dopuścić do udziału urzędników, żandarmów i policjantów, którzy czuwają nad tym, aby fellah nie wpadł nagle na myśl obalenia tego systemu. Jeśli zabierze się wszystkie produkty ogrodu, cóż może jeszcze pozostać dla ogrodnika?

Archeolodzy, dokonujący wykopalisk w Egipcie, ustalili, że niewolnik Faraona w osiemnastym wieku przed naszą erą mieszkał lepiej aniżeli dzisiejszy chłop egipski. Rodzina fellaha z okolic Teb posiadała dwie do trzech izb i niejednokrotnie również oborę.

Zastępca omdeha, który nas podejmował, pobierał pensję najniższego urzędnika, co jednak czyniło zeń osobę uprzywilejowaną wśród fellahów. Mieszka w domu złożonym z trzech izb, śpi w łóżku i posiada kredens z witryną, w której stoi 6 porcelanowych filiżanek i fajansowy talerz. Jest to jednak człowiek uczciwy. Przechował pieczołowicie słowa nadziei, przyniesione przed kilku laty przez dwóch wędrownych studentów. Kupuje książki, otrzymuje dzienniki, które nie zawsze są legalne. Wyjaśnia fellahom co się dzieje na świecie, tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie.

Uprzedza ich, że w niedalekiej przyszłości ich władcy nie zadowolą się już okradaniem ich z owoców ich pracy. Będą chcieli uczynić z nich żołnierzy, którzy poszliby walczyć z zaprzyjaźnionymi narodami na rachunek panów ich panów. Następnie poucza ich, że jeśli odważą się podnieść głowę i razem powiedzieć „nie“,

będą mogli zmienić warunki swego życia, gdyż koniec końców, oni są rzeczywistymi panami, albowiem bez ich pracy pustynia bardzo szybko pochłonęłaby napowrót najpiękniejszy ogród świata, a Nil płynąłby odtań przez ocean piasku, jak to było w czasach przedhistorycznych. Tacy ludzie, jak ten urzędnik najniższego stopnia zmieniają oblicze świata.

Gdy nadeszła wiadomość, że król został wypędzony i że nowa władza przyrzekła dokonać podziału wielkich włości ziemskich, zastępca omdeha natychmiast zorganizował „komitet chłopski“, który skupił niemal wszystkich chłopów ze wsi. Następnie pomógł zredagować petycję, którą właśnie miano wysłać do generała Naguiba. Gamal przetłumaczył mi jej treść.

Rozpoczyna się ona od przedstawienia warunków życia na wsi w formie, jak to przedstawiłem wyżej. Potem następuje szczegółowy projekt reformy: podział działek, organizacja spółdzielczości, mechanizacja systemu nawadniania i wreszcie, obniżenie stawek czynszowych, podwyższenie płac robotników rolnych. Wreszcie następują żądania narodowe: wyswobodzenie strefy Kanału Sueskiego, żadnych sojuszków wojskowych z Anglią ani ze Stanami Zjednoczonymi. Petycja kończy się licznymi hasłami. Cytuję takie jak:

„PRECZ Z IMPERIALIZMEM!“

„NIECH ŻYJĄ KOMITETY CHŁOPSKIE!“

„NIECH ŻYJE ZWIĄZEK ARMII I CHŁOPÓW!“

„NIECH ŻYJE ZWIĄZEK CHŁOPÓW I ROBOTNIKÓW!“

„ZIEMIA DLA FELLAHÓW!”

„NIECH ŻYJE NIEZALEŻNY EGIPCI!”

Byłem mimo wszystko zaniepokojony tak wielką wiarą w najbliższą przyszłość. Imperialiści nie tak łatwo zgodzą się na to, aby wypuścić z rąk lejące jarzma, nałożonego na karki fellahów. Bezczenny Egipt. Pustynie naszpikowane bazami lotniczymi, najpiękniejszy ogród świata dla zaopatrzenia w żywność baz wojskowych, najtańsza, jaką można sobie wymarzyć cywilna i wojskowa siła robocza, a nade wszystko rynek, przynoszący tak wielkie zyski z kapitałów już zainwestowanych lub do zainwestowania w przyszłości. Zamiast tyle ryzykować, lepiej opłacać po królewsku najemników, którzy okiełznają „komitety chłopskie”. A jak dowodzi historia, rodzinami najemnicy są najbardziej pożyteczni. Stają się w szybkim czasie tak skompromitowani, że jeszcze bardziej, niż ich mocodawcom zależy im na „utrzymaniu porządku”. Nie ma ministra zdrajcy, który nie bałby się najbardziej tego, że nadejdzie godzina, w której będzie musiał zdać rachunek wobec narodu i który nie zastanawiałby się każdej nocy na tym, że na pewno nie starczy miejsca dla wszystkich na ostatnim samolocie do Ameryki.

— Czy wierzycie, zapytałem zastępcy omdeha, czy naprawdę wierzycie, że generał Naguib ma zamiar przeprowadzić obiecaną reformę rolną? Czy jesteście pewni, że długo jeszcze będzie odmawiał podpisania układów w zamian za to uzbrojenie i te samoloty, które sprawiają tyle rozkozy wojskowemu, w zamian za zaszczyty, które radują ich serca, za te kapitały,

które pozwolą im odwrócić uwagę ludu egipskiego ku efektownym przedsięwzięciom?

— Jakże mogę wiedzieć — odpowiedział mi — co się dzieje w głowie jakiegoś generała, i co kryje się w tajnikach jego serca? Lecz po raz pierwszy w dziejach Egiptu w całym kraju tworzą się „komitety chłopskie”, redaguje się księgi żądań. Fellah zabiera głos. Oto co wiem. Jeśli generał Naguib nie usłyszy fellaha, wtedy zostanie zmieciony tak samo, jak zmieciony został król. Oto, co wiem.

Człowiek ten, jak już powiedziałem, przeczytał wiele w ostatnich kilku latach.

— Przypomnijcie sobie — ciągnął dalej — historię waszego kraju. Od zredagowania „księgi skarg” do Stanów Generalnych aż do dojścia do władzy Komitetu Ocalenia Publicznego upłynęło cztery lata. Niejeden człowiek, który w pierwszym roku udawał, że służy narodowi, okazał się następnie wrogiem narodu. Nie przeszkodziło to narodowi w odniesieniu zwycięstwa.

Zastępca omdeha towarzyszył nam aż do drogi. Na drodze polnej, biegnącej pomiędzy kwitnącą plantacją bawełny a ogromnym polem pomidorów ujrzelśmy zbliżającego się ku nam człowieka, ubranego w biały galabieh, siedzącego okrakiem na białym osle i osłaniającego się od słońca białym parasolem z frędzlami.

Człowiek ten zwrócił się do zastępcy omdeha:

— Zostałem — powiedział — wydelegowany przez wioskę XX. Przystępujemy do utworzenia komitetu chłopskiego. Powiedziano nam, że komitet z waszej wsi zredagował petycję. Jak się coś takiego pisze? Co należy powiedzieć?

Zastępca omdeha przyglądał się temu człowiekowi wzrokiem pełnym słodyczy i miłości.

— Idź do mnie i zaczekaj — powiedział. Trzeba powiedzieć wszystko, czego chcą fellahowie. Pomogę ci to napisać.

Na jakiejś odnodze Nilu, której nie było widać spoza wysokiej kukurydzy, powoli sunął wysoki trójkątny żagiel, jak gdyby posuwał się ścieżką polną. Zastępca omdeha, dotykając ręką grzbietu białego osła, słuchał co mówił delegat wioski XX. Zwrócił się ku nam — wysoki, chudy, nieco zgarbiony, królewski w swym białym galabieh — spojrzał na nas swymi żywymi, inteligentnymi oczami, wskazał gestem na fellaha i obdarzył nas niewypowiedziane łągodnym uśmiechem.

— Jak piękny jest mój kraj — powiedział Gamal.

Według ostatnich wiadomości, jakie otrzymałem z Egiptu, „komitety chłopskie“ umacniają się, a w licznych wsiach nie płaci się już czynszów. Władze pomnażają coraz nowe groźby, lecz wobec rozmiarów ruchu, który staje przed nimi — przynajmniej na razie — nie są w stanie ich wyegzekwować.

Jaką będzie przyszłość? Nie wykluczone, że Naguib, pociągnięty łatwością decyzji dyktatorów wojskowych nie ograniczy się do przyjęcia pomocy, jaką ofiarują mu Amerykanie (i Anglicy), lecz użyje obcych wojsk przeciwko swym braciom chłopom. Lecz jak powiedział do mnie zastępca omdeha: *„Jeśli generał Naguib nie posłucha głosu fellahów, zostanie w końcu zmieciony, jak zmieciony został król“*.



DEMAGOGIA I RZECZYWISTOŚĆ

GERALD CAZAUBON

W DNIU 26 sierpnia można było przeczytać w „New York Herald Tribune” następującą opinię Davida Lawrence’a, który jest skądinąd naczelnym redaktorem amerykańskiego pisma „US News and World Report”: „Jest tak mało różnic, a tak wiele podobieństw w poglądach obydwu kandydatów na rozmaite problemy bieżące, że większość ludzi zadaje sobie pytanie wokół jakich zagadnień toczyć się będzie kampania wyborcza”. Nie dziwi to nikogo. Polityka zagraniczna jaką prowadziła w ostatnich latach Stany Zjednoczone jest dziełem ludzi z obydwu partii. I tak Acheson zajmował się głównie paktem atlantyckim, Eisenhower, zgodnie z poleceniem prezydenta Trumana, sprawował dowództwo nad załóżką armii europejskiej, a John Foster Dulles przygotował traktat pokoju z Japonią. Co więcej, trudno jest sobie wyobrazić, aby jedna czy druga partia mogła zważać na odcinku wewnętrznym te specyficzne interesy amerykańskie, którym podporządkowana jest polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych. Wynika stąd powszechna dezorientacja wewnątrz obydwu partii. Iluż to de-

mokratów, nie widząc już potrzeby głosowania na swego kandydata, przetrząsało się na stronę tego, kogo uważali za silniejszego i oświadczało gotowość poparcia Eisenhowera. Wreszcie, jeśli wierzyć „Wall Street Journal” z 23 lipca, „prawdziwą przyczyną” dla której Stevenson, kandydat partii demokratycznej, odmawiał tak długo zgody na wystawienie swej kandydatury, jest jego zobowiązanie „wobec reformistycznej grupy republikanów z Illinois i niezależnych, którzy pomogli mu do sfinansowania jego kampanii na stanowisko gubernatora”.

Zapewne może się komuś wydać dziwne, że różne partie w sprawach polityki zagranicznej reprezentują w gruncie rzeczy identyczne stanowisko. I tutaj dochodzimy do jednej z cech charakterystycznych systemu dwupartyjnego w Stanach Zjednoczonych.

Dwie wielkie amerykańskie partie polityczne nie stanowią grup, złączonych wewnątrznie ściśle określoną teorią polityczną, stanowią one raczej zespół pewnych ludzi, kierowany według niektórych ogólnych zasad, w łonie którego istnieją rozmaite kierunki i opinie prawicowe i lewicowe.

W ten sposób w roku bieżącym możemy w partii republikańskiej zobaczyć stare elementy konserwatywne prawników takich jak Taft i elementy młodsze, rewolucyjne w oczach niektórych republikańców, takie jak Eisenhower. W pałacu demokratycznej — „Dixiekraci” z południa, reakcyjniści z północy, zwolennicy Fair Deal'u z Trumanem, liberałowie, obrońcy zasad New Deal'u. Z tego systemu wynika szereg faktów, których istnienie można stwierdzić każdego dnia. Tak demokraci jak i republikańscy, dalecy od utworzenia jednolitej partii, są podzieleni wewnątrz swych własnych szeregów. Między poszczególnymi grupami każdego z tych dwu obozów różnice są bardzo nieznaczne. Frakcje wewnątrz partyjne, które nie potrafiły narzucić swego zdania i swego programu w czasie konwencji partyjnej, są teraz zmuszone do milczenia w obydwóch partiach.

Wreszcie istnieje wielka liczba ludzi, którzy mają wyraźnie sprecyzowany program i którzy gardzą absentyzmem; może ich to zaprowadzić do trzeciej grupy politycznej — amerykańskiej partii postępowej, którą pozostałe partie usiłują wszelkimi sposobami zdławić i której uniemożliwiają dostęp do głównych środków propagandy jak telewizja, radio i prasa. Rezultat jest taki, że w Stanach Zjednoczonych powstał jakby samorządny opór wśród ludzi, których nie zadowala ani program republikańców, ani program demokratów. (Nie należy zapominać ponadto o wyjątkowo licznych bloku absencjonistów.)

Kandydaci na prezydenta i ich doradcy polityczni znają ten stan rzeczy i dlatego należy badać ich manewry w czasie kampanii wyborczej w zależno-

ści od tego gdzie stosują łagodną perswazję, a gdzie zmieniają swoje uprzednie stanowisko, aby zdobyć nowe głosy.

Z OKAZJI przemówień wygłoszonych w American Legion (Związek byłych Kombatantów Amerykańskich), przez Eisenhowera w dniu 26 sierpnia i przez Stevensona w dniu 27 sierpnia, mówiono o głębokich różnicach, jakie istnieją między dwoma kandydatami co do ich całkowicie różniących koncepcji politycznych. General Eisenhower wezwał do wielkiej krucjaty antykomunistycznej, do uwolnienia narodów zza żelaznej kurtyny. Zgodnie z тезami Foster Dulles'a bronił on idei „odporu”, to znaczy ataku bezpośredniego lub pośredniego na kraje demokracji ludowej i Związek Radziecki. Stevenson przeciwnie bronił tezy „oszaławiania się”, a mianowicie systemu bezpieczeństwa zbiorowego, który ma zapobiec wszelkiej ewentualnej agresji. Zaatakował on również zamachy na wolność myśli, stale powtarzane przez senatora Mac Carthy (popieranego przez Eisenhowera) oraz „patriotyzm”, który przekształcił się całkowicie w „nierawie do ZSRR”.

Oczywiście jest pewna różnica poglądów, tak samo jak istnieje różnica między celem, który się wypowiada wyraźnie, a celem który się maskuje. Trzeba przy tym dodać, że prezydent Truman wprowadził już w życie wiele posunięć zalecanych przez Eisenhowera, jak np. przyznanie kredytów na akcję sabotażową w krajach demokracji ludowej i audycje radiowe „Głosu Ameryki”, przeznaczone dla „krajów zza żelaznej kurtyny”. Niektórzy komentatorzy europejscy mówili o różnicach metod, ale nigdy nie krytykowali za-



Eisenhower

sadniczego celu. W rzeczy samej wydaje się, że deklaracje kandydatów są po obu stronach dyktowane dążeniem w dwóch kierunkach:

a) aby skorzystać z psychozy strachu, którą wprowadził Truman, wg ulubionych metod dzienników i konsernu Hearsta i polityków z 1895 r. tj. z epoki wojny kubańskiej i wysunąć się na czoło, to znaczy starać się zgalwanizować społeczeństwo dopóki nie zmęczy się ono ciągłymi kłamstwami;

b) aby nie wejść w konflikt z naturalnym dla Amerykanów pacyfizmem, pamiętać o opozycji wewnątrzpartyjnej, która jest niezadowolona z intryg, skierowanych przeciwko niej, oraz o oporze amerykańskim i dziedzictwie Roosevelta, które to wspomnienie żyje jeszcze w społeczeństwie.

EISENHOWERA wysunęła poważna grupa finansistów i przemysłowców, którzy uważali, że nadszedł odpowiedni moment, aby rozpocząć

ofensywę i wyjść z okresu połowicznych reform demokratów, oraz wciągnąć krnąbrnych Amerykanów do potężnego ruchu politycznego. Jest zresztą w zwyczaju partii republikańskiej wysuwać generałów jako kandydatów na prezydenta. Między rokiem 1868 a 1900 — na 9 prezydentów Stanów Zjednoczonych 7 było republikanami, a wszyscy oni — generałami lub bohaterami z czasów wojny. Opierając się na „wiedzy politycznej” John Foster Dulles, Eisenhower głosi krucjatę i oświadcza, że przed narodem amerykańskim leży wielka, światowa misja rozpoczęcia ofensywy. Trzeba zmieść rząd, pozbyć się strachu i wysoko dźwignąć święte chorągwie wyprawy krzyżowej. Można by to ująć w języku wojskowym w taką maksymę: „*boicie się wojny, to ją rozpocznijcie*”.

Wypadki, które miały miejsce po jego wojowniczej mowie do Legionu Amerykańskiego, wykazały zdrową reakcję narodu amerykańskiego i niechęć na samą myśl o krucjacie. „*Christian Science Monitor*” w artykule wstępnym z dnia 30 sierpnia br. zamieścił następujące oświadczenie: „*Chcielibyśmy bardzo wiedzieć co naród, który ostatecznie musi sam zrobić to wszystko, (chodzi tu o projekty Eisenhowera) myśli o polityce amerykańskiej*”. Philippe Reed jeden z przedstawicieli Morgana, finansowej podpory generała, oświadczył po tej mowie: „*Potrzebujemy prezydenta — żołnierza, a nie gadulę*”.

A Oldrich, prezes Chase Bank powiedział: „*Żupełnie niepotrzebnie straszysz się w przeddzień wyborów drobno-mieszczactwo w Stanach Zjednoczonych i w Europie jawnym nawoływaniem do wojny*”. W dziesięć dni później John Foster Dulles oświadczył, że

ani on, ani Eisenhower nie mieli na myśli wojny dla „wyzwolenia“ krajów demokracji ludowej. Oto jaki skutek wywarły niezliczone glosy krytyki w całych Stanach Zjednoczonych.

12 września generał Eisenhower odbył rozmowę z senatorem Taftem. Komentując to spotkanie Stevenson oświadczył: „*Generał Eisenhower ma zamiar przekształcić swoją wielką „krucjatę“ w „wielką kapitulację“ wobec sił Tafta*“. Jest faktem niezaprzeczalnym, że generał Eisenhower nie może nawet marzyć o samodzielnym zwycięstwie bez oparcia się o aparat administracyjny partii republikańskiej. Wierzył on, że potężny odruch społeczeństwa podtrzyma jego politykę, nie jednak podobnego nie nastąpiło. Przeciwnie, trzeba było nawet szukać poparcia u prawicy republikańskiej: pomocy od Tafta, neoizolacjonisty, ryzykując nawet „poprawki“ wniesione

przez Tafta do własnych koncepcji polityki zagranicznej generała. Wydawało się, że wielka krucjata spaliła na panewce.

KIEDY Eisenhower uczestniczył w obradach sztabu atlantyckiego i w manewrach wojskowych w Niemczech, Stevenson pełnił funkcję gubernatora. Mógł on zapoznać się na tym stanowisku z pragnieniami i dążeniami społeczeństwa, oraz brać czynny udział w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych. Należy tu podkreślić ciekawy fakt, że wobec wyborców amerykańskich, których nastroje zna z pewnością lepiej niż generał Eisenhower, uznał za stosowne wystąpić jako liberał. Wysunięty przez elementy prawicowe w partii demokratycznej mógł sobie być pozwolić na licytowanie się co do propagandy wojennej ze swym przeciwnikiem, tymczasem wręcz przeciwnie — zaatakował on i zdemaskował „krucjatę“ generała. W swojej pełnej ironii krytyce oświadczył, że ma nadzieję, iż Eisenhower nie został należyście zrozumiany, gdy wysunął swoją koncepcję „wyzwolenia“ narodów zza żelaznej kurtyny, dorzucając, że tego rodzaju pomysł wzięty dosłownie byłby szaleństwem. Bronił on wolności myślenia, atakując senatora Mac Carthy, owego maniaka na punkcie szpiegostwa, który był już niemal skłonny traktować Trumana jako komunistę. Zakłinał Amerykanów, aby nie poddawali się psychozie strachu, i „aby nie ulegli ideologii tych, którzy żerują na strachu innych“. Oświadczył on dalej, że nie wierzy w nieuchronność wojny. Krytykował tych działaczy partii republikańskiej, którzy chcieliby rozszerzyć wojnę koreańską na Chiny. Jeśli chodzi o kwestię przyjęcia Chin do ONZ, wy-



Stevenson

stąpił nawet przeciwko swoim własnym poglądom. Kiedy w kwietniu oświadczył, że jest temu przeciwny, to 9 września w Portland nie stał tak nieugięty, na tym samym stanowisku, mówiąc: „W przeszłości uznawaliśmy naszych wrogów — skoro tylko przeszkody jakie nas dzieliły zostały usunięte”. Ukazując wspaniałe perspektywy rozwoju energii atomowej w zastosowaniu do budownictwa pokojowego, oświadczył on: „Dopiero wtedy będziemy mogli wykorzystać konstruktywną potęgę atomu, kiedy zdoramy zahamować jego potęgę niszczycielską”. W tej samej mowie dodał jeszcze: „Rozwiązania tego problemu nie przyniesie wyścig zbrojeń, który doprowadzi do bankructwa albo do katastrofy o światowym zasięgu”.

Zapytany wreszcie jakie widzi środki dla utrzymania pokoju na świecie

odrzekł: „Odpowiem na to pytanie po prostu — rokowania. Współistnienie dwóch systemów gospodarczych i politycznych oznacza, że prowadzi się środkami pokojowymi walkę między tyranią a wolnością; to zaś doprowadzi do rokowań i kompromisów ale nigdy do złagodzenia i dlatego, jeżeli chodzi o mnie, nigdy nie cofnę się przed układami i kompromisami jeżeli będą one miały szanse zapewnienia światu trwałego pokoju”. Wśród tych oświadczeń przewijały się oczywiście ataki na Związek Radziecki, który Stevenson obciążał odpowiedzialnością za wyścig zbrojeń, rozdęcie budżetu wojennego Stanów Zjednoczonych i zerwanie układów, które mogłyby prowadzić do pokoju.

Stevenson zapewnia, że utrzyma w mocy wszystkie układy i traktaty zawarte w czasie kadencji Trumana i

Tradycyjna defilada faszystowskiej organizacji „American Legion”



broni idei bezpieczeństwa zbiorowego, armii europejskiej, paktów atlantyckiego i Pacyfiku jako jedynych lekarstw przeciw kryzysowi międzynarodowemu. Wreszcie trzeba zaznaczyć, że należy on do tego reakcyjnego spisku, który usiłuje zdezorientować opinię publiczną, ale w przeciwnieństwie do Eisenhowera chce uchodzić w oczach opinii amerykańskiej za bardziej umiarkowanego. W rzeczywistości jest on tylko bardziej zręczny. Wielu Amerykanów mówi o nim, że ma „*opinię liberała, ale w rzeczywistości jest to bardzo sprytny konserwatysta*“, cytując przykładowo uczynione przezeń obietnice, kiedy wybrano go na gubernatora stanu Illinois, obietnice nigdy przez niego nie dotrzymane.

NIEZADOWOLENIE narodu amerykańskiego jednak trwa i na tle jego żądań, czynnego niezadowolenia lub kompletnej apatii, na tle tej ciągle zmieniającej się scenarii, rozgrywa się w czasie kampanii elektoralfnej „*tragedia amerykańska*“. Kiedy Stevenson mówi o pokoju na całym świecie, o porozumieniu między narodami, społeczeństwo słucha go i oklaskuje. Kiedy Eisenhower demaskuje afery korupcyjne i proponuje, aby wszystko w zakresie administracji zmieścić, odwrócić kartę i zacząć od nowa, społeczeństwo przyklaskuje, ponieważ żyje w nim silne pragnienie sprawiedliwości. Korupcja jest jak gangrena, a społeczeństwo odczuwa potrzebę drogi jasnej i prostej. Oklaskując ich jednak, społeczeństwo zmuszone jest przyjąć rozwiązania proponowane przez jednego i drugiego kandydata, aby osiągnąć tak bardzo upragniony pokój. Skądinąd

głosy tych, którzy ukazują społeczeństwu trzecią możliwość zagłusza się, gdy tymczasem tezy oficjalne narzuca mu się wszelkimi środkami jakimi rozporządza propaganda. Skoro społeczeństwo przyjmie te tezy, wraz z wynikającymi z nich poświęceniami, stanie się ofiarą sofizmów i demagogii, którymi tezy te są przepojone. W popularnym podręczniku historii Stanów Zjednoczonych Charles Beard pisał: „*W roku 1895 niektórzy zręczni politycy zrozumieli, że wojna prowadzona zagranicą i zagraniczna polityka „siły”, odwracają uwagę narodu od nieszczęść wewnętrznych kraju i od programu reform*“.

Ten historyczny przykład nie traci swej aktualności i dzisiaj, ponieważ oficjalni kandydaci na prezydenta mówią głośno o pokoju, a w duchu myślą o jedynym, według ich mniemania, rozwiązaniu — o wojnie przez nich przygotowywanej. Jednak niezadowolenie społeczeństwa nie znika i rząd amerykański poczuł się zmuszony sięgnąć po broń innego rodzaju: „*Musimy się bronić przeciwko imperializmowi radzieckiemu*“, a myśli naprawdę „*...aby rozszerzyć panowanie Stanów Zjednoczonych nad rynkami zagranicznymi*“. Pod pretekstem walki z komunizmem doprowadził do oparcia swej władzy na tyranii. Niezadowolenie wzrasta: „*Dlaczego te metody tak drogo kosztują?*“ Koszty utrzymania wzrastają, podatki coraz bardziej ciążą, rolnicy są niezadowoleni. Amerykanie rozumieją, że ci, którzy mówią do nich tak demagogicznie o pokoju, to w rzeczywistości ci, którzy do niego nie dopuszczają oraz, że kryzys, którego są ofiarami, jest konsekwencją tej właśnie „*polityki siły*“.

List z San Francisco

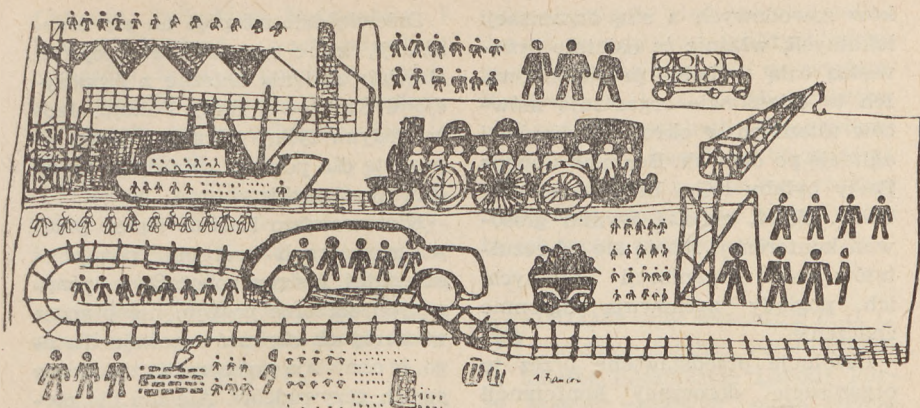
Otrzymaliśmy z San Francisco list, którego autor prosi o nieujawnianie jego nazwiska.

..Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie przesłać Wam garść informacji dotyczących głównie Kalifornii, stanu, w którym mieszkam, jednego z mających największe znaczenie w naszym kraju. Gubernator Earl Warren zwołał nadzwyczajną sesję Zgromadzenia Ustawodawczego Stanu dla uchwalenia ustawy, dotyczącej przymusowej rekrutacji do „Obrony Cywilnej“ — profesorów, nauczycieli i urzędników administracji publicznej. Ustawa ta dotyczyła co dziesiątej rodziny. Wprowadzenie jej w życie i zastosowanie zagrażałoby wykonaniu umów, prawu do pracy, jak również wolności słowa i zebrań, głoszonej w konstytucji. Czterdziestu trzech urzędników skierowało sprawę do sądu; setki osób odmówiły podpisania przedłożonego im oświadczenia lojalności. W następnym roku tysiące mężczyzn i kobiet porzuciły pracę w administracji.

W dniu dzisiejszym dwadzieścia sześć organizacji i związków zawodowych w Kalifornii zarówno jak Kobięca Liga Wyborcza, zwalczają wymagane od profesorów i urzędników administracji zaświadczenia lojalności. Ta prowadzona w Kalifornii walka przeciwko militaryzacji szkół i kolegów uważana jest w całym Stanach Zjednoczonych za decydujący aspekt walki o wolność myśli i nauczania wszystkich nauczycieli i profesorów amerykańskich. Dlatego też cztery ogólnokrajowe towarzystwa naukowe (matematyczne, filozoficzne, psychologiczne i filozoficzne), jak również honorowe towarzystwa studentów „Fi Beta Kappa“ odmówiły wystawiania kandydatur na profesorów na uniwersytecie kalifornijskim tak długo, jak długo będzie wymagane składanie oświadczeń lojalności. Rezultat jest taki, że ten największy w Stanach Zjednoczonych uniwersytet musiał zawiesić sto czterdzieści wykładów i że z każdym trymestrem setki profesorów opuszczają swoje katedry. Nasuwają się tutaj słowa pisarza John Howard Lawsona, przewodniczącego komitetu obrony Kalifornii, który przebył rok w więzieniu za wystąpienie przeciwko przygotowaniom do wojny i „procesom czarownic“:

„Najbardziej uderza nie fakt, że lista osób zdemaskowanych jako agenci była całkowicie znikoma, ale że istnieje ogromna liczba tych, którzy podtrzymują najpiękniejsze tradycje amerykańskie, i których nie uda się ani przekupić, ani zmusić do milczenia“.



NARÓD ANGIELSKI PRAGNIE POKOJU

GORDON SCHAFFER

ROKROCZNIE setki organizacji lokalnych brytyjskiej Partii Pracy zbierają się, by przedyskutować wnioski, które zamierzają poddać dyskusji na dorocznej konferencji Partii. Kiedy przychodzi do obrad Konferencji, wszystkie te przejawy opinii publicznej wyrażają się w pewnej ilości rezo-

lucji, a dyskusja zazwyczaj sprowadza się do starcia między skrzydłem prawym i lewym.

W momencie głosowania związki zawodowe reprezentują głosy swych członków, których liczba waha się od kilku tysięcy do miliona np. takiej Unii Transportowców (Transport and General Workers Union). Lokalne organizacje Labour Party nie mogą wtedy powołać się na więcej niż jeden lub dwa tysiące głosów.

Ale pomimo kontrastu, jaki istnieje pomiędzy potęgą wyborczą związ-

ków zawodowych a siłą organizacji lokalnych, właśnie te ostatnie prowadzą całą robotę propagandową. Ich to członkowie organizują mówców ulicznych w okresie wyborów i agitację po domach. Bez nich Labour Party byłaby tylko bezduszną machiną. Toteż, chociaż wyniki głosowań konferencji różnią się od rezultatów obrad organizacji lokalnych, ich poglądy zachowują ogromne znaczenie.

Rezolucje przedstawione przez te organizacje dorocznej konferencji Labour Party odzwierciedlają więc w sposób najbardziej istotny, wierne i jasny prawdziwe poglądy zorganizowanych robotników Wielkiej Brytanii.

Przyjrzyjmy się więc, w świetle tych paru uwag, rezolucjom odnoszącym się do zagadnień wojny i pokoju, które zostały przedstawione dorocznej konferencji Partii Pracy w Morecambe. Było ich 68 i chociaż wyrażały one różne poglądy co do podstawowej odpowiedzialności za obecną niebezpieczną sytuację międzynarodową, niemal jednomyślnie żądały podjęcia kroków zmierzających do położenia kresu napięciu, jakie istnieje między wielkimi mocarstwami.

Organizacje lokalne prawie jednomyślnie potępiały uzbrajanie Niemiec, żądały zawarcia pokoju w Korei, uznania rządu Chińskiej Republiki Ludowej, zwolnienia tempa wyścigu zbrojeń. Ustawicznie powtarzało się wezwanie do zakazu używania broni masowej zagłady, obejmujące po-
tępienie bomby atomowej oraz wezwanie do spotkania pięciu wielkich mocarstw.

Dziewięćdziesiąt pięć na sto organizacji, które wyraziły swą opinię, stawiały żądania zbieżne z propozycjami Światowej Rady Pokoju. Jedną jedyną tylko wyraża zupełną aprobatę dla polityki ostatniego rządu labourzystowskiego.

Kierownictwo Labour Party potępia nadal ruch w obronie pokoju i dziesiątki tysięcy robotników, pragnących szczerze pokoju, nie pracujących w szeregach obrońców pokoju dlatego, że obawiają się represji ze strony swych przywódców. Ale nic nie może ukryć faktu, że wśród aktywistów zorganizowanej klasy robotniczej Wielkiej Brytanii nurtuje myśl o nowym kierunku politycznym, który by zmierzał do zasypania przepaści dzielących wielkie mocarstwa i usunięcia groźby wojny atomowej.

KONGRES Związków Zawodowych, który odbył się niedawno w Margate, ujawnił te same dążenia. Prawda, że w ostatecznym głosowaniu odrzucone zostały dwie rezolucje potępiające politykę zbrojeń, żądające zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma mocarstwami i zaprzestania uzbrajania Niemiec i Japonii, jak również upadła rezolucja popierająca w całej rozciągłości żądanie redukcji programu zbrojeń. Ale za to, wbrew wszelkim trudnościom wysuwanym przez Komitet Wykonawczy, Kongres zażądał uchwalenia rezolucji potępiającej wojnę bakteriologiczną.

Co więcej, Kongres przyjął jednomyślnie rezolucję zgłoszoną pierwotnie przez Związek Zawodowy Górników, która żąda „nawiązania i rozbudowy stosunków handlowych z

Chinami, Związkiem Radzieckim i innymi krajami wschodnimi“ i stwierdza, że rządy powinny rozwinąć stosunki handlowe bez względu na to, jaki system polityczny panuje w tych krajach.

Przebieg obrad wykazał, że kierownictwo wołało nie odrzucać z wżyn prezydium żądań rezolucji w sprawie polityki zagranicznej, ale nakłaniało delegatów do głosowania przeciw nim, ze względu na to, co się rzekomo „za nimi kryje“.

Innymi słowy walka przeciwko konstruktywnym żądaniom na rzecz pokoju występuje teraz otwarcie przez podtrzymywanie antykomunistycznych nastrojów, co w tak subtelny sposób usiłuje robić prasa i radio. W chwili obecnej głośy kilku potężnych związków zawodowych wystarczają, aby przeforsować te poglądy w głosowaniu.

Ale jeżeli weźmie się pod uwagę sposób, w jaki odbywają się głosowania, okaże się, że coraz większa liczba związków zawodowych nie zgadza się na tego rodzaju argumentację. Kierownictwo T. U. C. może liczyć na trwałe poparcie dwóch związków: „**Transport and General Workers Union**“ (Unii Pracowników Transportu i Ogólnych) oraz „**General and Municipal Workers Union**“ (Unii Pracowników Miejskich i Ogólnych) które razem grupują dwa miliony, a więc jedną czwartą głosów. W warunkach normalnych może nadto liczyć na związek zawodowy górników (pół miliona), jakkolwiek ostatnio niewiele brakowało, by polityka kierownictwa została odrzucona przez ten związek.

Znamienne, że kiedy górnicy wchodzą na tory poparcia polityki postępowej (tak jak to zrobili na ostatnim Kongresie T. U. C., kiedy przedstawili projekt rezolucji domagającej się nawiązania handlu ze Wschodem), nie ma wewnątrz Kongresu żadnej możliwości utworzenia grupy, która by ich mogła przegłosować.

WIDZIMY więc wewnątrz T. U. C. te same dążenia, jakie ożywiają lokalne organizacje Labour Party. Metody głosowań mogą jeszcze ukryć tę prawdę przed powierzchownym obserwatorem, ale pozostaje faktem, że wystarczy nieznaczna zmiana opinii w związkach zawodowych, by spowodować gruntowny zwrot w całej sytuacji.

Przypomnijmy sobie, że z racji tego, iż Partia Pracy powstała z ruchu związkowego, postanowienia Kongresu Związków Zawodowych znajdują niezwykle szybko oddźwięk wewnątrz Labour Party, tak że ewolucja lokalnych organizacji Partii i organizacji związkowych z reguły przebiega równolegle.

W chwili obecnej, chociaż zaznaczają się jeszcze rozliczne sprzeczności, można powiedzieć z całą słusznością, że organizacje polityczne i związkowe zgodne są co do następujących punktów:

- 1) Jeżeli Wielka Brytania chce rozwiązać swe trudności gospodarcze winna ona zredukować swój ogromny program zbrojeń;

- 2) Powinna przeciwstawić się uzbrajaniu Niemiec i Japonii;

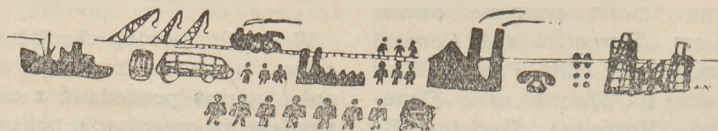
3) Należy znaleźć środki, by przełamać embargo amerykańskie i zapewnić handel z krajami budującymi socjalizm, handel, który umożliwi gospodarce brytyjskiej egzystencję.

Jasne, że trzeba będzie prowadzić jeszcze ciężką walkę, by zapewnić tym poglądom dalszy rozwój. Chociaż perspektywy niedalekiego Kongresu Narodów w Obronie Pokoju odpowiadają dążeniom znacznego odłamu narodu brytyjskiego, napotykają z pewnością na sprzeciw kierownictwa labourzystów i związków zawodowych. Z tego też powodu znaczna ilość osób i organizacji sympatyzujących z ideałami tego Kongresu, powstrzyma się od czynnego udziału w ruchu.

Mimo tych trudności, mimo względnej słabości ruchu obrońców pokoju jako ruchu zorganizowanego w odrębne ramy organizacyjne, poparcie udzielane hasłom światowego ruchu pokoju rośnie z dnia na dzień.

Poparcia tego udziału nie tylko zorganizowana klasa robotnicza. Jest także wielu kapitalistów, świadomych niebezpieczeństwa kryzysu, jakie grozi, o ile gospodarka brytyjska nadal będzie kierowana na tory wyścigu zbrojeń. Jest wielu przemysłowców rozumiejących, że bez wymiany handlowej z krajami budującymi socjalizm zostaną zniszczeni przez konkurencję amerykańską, japońską i zachodnio-niemiecką. Pośród organizacji religijnych w równym stopniu jak pośród tych, które reprezentują tradycje liberalne, wyrabia się też przekonanie, że należy podjąć wspólną akcję, by powstrzymać staczenie się ku wojnie.

Toteż najważniejszym zadaniem chwili obecnej jest uświadomienie temu potężniejącemu ruchowi, że będzie mógł wypowiedzieć się w pełni na Kongresie Narodów w Obronie Pokoju.





O *jedność* AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

SWIADOMOSC jedności narodów Ameryki Łacińskiej, tak mocno zakorzeniona w okresie zrzucania przez nie jarzma kolonialnego słabła w miarę jak po uzyskaniu niepodległości wojny domowe dzieliły terytorium na państwa mniejsze niż dawne wicekrólestwa.

Pół wieku później, po ostatecznym wytyczeniu granic i zorganizowaniu państw, rozpoczął się proces ich wzajemnej izolacji zarówno w celu zapewnienia sobie jedności wewnętrznej jak i ze względów ekonomicznych. I jeżeli którykolwiek z rządzących mówił czasem o „bratnich krajach” to nie znaczyło by myślał o „bratnich narodach”. Zapomnienie — zrozumiałe u szefów państw, którzy pochodzili z klasy wielkich posiadaczy ziemskich i byli związani interesami początkowo z Europą, a następnie ze Stanami Zjednoczonymi.

Jakkolwiek zawsze istniały stosunki handlowe między sąsiadującymi ze sobą krajami to jednak stosunki te były nieznaczne w porównaniu z wymianą prowadzoną z Europą i Stanami Zjednoczonymi, dokąd eksportowaliśmy nasze bogactwa naturalne otrzymując w zamian dobra kulturalne.

W ten sposób w ciągu całych pokoleń odwracaliśmy się od siebie my, narody Ameryki Łacińskiej, i to zarówno w dziedzinie materialnej jak i duchowej, mimo że już z podręczników szkolnych czerpaliśmy wiadomości o naszej wspólnej historii. Uczyliśmy się o generałach, którzy prowadzili zwycięskie wojny na obcym terytorium, o bohaterach, którzy wygrywali bitwy poza granicami swej ojczyzny. Czytaliśmy o marszach poprzez góry i doliny noszące dźwięczne nazwy hiszpańskie czy indiańskie. Miejsc tych jednak nadaremnie szukalibyśmy na mapie jednego państwa.

NIE mogliśmy ich też znaleźć w dziełach, które chciwie pochłanialiśmy, ani na obrazach, które oglądaliśmy, bowiem literatura i sztuka, która była nam dostępna, pochodziła z za morza, z półkuli, gdzie nawet pory roku są inne niż u nas na południu.

To prawda, że poziom kulturalny i artystyczny Ameryki Południowej był niski w porównaniu z Europą, że przeszłość klasy panującej — białych i metysów, którzy rządili tymi ludami i wyściskali na nich swe piętno była europejska. Dorzucenie do tego inny jeszcze czynnik, który stał na przeszkodzie naszemu wzajemnemu poznaniu: olbrzymie odległości, rzadkie i kosztowne środki transportu. Dziś jeszcze podróż samolotem z Kolumbii do Argentyny trwa dłużej niż przelot z jednego z tych państw do Europy lub Stanów Zjednoczonych. I dlatego jedynie dyplomaci i kupcy, to znaczy ci, którzy ze względu na zawód czy interesy nie dostrzegają potrzeb ludu mieć możliwość poznać inne kraje. Stan ten, niestety, nie uległ zmianie do dnia dzisiejszego.

Zdarzyło się, rzecz jasna, że gdy okręty Stanów Zjednoczonych przybiły do brzegów Ameryki Południowej z „karną ekspedycją“ lub gdy Teodor Roosevelt groził zastosowaniem „wielkiego kija“ („big stick“) nasi studenci wychodzili na ulice, protestując przeciw „Kolosowi z Północy“ i wyrażając solidarność z bliżej nieokreślonymi braćmi, o których istnieniu niewyraźnie sobie przypominali. Gdy taki wybuch mijał, fala zapomnienia rozlewała się na nowo, gładka i spokojna. Na niej, jak samotny zagiel wyłaniała się czasem książka w której jakiś Francuz opisywał nam Amerykę tropikalną,

Niemiec klasyfikował drzewa, które rosły przed naszymi oczami, a jakiś znów Anglik opowiadał nam o życiu, wierze, myślach i czynach ludzi, którzy żyli, wierzyli, myśleli i działali tak samo jak my. Widziana poprzez pryzmat Europy Ameryka Łacińska w końcu budziła w nas, jej mieszkańców zainteresowanie książkowe, estetyczne i należy przyznać — egzotyczne.

W czasie dwóch ostatnich wojen sytuacja zaczęła się zmieniać.

WŁASCICIELE ziem, stad i kopalń znaleźli nowego i potężnego klienta na rynku światowym: Stany Zjednoczone. Tymczasem, na rynkach krajowych poczęła ich stopniowo wypierać wzrastająca w siłę burżuazja przemysłowa i handlowa, która również nawiązała kontakty z Północą aby otrzymać te artykuły, których nie mogły jej dostarczyć Anglia, Niemcy i Francja. Funt szterling ustąpił miejsca dolarowi.

Przedsiębiorstwa północno-amerykańskie, zajmujące się eksploatacją surowców, powiększały swój kapitał początkowy w zawrotnym tempie, dyktując jednocześnie zarówno ceny jak i płace. Postępowanie to wywołało protesty i rewolty górników i robotników ziemnych od Rio Grande aż do cieśniny Antarktydy — potężne na północy, coraz słabsze i rzadsze na południu.

Gdy więc Franklin D. Roosevelt w okresie wojny z Hitlerem rozpoczął politykę dobrosąsiedzkich stosunków, zwrócił się nie do dyplomatów czy kupców Ameryki Łacińskiej, lecz do tych ludzi, którzy znani byli ze swych antyfaszystowskich przekonań, wiedząc, że tylko oni znajdą posłuch u narodów,

obawiających się słusznie wszelkich posunięć, ukrytych pod płaszczykiem panamerykanizmu.

Zadanie to nie było jednak łatwe, działacze postępowi bowiem zdawali sobie sprawę z istniejącego stanu rzeczy, który nakazywał dużą ostrożność. Wiadomo było przecież, że chociaż prezydent Roosevelt i pewne osoby z jego otoczenia chciały ograniczyć wpływ monopolu finansowych zarówno w dziedzinie polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej, wielcy kapitaliści przygotowywali się po zakończeniu wojny do zadania ostatecznego ciosu zasadom „New Deal“, oraz wykorzystania dla własnej ekspansji terenu, który „dobrzy sąsiedzi“ oczyścili z wszelkiej nieufności. Ofensywa karteli pozwała przewidzieć nowy rodzaj faszyzmu, którego dewizą byłaby „obrona demokracji“ i która między innymi miałaby na celu podbój ekonomiczny naszych krajów.

W tym momencie jednak najważniejsza była pomoc w zwycięskim zakończeniu wojny, której wynik nie był jeszcze przesądzony. Wierzyliśmy ponadto, że Franklin D. Roosevelt, który przeciwstawił się interwencji, gdy w Meksyku przeprowadzano nacjonalizację ropy, wygra wojnę i braliśmy dosłownie obietnice zawarte w Karcie Atlantycznej, według których skończyła się era systemu kolonialnego i każdy naród będzie miał prawo wybrać rząd najbardziej mu odpowiadający. Ożywieni tą nadzieją, w swoim czasie dynamiczną i potrzebną, my, którzy nie byliśmy ani dyplomatami, ani kupcami, zaczęliśmy przebiegać nasz kontynent, który znaleźliśmy tak mało.

ZDALIŚMY sobie wówczas sprawę jak mało wiemy o tych ziemiach. Nic właściwie poza nazwą jakiegoś wulkanu czy doliny, nazwą, która jakby czarodziejskim sposobem przypominała nam szkolne czasy i zeszyt, w którym niegdyś, już tyle lat temu wypisywaliśmy ją. Wspólnota, której niejasne przeczucie mieliśmy na ławkach szkolnych, narzucała się nam teraz z taką siłą, że niesposób było przebiegać tych okolic z obojętnym spojrzeniem turysty czy też wyschniętym sercem obcokrajowca. Czyż mogliśmy zachwycać się wspaniałym złożonym wnętrzem barokowej świątyni, kiedy widzieliśmy przy wejściu żebraków pokazujących swoje kikuty, lub ropiejące powieki na kształt krwawych blizn? Jakże mogliśmy podziwiać okazałe piramidy azteckie skoro na drodze spotykaliśmy ludzi, dźwigających na grzbiecie łóżka czy szafy przytrzymywane pasem biegnącym przez czoło? Jak nie widzieć — obok malowniczej strony targu, pełnego owoców „ponchos“, ubiorów, koszy, garnków i kwiatów — dzieci w łachmanach o rachitycznych nogach i wzdętych brzuchach? Czy możliwy był wypoczynek na piasku najwspanialszej plaży świata, nad lazurowym morzem pod bajecznie kolorowym parasolem, gdy wystarczyło tylko odwrócić głowę, aby zobaczyć ponad drapaczami chmur, jarzącymi się tysiącami światła, pagórki pokryte masą ponurych bud skleconych z desek i płótna, w których ludzie żyją w straszliwej ciasnocie nie mając kropli wody dla orzeźwienia warg i spocynych ciał? I jak spokojnie obserwować tęczowy lot motyla lub kolibra w szmaragdowym cieniu tropikalnej puszczy, wiedząc w jakich warunkach żyją, pracują i cierpią ci, którzy w tym

samym mroku leśnym ścinają kosztowne drzewa lub zbierają kauczuk, trzcinę cukrową czy herba-mate?

Być może, tak być może, że w innych stronach świata moglibyśmy napotkać podobną nędzę. Lecz tam wiatr nie kołysze rozległych jak morze pól kukurydzy i lucerny, tam nie widzi się zielonych liści drzew bananowych, trzciny cukrowej, winnic i pól kawowych pokrywających setki mil; wnętrze ziemi nie zawiera takiej ilości miedzi, cyny, wolframu, węgla, żelaza, nafty, złota, diamentów i szmaragdów; i gdyby tam przystąpiono do podziału gruntów, nikt nie otrzymałby dla siebie takiej ilości ziemi do użytku. I jeżeli nawet w innych stronach świata istnieje podobna bieda, to jednak my, mieszkańcy Ameryki Łacińskiej czujemy się głęboko odpowiedzialni za nędzę naszych krajów i uważamy za swój obowiązek najszybciej położyć jej kres.

TA nędza wzrasta; „zimna wojna“ prowadzona w imię „obrony demokracji“ przemienia nasze porty na wszystkich trzech morzach w otwarte rany, przez które wycieka bogactwo naszych krajów.

Nasze bogactwa i nasze surowce mają zająć miejsce tych, które przemysł Stanów Zjednoczonych zużył w czasie ostatniej wojny i nie może ich już więcej znaleźć u siebie. Dyktując bardziej, niż kiedykolwiek politykę swoim rządowi, monopol pólnocno-amerykańskie zwróciły uwagę na jedyny teren, gdzie mogą działać, nie narażając się na wejście w orbitę domniemanych wrogów: Amerykę Łacińską, „backyard“ (tylne podwórze) jak ją sami nazywają, twierdząc, że należy ją uporządko-

wać i opanować, zanim się zaryzykuje przystąpienie do trzeciej wojny światowej.

Stąd te paktów wojskowe, które ograniczają suwerenność, obciążają poważnie budżety i utrudniają harmonijne współżycie naszych krajów; stąd poparcie, udzielane dyktatorom takim jak Trujillo, Somoza lub Batista, poparcie dla każdego rządu, który słucha, zwalczanie każdego, który nie chce się ugiąć.

Narody południowo-amerykańskie powstają coraz bardziej przeciw polityce ustępstw. Ilustracją tego są chociażby: triumf ostatniej ludowej rewolucji w Boliwii; wzrastająca siła powstańców w Kolumbii; manifestacje przeciw podpisaniu paktu wojskowego w Chile; narastająca fala walki w Peru; zwycięstwo kandydata, który w czasie niedawnych wyborów na prezydenta w Ekwadorze przyrzekał bronić sprawy narodowej; rosnący ruch w obronie bogactw naturalnych Brazylii; wstrzymanie w Meksyku rozmów na temat wzajemnej pomocy na wypadek niebezpieczeństwa; poparcie zwolenników Perona, kiedy obiecuje realizację polityki zagranicznej, odpowiadającej życzeniom narodu; poparcie jakim cieszy się rząd Guatemali, niezłomnie broniący niepodległości kraju.

Czy mamy jednak prawo oskarżać jedynie monopol amerykański, że los tych, którzy uprawiają, zbierają i wydobycią z ziemi bogactwa wywożone z kraju nie ulega poprawie? Byłoby to tylko ślouchliwe i niebezpieczne zrzucanie z siebie odpowiedzialności, gdyby bowiem nie było tych sprzedających rządów, gdyby nie klasa społeczna zawsze gotowa do ustępstw — nie mielibyśmy do czynienia z tak bez-

względny kupcami. I dlatego powinniśmy sobie zadać pytanie, jakie przed trzema wiekami postawiła poetka meksykańska Ines de la Croix, pisząc o pewnych nieszczęsnych kobietach: „Kogo należy bardziej oskarżać: tę która grzeszy aby otrzymać zapłatę, czy tego, który płaci za grzech?”

Dzisiaj pokolenia, które stawiają sobie to pytanie, są zdecydowane skończyć ze sprzedajnością swoich rządów, z zamianą niepodległości narodowej na takie błyskotki dla współczesnych dzikusów jak jeepy czy bazooka, czołgi i bombowce (używane często przeciw naszym własnym robotnikom); nie dadzą się wciągnąć w wojnę prowadzoną w imię wrogich interesów.

TE nowe dążenia przeciwstawienia się wojnie i wyzwolenia gospodarczego łączą nie tylko ludzi różnych warstw społecznych, lecz wszystkich mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Sztandarem tej jedności jest sztandar obrony pokoju. Zgromadzeni pod tym sztandarem spoglądamy poprzez granice, które dzielą nasze kraje i uświadamiamy sobie, że wyłącznie jedność może dać nam siłę. Solidarność pozwoliła nam odkryć, olśnionym i wzru-

szonym ojczyznę świetniejszą i rozleglejszą, niesłuchanie bogatą, niesłuchanie piękną i rozmaistą.

Trzy lata walki o pokój wystarczyły, abyśmy dowiedzieli się co się dzieje w innych krajach Ameryki Łacińskiej, abyśmy odczuli jak własne — cierpienia, jakich doznają ludzie, abyśmy się zainteresowali książkami, jakie się wydaje, piosenkami, jakie się śpiewa, dziełami sztuki, jakie się tworzy, nadszanie, jakie się rodzą w sercach narodów, właśnie *narodów* a nie krajów bratnich.

Ani wielka prasa, ani liczne rozgłoszenie radiowe trzech Ameryk z wyjątkiem jedynie Guatemali nie podają wiadomości o tym odrodzeniu braterstwa ludów Ameryki Południowej, wzrastającego i umacniającego się w obronie pokoju. Nie dziwi to nas. Historia powtarza się: przed wiekiem z górą, podczas walk o niepodległość, prasa Świętego Przymierza nie wspominała o ruchu wyzwoleniczym, a oczerniała jedynie tych, którzy brali w nim udział. Lecz mimo wszystko kolonie hiszpańskie wywalczyły sobie niepodległość, a potomność na całym świecie oddała sprawiedliwość bohaterskim wyzwolicielom.



ŻYCIE NA WIELKICH RZEKACH



NAD BRZEGAMI GANGESU

MULK RAJ ANAND

RZEKA płynie posępna poprzez noc, napelniając świat swoją natrętną obecnością: na dżunglach, na wzgórzach, na zamieszkałych terenach ciąży bezmiar jej przeczuć. Rzeka ta to Ganges o licznych dopływach, królewska droga Hindustanu. Unosi ona z sobą topniejące śniegi Himalajów, zalewa ziemię i dzieli się na nieskończoną ilość rzeczek, kanałów, moczarów. To Ganges,

o którym legenda mówi, że wypływa z głowy samego Sziwy, Stwórcy oo-chronia i unieściewia wszechświat.

Popioły spalonych ciał i jasne pyłki roślinne mieszają się w jego wodach, z których pielgrzymi czerpią nektar dający nieśmiertelność. Źródło życia i ostateczna mogiła — niesie on ze sobą moc, co uzdrawia i zapładnia, zarodki stu klęsk i zarodki stu śmiertelnych chorób. Jest Oczyszczicielem, Karmicie-

lem, Mordercą; przez miliony mężczyzn i kobiet czczony jak Matka, jest on tajemniczym zbiornikiem wszelkich nadziei, wszelkich dążeń, marzeń i prężyć ludów Hindustanu. Jest wielkim symbolem, albo, jeśli kto woli, jest po prostu wielką rzeką, która płynie od wieków i nie przestaje płynąć.

W ciemną noc przybyłem z sąsiedniej wioski ku stromym brzegom Gangesu. Z tarasu letniej rezydencji mego gospodarza wpatruję się w nią z natężeniem, ale jednocześnie przenika mnie jakieś dziwne przecucie, jakiś głęboki lęk. Bowiem zaledwie o sto jardów ode mnie palą się na żałobnych stosach dwaj zmarli — ja zaś nigdy nie umiałem pozbyć się przerażenia, które w latach dzieciństwa ogarniało mnie na myśl o tych wszystkich *Dzinnis*, *bhuts* i *howbattas* od jakich roiło się w opowiadaniach mojej matki i w gawędach kumoszek z mojej rodzinnej wioski.

A przecież — czy nie jestem nowoczesnym człowiekiem? Czy nie zwieździłem połowy kuli ziemskiej, czy nie rozprawiałem na sto różnych tematów? Czy nie widziałem wielkich fabryk i zapory wodnej Sukkur, poskramiającej Indus i maszyn - olbrzymów, które chwytają przyrodę za włosy, ujarzmiają ją i zmuszają do wykonywania miliona sztuk, jak to czynią wędrowni komedianci ze swoimi małpami? Czy nie wiem o tym, że w tej samej chwili wydarzenia przemieniają umysł człowieka i stawiają przed jego nareszcie otwartymi oczami inny los, nowe nadzieje? Czemu zatem ogarnął mnie lęk? Czyżby to było niezbędne i zdrowe wątpienie, które mnie przejmuje na widok tyłu cudów? Są oczywiście chwile gdy rozpraszają się moje lęki. I wtedy ulegam czarowi żywiołów. Wo-

dy rzeki w swoim bezczelnym hałasie zachowują coś z tej furii, z jaką torowały one sobie ongiś drogę poprzez wąwozy i lodowce aż ze szczytów Himalajów. Wieje od rzeki wietrzyk świeży i jak gdyby śnieżny — jego powiewy zdają się być zapowiedzią nowego życia dla tych, których dręczy upał przegrzanej ziemi. Wielka panorama rozciągająca się z dwu stron rzeki, gdzie niegdzie rozsiane zielone gaje, wysokie gałęzie stożkowatych cyprysów, które gwarzą z niebem, ciemna masa lasów wypełniająca krajobraz aż po horyzont — wszystko to działa niesłuchanie kojąco. Jakże uspokajające jest płodne życie ludzkości, która trudzi się i modli, brzęczenie owadów, wycie szakali, któremu odpowiada szczekanie psów i od czasu do czasu ryk osła. Jednakże muszę przyznać, że lęk ogarnia mnie na nowo. Daremnie udawać odwagę, gdy w głębi serca czai się trwoga. Oszukiwałbym sam siebie, gdybym w siebie winował, że wszystko jest trwałe, skoro wiem, że naokoło mnie świat się wali, skoro wiem, że naokoło mnie istnieją próżnie, które wołają o to, aby je zapełnić. Kłamałbym sobie, gdybym utrzymywał, że we mnie samym nie istnieje żaden konflikt, z pewnością nie tak wielki jak ten, który obejmuje ludzkość, ale w swej małości podobny do wielkiego konfliktu, odbijający w sobie te same sprzeczności: walkę pomiędzy starym a nowym, pomiędzy przeszłością a przyszłością, pomiędzy przeznaczeniem, które mi zostało przekazane przez przodków a moim życiem obecnym, takim, jakim pragnę je zbudować.

Oczywiście nie tracę zaufania do siebie, do moich przyjaciół. Oczywiście, ich wkładu i wkładu mojego życia nie uważam za mało ważny. Ale zadaniem

na dziś jest wyrwać swoją duszę ze skały Dogmatu, z jakiego wyrosła, wkrzesać ją, prowadzić poprzez bagno nagromadzone wokół niej w ciągu wieków przez fałszywie rozumianą duchowość, wydobyć ją z ciężkiej nocy, w której się gubi, po to, by ją odnowić.

Gdy widać rzekę jak w chwilach zbyt rzadkich błyszczy w nocy niczym różaniec kolorowych banieczek — wtedy moje obawy oddalają się ode mnie i nie trwoży mnie już żar ze stosu umarłych, ani gigantyczna moc żywiołu. Ale trzeba by płomienia wulkanu, by zniszczyć we mnie widma przeszłości.

RZEKA płynie posępna poprzez noc, napelniając świat swoją natrętną, obecnością: na dzunglach, na wzgórzach, na zamieszkałych terenach ciąży bezmiar jej przeczuć.

Długi czas Indie wyprzedzały Europę w bardzo wielu dziedzinach życia; wszak dzieje ich były o wiele dłuższe. Ale stopniowy upadek Indii też był długotrwały. Potężne dynastie Azji ze swoimi olbrzymimi terytoriami, a znikomymi środkami komunikacji, z nieprzeliczoną ludnością czekającą bezustannie na nawadnianie ziemi, ze skarbcami opróżnionymi do połowy przez zbyt kosztowne życie książąt — rozpadły się wreszcie na drobne kawałki. W tym samym czasie w państwach europejskich, stosunkowo dużo mniejszych i dużo mniej trwałych, rozwijała się gospodarka o wiele bardziej zwarta i kultura o wiele bardziej dynamiczna.

Nieposkromiona żądza władzy książąt i szlachty, ustawiczny wyzysk chłopów — oto co samo przez się zemściło się na feudalizmie indyjskim. W epoce w której wojenne zmagania, jeżeli po

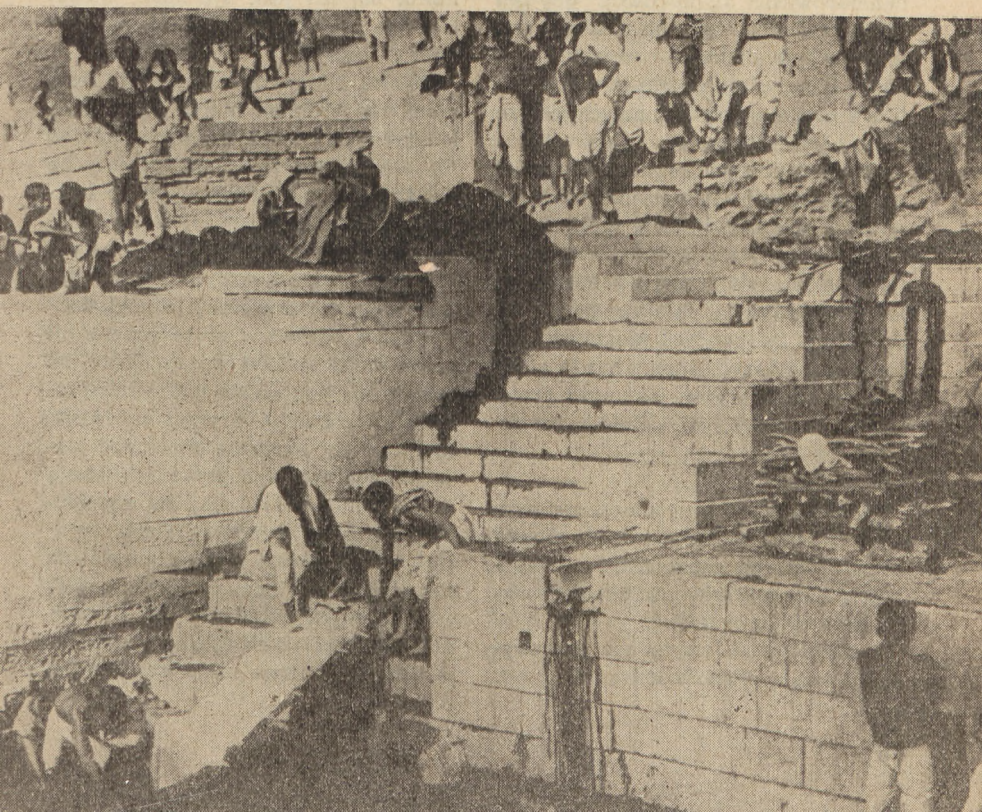
prostu nie podatki, wysysały z wiosek ostatnie zapasy ziarna — nastąpił wielki rozłam w kulturze ludów Indii. Z jednej strony rozwijała się sztuka o wielkiej finezji, pełna egzaltacji i dworności, sztuka klas wyższych, podczas gdy z drugiej strony i nie zależnie od pierwszej istniała nadal bogata, intensywna tradycja sztuki ludowej, sztuka buntu, ale nie całkowicie pozbawiona pesymizmu — skutku bolesnych doświadczeń mas chłopskich przyzwyczajonych do głodu, posuchy, chorób i wojen.

Dwa te prądy w sztuce wiodły oddzielny żywot aż do czasu, gdy rzecznicy sztuki dworskiej, obawiając się utraty nawet własnej duszy, postanowili sięgnąć do wiekuistego źródła wszelkiej kultury, to jest do ludu z jego pieśnią, tańcem i rytmem. Bowiem sztuka ludowa jest zawsze szczerą i spontaniczną. Jest to sztuka kolektywna, wyraz całego narodu, jego najgłębszych radości i bólu; jest to kwintesencja jego filozofii, wyrażonej przy pomocy całej archaicznej obrazowości, przy pomocy mowy męskiej, rytmu zrodzonego z żywego kontaktu mężczyzn i kobiet z kołowrotkami i mieczami, z pługami i warsztatami tkackimi, z bogami i z demonami. Ortodoksyjne pojęcie Boga jedyne, górując nad rozbieżnymi drogami obu tych kultur — niepodzielnie panowało nad wszystkim co usprawiedliwiała oligarchię kapłanów. Abstrakcyjna idea istoty Najwyższej umiała oczywiście ustępować przed wyobrażeniami konkretniejszymi na użytek tych, którym potrzeba bożków z kamienia lub drzewa. Uczenie skomplikowany rytuał, bogata ornamentacja, śpiew miedzianych dzwonów, nauka o *moscha* czyli o stopniowej reinkarnacji po każdym w trudzie

przebyłym życiu, z każdorazowym zbliżaniem się do ostatecznego celu to jest do końcowego „wyzwolenia“ — wszystko to miało na celu wprowadzanie uciśnianych w błąd, przyjmowanie przez nich na ślepo swego losu, wszczepianie w nich pesymizmu. Zdawało się, że w zestawieniu z całym tym arsenałem, zachodnia idea przemiany, rozwoju zdolności człowieka, jego bezpośredniego wzbogacania się — nigdy się w Indiach nie zakorzeni. Istotnie, w miarę jak wiekowa władza ekonomiczna kasty kapłanów poczęła się zmniejszać — cała dawna filozofia została podjęta i propagowana na nowo.

Nie należy jednak oceniać tego co dzieje się w Indiach dzisiejszych jedynie jako skutek przewagi ortodoksji nad innymi prądami. Byłoby to zbyt powierzchowne. Nie wolno pomijać niezliczonych prądów przeciwnych, które tryskają z wielkiej rzeki i od niej się oddalają. Cudowne wzbogacenie induskiego Panteonu przez dodawanie nieprawowiernych symbolów, bożków w postaci węzów, bożków — drzew, bóstw rzek, rozlicznych form kultu macierzyństwa pokazuje, że różnymi drogami ludzie szukali nowych wierzeń, bardziej przystosowanych do nowych pragnień i nowych sił. Większość wiel-

Rytuał pogrzebowy nad brzegami Gangesu



kich średniowiecznych prądów religijnych Vaishanawaizm, Saiwaizm, Saktizm, Sikhizm i inne wielkie ruchy mistyczne były tylko wyrazem buntów ludowych, były nowymi poglądami zrodzonymi w nowych formach wspólnoty. Pomimo religijnej formy, którą przybierały ruchy o charakterze społecznym i religijnym — usiłowały one zmienić układ społeczeństwa kastowego.

Jaki był zasięg tych rewolucji? Jak gwałtowny był gniew ludu wywołany przez braminów? Jak nastąpiła porażka? Na jakich kłamstwach można było budować pozorną trwałość wiary? Czy bramini o białych brodach byli aż tak zręczni, aby nagiąć się do czci bóstw, które na początku zaledwie tolerowali? Wszystkie te pytania pozostają bez odpowiedzi aż do chwili, gdy nagle gniew ludu wybucha niekiedy rytmem ballady ludowej i wojennej pieśni. I tylko wiara w istnienie licznych bóstw objawia obecność innych jeszcze sił niż siły braminów. Rozkwit zaś form artystycznych wykazuje również na swój sposób istnienie nowych form wrażliwości, nowych form społecznych. I tak rozwiewa się legenda o zamkniętej w sobie, statycznej i zamierającej kulturze induskiej. Istotnie, jakże by ona mogła żyć bez tych wiecznych buntów, bez większych zmian, bez tej ustawicznej walki, skoro, jak mówi poeta, Iqbal „Grecja, Rzym i Babilon umarły“.

RZEKA płynie posępna poprzez noc, napelniając świat swoją natrętną obecnością; na dżunglach, na wzgórzach, na zamieszkałych terenach ciąży beźmiar jej przeczuć.

I zdaje się, że winna ona przezwyciężyć każdą przeszkodę.

Noc ustępuje przed rankiem. Podobnie też gaśnie triumf rzeki. Odtąd już mogą widzieć boczne drogi, słyszeć huk dopływów. W moim umyśle mieszają się stare dziwy zrodzone wraz z lasem, wysiłki ludzi, aby żyć w wolności, długa walka z dawnymi wierzeniami, obawy wzmagane przez niewiedzę, bolesne przymierze człowieka z cierpieniem; ale widzę także mocne postanowienie ludzi, aby zawsze walczyć wbrew ponawiającym się porażkom. Widzę teraz jasno — oczami otwartymi na świat — jak człowiek, zaryty nogami w ziemię niby monolit, walczy ze swoim losem.

Dzisiaj obchodzi mnie właśnie ten bój olbrzymi pomiędzy rzeką a jej dopływami, pomiędzy życiem pełnym zgiełku a ustalonym ładem wielkiego nurtu; bój ten jest, być może, wiekisty, ale przybiera on dzisiaj inną postać.

Ostatni zdobywcy nie są ani cesarzami ani królami; nie są nawet szalonymi mędrkami z dawnych czasów. Są to po prostu spekulanci grający na giełdzie, są to bankierzy, ludzie interesu, złodzieje, którzy stali się książętami, są o właściciele ziemscy i przemysłowcy, prawnicy i mężowie stanu wszelkich barw skóry, o poglądach wszelkich odcieni. Oni to przerzucili przez rzekę stalowe mosty, które im zapewniają panowanie nad strategicznymi punktami. Oni przez swoją siłę zapewnili sobie zwierzchność nad rzeką i każą jej wzbogacać ich swoją pracą. Oni położyli rękę na sąsiadujących z rzeką bogactwach lasu, równin i wzgórzach i mogą zamienić na niewolniczą siłę ludzi, którzy mieszkają w okolicznych wioskach. W długich, 4.000 lat trwających dziejach tego kraju, nie było trwalszego zwycięstwa.

Wszak władca starożytnych nie był nigdy taki potężny, nie przenikał tak doskonale wszelkich prądów myśli, uczuć i warijacji jak czyni to obecnie Bóg nowy, Pieniądz. On to, ten nowy absolutor, podważył całą podstawę dzisiejszej ludzkiej egzystencji, on przeżarł więzy życia zbiorowego, które przecież przetrwały susze, powodzie, okresy głodu i wojen. On to — niszcząc starą wspólnotę induską — odosabnia jednostkę, ogala ją z wszelkiej godności, rzuca braci jednych na drugich, dokonywuje wyborów w skutek których wybijają się tylko najcyniczniejsi i ci, co są najgodniejsi pogardy. On to sprzedaje śmierć niezliczonym masom dokonywując jednocześnie tej sztuki, że przy pomocy sprytniej i podłej publicystyki przedstawia ją jako życie. Arcykapłani nowej religii, jakimi są dyrektorzy monopoli i kartelów, koncesjonariusze, ludzie czarnego rynku, mają rachunkowość sto razy bardziej skomplikowaną niż rachunkowość braminów. W ich rachunkowych księżkach każda dusza ludzka zaznacza się długim szeregiem produktów po stronie „ma“. Druga kolumna, kolumna „winien“ pozostaje nietknięta. Tyranii i trwode, które wzbudzą, udało się zniszczyć, w ciągu zaledwie kilku pokoleń, autonomię dawnych wspólnot wiejskich i doprowadzić ludzi do stanu „martwych dusz“. Klęska człowieka słabego, przejętego zawsze małymi, bezpośrednio dotyczącymi go sprawami, zdaje się być pewna i całkowita. Chyba, że weźmie on na swoje barki pełną odpowiedzialność za tysiąclecia cywilizacji i nada im kształt nowy, kształt twórczy.

Jeżeli strachy wywoływane przez krajobraz nie przestaną mieć przewagi nad umysłami ludzi tego kraju, jeżeli

w dalszym ciągu baniowie, radzowie i gielda nie przestaną być panami, to istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że eony przyszłości będą mogły nadal podziwiać prawa, rządzące w przestrzeniach niebieskich w wyludnionym wszechświecie, w którym pozostaną tylko domy bez ludzi.

Nigdy żadna epoka nie sprzyjała bardziej niż dzisiejsza złowrogim prze powiedniom cyników, którzy głoszą nieuchronne zawałenie się naszej cywilizacji. Ile to pysznych wież zapadło się w naszych oczach, pozbawionych złudzeń. Oto gasną już lampy: grożą nam coraz większe ciemności, i najpotworniejsza z ofiar. Chyba że woła ludzka uczyni z tej groźby początek nowego Odrodzenia.

WPROWADZANIE nowej techniki zawsze narusza ustalony bieg rzeczy. I nawet sami grabarze cywilizacji pozostają bezsilni wobec powolnego a nieuchronnego wylaniania się nowych warstw ludności spośród tych koczowników, tych niewolników, którzy drapali ziemię w poszukiwaniu marnej strawy. Czegokolwiek nie dokonał egoizm kast wyższych dla wpojenia w lud trucizny i śmierci — lud zawsze podnosił się z otępienia; zawsze panowie-władcy stęczyli się w nicłość i zawsze nowe triumfujące życie powstawało z ich śmierci.

Nauczyłem się tej prawdy w katakumbach Europy, gdzie fatalizm Anaksagorasa i Ksenofana, podobny do groźnych bóstw cywilizacji aryjsko-drawidyjskiej, potrafił ustąpić — dzięki obfitym żniwom po wsiach i dzięki nowemu państwu — przed nauką Sofistów, którzy z człowieka czynili miarę świata. W owych czasach, chociaż kładziono nacisk na bezosobowy i kos-

miczny Absolut, umiano odróżniać piękno życiodajnego płomienia, zalety człowieka, jego osobistego rozumu.

Dialektyka przemian jest bardzo subtelna. Wydaje się, że rzeczy tak mało zmieniają się na powierzchni, a zmiana wewnętrzna jest prawie niezrozumiała. W naszej epoce złożona gama rzeczywistości wyjawiała tak dramatyczne zmiany w świecie zewnętrznym, że zapytujemy się sami siebie, czy nasze życie wewnętrzne pozostało nadal tym, czym było, czy też może przetrzymało się i ono także? Łatwo było Heraklitowi widzieć wodę płynącą pod mostem i głosić, że nic nie jest stałe i wiekuiste w naszym wszechświecie. Wszak widział on jak błyszczwały pierwsze ognie cywilizacji helleńskiej. Okresy dzikości i barbarzyństwa znikły prawie w jego oczach i pojawiały się pierwsze pąki cywilizacji helleńskiej. Ale nasza epoka jest epoką ścierania się idei, epoką przeciwieństw, odziedziczonych po różnorodnych Przeznaczeniach przeszłości.

W rzeczywistości skutek wypadków jest aż nadto widoczny. Historia w swej całości stała się jak ów kwiat Tennysona, ów „kwiat w popękanych murze“, który ma dać tym co mogliby go poznać, klucz do wszelkiego poznania. A także wyrażamy się w sposób zagadkowy i powierzchowny. Ale wiemy, że wody Gangesu nie są te same, wiemy, że rzeczy zmieniają się. Możemy powiedzieć tym, którzy uważają naturę ludzką za niezmienną, że niczego nie zrozumieli, albo że świadomie prowadzą robotę destrukcyjną, że przeszkadzają człowiekowi pozbyć się starej magii dawnych słów, że chcą wznieść się na wyższe szczeble w społeczeństwie, nadużywając dobrej wiary innych.

Zasadniczą sprawą w walce człowieka dzisiejszego jest świadomość jego siły, obrona godności, wola walki.

RZEKA płynie...

A ja mam jeszcze w pamięci pierwsze słowa słyszanej w dzieciństwie piosenki; piosenki, której autorem jest wielki poeta Pendżabu, Ajit Singh:

„O chłopie, pewny i mocny, nieś
pewnie i mocno turban na swej głowie“

Myślałem zawsze o tych słowach, że są one najprostszym, najdumniejszym wyrazem całej walki naszego ludu. Turban, te trzy metry materiału, utkane w domu, to symbol godności; dawno już zniszczyła go nędza biedaków.

Święta kąpiel w Jaipur



Czas już odnowić fałdy turbanu na głowie hinduskiego chłopca tym razem jako jego koronę. Czas już, aby ten człowiek na pół z głodu umarły, na którego Bania pluje, którego Radza kopie nogami, powstał i uderzył ze swej strony. Zbyt długo trzymano chłopca w stanie stagnacji i śmierci. Korupcja wielkich tego świata tak go osłabiła, że nawet wtedy gdy zagraża mu głód nie zna on innego rozwiązania dla swojej nędzy jak tylko położyć się biernie i dać sępom pożreć swoje ciało. Drapieżnych zwierząt i drapieżnych ptaków dużo jest w naszym kraju. Drapieżnych ludzi także. Myślę jednak że za długo pozwalaliśmy, aby pan hulał z nami jak chce. Za długo czekaliśmy na nieuniknioną zemstę natury nad niesprawiedliwością. Za często nadstawialiśmy uszu na złe rady, a odkąd nasi cudzoziemscy władcy złamali podstawy naszego życia społecznego, nie potrafiliśmy odnaleźć zwartości, nie zbędnej dla walki o dobrą sprawę. Bo wiem walka w pojedynkę jest niepotrzebna i jałowa. Taka droga prowadzi tylko do rozkładu i do śmierci. Potrzeba nam jedności jeśli chcemy zdobyć się na wielki wysiłek, rzucić jaczmo, które ciąży na naszych barkach, wymieść śmieci, które zanieczyszczają naszą ziemię. Nie możemy pozostać na wieki przytłoczeni jak zwierzęta.

Nasi przodkowie — czy dowiedli czegoś czy nie dowiedli na płaszczyźnie idei — zostawili nam w spadku przykład wspaniały. Pokazali nam, że człowiek, chociaż wiódł ongiś razem ze zwierzętami brutalne życie lasu, potrafił jednak wznieść się ponad zwierzęta, stać się wielkim wróżbiarzem, czarodziejem, poetą, opanować i wykorzystać na swój użytek wiatr i deszcz, ogień i wodę, wynaleźć narzę-

dzia i maszyny. Idąc za pługiem, dźwigając wodę aby zaspokajać głód i pragnienie człowiek rozumiał, że kiedyś zdoła wpływać na dziedziczość i panować nad przyrodą, której dotąd był poddany. Wielka to prawda! Wszystkie pieśni, wszystkie myśli, wszystkie uczucia i wszystkie wrażenia, które napływają ku nam z przeszłości mówią nam o tych przemianach. Wielka to prawda! wszak człowiek wymyślił, aby ją wyrazić, rytualne gesty, które zaklinają przyrodę; wypracował język, tę cudowną broń i skomponował dla wypowiedzenia swej nadziei owe hymny, owe poematy, które w ciągu minionych wieków opiewały walkę.

RZEKA płynie posępna poprzez noc...
Ale z ciemności ma zrodzić się promienne światło...

Chociaż więc czuję się niezmiernie mały w stosunku do ogromu zadań do spełnienia, chociaż wiem jak olbrzymi trud czeka na tych, co pragną być panami jeszcze nie narodzonej chwili — jednak mam tę głęboką pewność, że nie mamy wzywać pomocy Shankary czy Patanjali. Są oni bowiem odtąd częścią każdego z nas. Z samą rzeką trzeba nam mówić, jeżeli płonie w nas płomień walki. Musimy mieć nie tylko jasną świadomość dobra i zła, zalet i wad, ale musimy także poznać tę prawdę, którą zdaje się zrozumieć inżynierowie, którzy budowali kanał w górze rzeki: że żywioły, ogień i wodę, parę i powietrze można ujarzmić i zmusić, aby pomagały nam produkować zboże i ryż; że traktory niosą życie, że nawet najmniejsze nasze rzeczy zawierają w sobie jedną z największych sił świata. Podobnie i Ocean

naszej historii — analogicznie rzecz biorąc — jest źródłem najgłębszej, najbardziej człowieczej mądrości, o ile potrafimy być panami naszych uczuć i naszej myśli.

Nie niepokoją mnie wszystkie te pytania. Nie proponuję programu na milion lat. Nie zachowałem wielu złudzeń w stosunku do świata, w którym życie miesza się ze śmiercią, Nie, sny niespokojnych nocy wiążą się właśnie z jutrzejszą walką. Tak, jak dopływ, który rodzi się daleko od wielkiej rzeki i sam żłobi sobie koryto, przyzwyczaiłem się do długiego oddechu. I wiem, że w sąsiedniej wiosce, za bungalow *Dak* istnieje zorganizowana siła *Kisan Sabha*,

siła zwyciężona w wielu potyczkach, ale zaprawiona w boju. Na jej rozwiniętych sztandarach widnieją dwa słowa, dwa wielkie żądania ludzkości: Chleba i Sprawiedliwości.

Rzeka płynie posępna poprzez noc, napełniając świat swoją natrętną obecnością; na dżunglach, na wzgórzach, na zamieszkałych terenach ciąży bezmiar jej przeczuć...

Widzę jak moi bracia coraz większą gromadą wychodzą z wioski z modlitwą i pieśnią na ustach. Widzę ludzi, masy mężczyzn i masy kobiet wypływających na powierzchnię życia, śpiewających wiekuiście pieśń zwycięskiej walki.

„Olbrzymia panorama rzeki, nieraz szczególnie kojąca...”

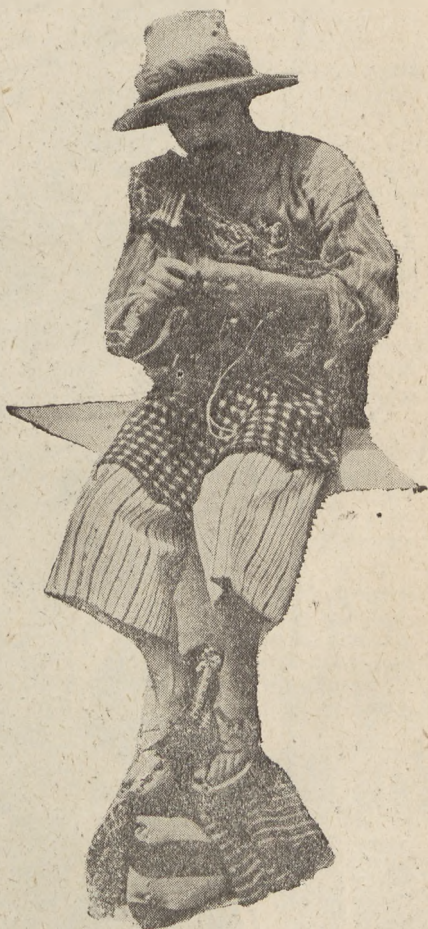


SZTUKA MAJÓW

MIGUEL ANGEL ASTURIAS

KIEDY ukazały się pierwsze poezje Miguela Asturias, pt. „Rayito de Estrella” i „Emulo Lipolidon”, piękno słowa, bogactwo poetyckiej inwencji i przenikająca je wyobraźnia spowodowały, że ich autor uznany został za jedną z najbardziej obiecujących nadziei młodej literatury Ameryki Łacińskiej. Następnie przyszedł „Legendy Guatemali”: cała prastara kultura Majów, pokryta mrokiem zapomnienia, zdruzgotana trzy wieki temu przez hiszpańskich najeźdźców, powraca w tych legendach, w których czynnik fantastyczny wiąże się najściślej z realizmem, gdzie ziemia i praca ludzi i bogów, zawsze jeszcze żywych w ludowej wyobraźni — na przekór importowanemu chrystianizmowi — prowadzi intensywny żywot.

Ale dopiero „Pan Prezydent”, świeżo udostępniony w tłumaczeniu francuskim, wysunął Miguela Asturias na czoło literatury łacińsko-amerykańskiej Asturias, który przybędzie niebawem oficjalną misją do Paryża i któremu zawdzięczamy poniższe uwagi, jest także autorem drugiej jeszcze powieści: „Człowiek z kukurydzy”, na której przetłumaczenie niecierpliwie czekamy.





WSIE ludności tubylczej na terenach, które przez wieki zajmowali Majowie guatemalscy, przedstawiają żywy i oryginalny obraz tego, czym był i czym w zasadzie jeszcze nadal jest świat, w którym czynniki roślinne i magiczne uzupełniają się nawzajem, aby pomagać człowiekowi, bronić go i podtrzymywać, nie jako wtórny, wyrozumowany jego wytwór, a jako rodzaj cudu, olśniewającego zdumiewającym ładem i porządkiem wewnętrznym.

Krajowiec, spadkobierca Majów, to osobnik, który w mistrzowskim stopniu opanował sztukę życia w należytej proporcji do otoczenia, zwłaszcza w zakresie funkcji estetycznych i religijnych — proporcji, której osiągnięcie ułatwia znakomicie wyjątkowo sprzyjający klimat, jawny sprzymierzeniec jego bytowania, zarówno jak łatwość zdobycia pożywienia.

Tam, gdzie rzeźba terenu daje podróżnikowi widok gór, podobnych z oddali do lazurowych mórz, których nieruchome fale ujęte są w gigantyczne sploty drzew, wioska tubylcza wydaje się gniazdem ludzkich ptaków. Składa się na nią kilka, zawsze tych samych, elementów: kościół o liniach architektonicznych, zharmonizowanych z falistością krajobrazu, rynek, wielka księga życia ludności krajowej, rzucający ostry, gęsty cień w świetle słonecznym, to znów rozświetlający wieczorny mrok budynek rady gminnej, podstawa życia społecznego wsi i wreszcie kupka domków — najważniejsze rozłożone wzdłuż ulic, inne przykucnięte w zagłębieniach nierównej i żyznej ziemi. Wszystko to uzupełniają wspólne grunty gminne, skąd zwozi się drzewo do ugotowania strawy, gdzie rośnie kukurydza i fasola, które zapelnia spichlerze, gdzie uprawia się jarzyny i owoce. Ale to proste i czynne życie spleta się w sposób niemal instynktowny z tworzeniem i podtrzymywaniem sztuki ludowej. Można by twierdzić, że prostota obyczajów, rutyna wierzeń religijnych i niewybredna technika zwyczajowa mają jako przeciwwagę świat przeżyć artystycznych, który podtrzymując w głębi ich serc zdolności twórcze, pozwala im dobierać przepiękne zestawienia barw, tworzyć wspaniałe stylizowane wzory pokrywające ich tkaniny, ich ceramikę, ich meble i sprzęty, zdobne w sceny alegoryczne i wyobrażenia bóstw domowych.

Pracują w milczeniu od wschodu do zachodu słońca. Sami wyrabiają swe materiały. Z muszli zalegających plaże Oceanu Spokojnego wydobywają czrywienie — godne rywalki tyńskiej purpury, czerni dostarcza im gatunek małży rzecznych zwanych „jute“, błękitu — krzew indygo, farby żółtej — kora pewnych gatunków drzew tego kraju, którego zmierzchy zdają się być splamione tym roślinnym złotem.

Widzi się tych ludzi, jak siedząc na matach z łyka palmowego, nazywanych tu „petates“, w cienistych podwórkach przesyconych wonią leśnych kwiatów, owoców i miodu, pedzelkiem trzymany w ręku kreślą z mistrzowską precyzją wdzięczne i symboliczne zarazem figurynki, zawsze odmienne, przedstawiające to kaczkę, to wieprza, sosnę, człowieka, ślad bosych stóp albo pełne prostoty ręce. W dziedzinie doboru motywów dekoracyjnych możliwości ich są wręcz nieograniczone.

Kobiety i mężczyźni czasem nawet i dzieci oddają się tej wyczerpującej pracy artystycznej. Względy użytkowe nie wywierają, jak się zdaje, żadnego zgoła wpływu. Pracujący znajdują w swej robocie rozrywkę, zupełnie jakby wykonywali coś więcej niż pracę ręczną, rodzaj jakiejś funkcji o głębszym znaczeniu, osiągając coś jakby ukojenie miłosne, oderwane od czasu. Takie samo wrażenie odnosi się, obserwując pracę warsztatów tkackich. Słychać tu ledwie



Słup kamienny Majów pokryty hieroglifami.

oddechy i odgłos członków. A pamiętajmy, że w tej dziedzinie Indianin guatemalski stworzył wyjątkowo piękną, pstrą tkaninę.

W wiejskich świętach ludowych, obok bogactwa plastycznego strojów i masek, obok przybrania ulic, dziedzińców, placów i ołtarzy, do głosu przychodzi jeszcze bardziej skomplikowane artystycznie elementy sztuki scenicznej, w postaci baletów, procesji bractw, obrzędów religijnych i pochodów muzycznych. Co się tyczy muzyki, zważywszy stopień rozwoju sztuk plastycznych, jej udział w kulturze tego ludu wydaje się niezbyt wielki i jest takim w istocie, zupełnie jakby nasi artyści-magowie nie przywiązywali większej wagi do dźwięku, porwani entuzjazmem twórczym w kierunku barwy, linii, słowa i baletu (ten ostatni występuje zawsze w towarzystwie instrumentów perkusyjnych).

We wsiach Majów guatemalskich odpusty doroczne wywołują prawdziwy renesans uzdolnień artystycznych mieszkańców, którym powierzono ich zorganizowanie.

Święta przygotowywane są z niebywałą starannością, wiele tygodni naprzód, pod kierunkiem mistrzów ceremonii, znawców i strażników tradycji. Wielkie rzesze ludzi o miedzianych twarzach, ubranych w najlepszą odświeżoną odzież, niosących tysiące darów, owoce, kwiaty, miód, płactwo domowe, odwiedzają w oznaczonym dniu sąsiednie wioski. Zaproszenia i przyjęcia odbywają się wśród licznych obrzędów. Inne delegacje zajmują się przygotowaniem i ozdobieniem bankietów, albo sporządzają proch, który wybuchnie w petardach, rakietach i innych zabawkach pirotechnicznych jak wieże i zamki. Takie święta odbywają się po żniwach, bo wtedy wszyscy mają dość czasu i trochę niezbędnego grosza.

Tańce rytualne trwające po kilka dni, warte są specjalnego podkreślenia, ponieważ obok swej bardzo swoistej wartości choreograficznej zawierają motywy, nawiązujące bezpośrednio do przebrzmiałych mitologii, do dawno zamarych czasów. Oddaje się w nich cześć bogom opiekuńczym, bogom kukurydzy czy deszczu i zdobywa się przychylność bóstw pozagrobowych dla biednej istoty ludzkiej, bezbronnej wobec potężnych sił przyrody.

W innych baletach dźwięczy echo odległych wspomnień historycznych: kradzież ognia przez plemiona pierwotne, zdobycie zbawczego brzegu laguny morskiej, najazd hiszpańskich zdobywców. Występują także motywy dydaktyczne: przyrządzanie potraw, nowe metody siewu. Wiele z tych baletów posiada ostry posmak satyry. Należy także wspomnieć balety magiczne, wykonywane w pewnych określonych fazach słonecznego roku, jedne mające za za-

zadanie zwalczanie kłosek urodzajów, inne błagające o zaradzenie niektórym dolegliwościom, w przeważnej części, zmierzające do zaskarżenia łaski szamana lub czarownika.

Wszystkie te obchody i kiermasze zaszczerpione są na pniu religii katolickiej i zewnętrznie łączą się z imieniem tego czy innego świętego patrona Kościoła. Jak już mówiliśmy, stanowią one dostateczną przyczynę, by krajowiec dał swobodny upust swemu temperamentowi artystycznemu. Godzi się mówić nie tylko o ich autorach i aktorach, ale należy powiedzieć o publiczności, która przez całe noce śledzi te widowiska, jakby chodziło



o jakieś święte misterium, w świetle gwiazd tropikalnych, wielkich jak zaciśnięta złota pięść, rzekłbyś gotowych spuścić pewnego dnia na biedną skorupę ziemską ziarna płynnego złota — źródła radości — jakże odmiennego od tego zimnego, złego złota, zagrzebanego pod ziemią, od którego twardnieją serca ludzkie.

Publiczność jak urzeczona, uniesiona zbiorową hipnozą, zbита w bezwładną masę, gotowa zaдрzeć na każdy bodziec, każdy widok i dźwięk, zasłuchana, zapatrzona w zachwycie, czuje i chłonie ten taniec razem z potrawami. Podczas trwania baletu widzowie dostają bowiem na glinianych miseczkach, albo na kukurydzyjanych płaczkach, porcje mięsniwa sarniego lub wieprzowego, przyrządzone z cukrem i anyżkiem, owoce i inne smakołyki, nie mówiąc o wódce i tytoniu.

Ale kończąc ze świętami, zajmijmy się sprzętami domowymi, którymi posługuje się każdy w życiu codziennym. Większa część ma kształty zwierzęce, inne są subtelnie zdobione. „Jicara“, owoc dyni, opróżniony wewnątrz tak, że pozostaje tylko skórka, może nam służyć za przykład. Tak spreparowane naczynie krajowiec zanurza w roztworze w rodzaju czarnego lakieru, który nigdy nie gęstnieje. Ten lakier, zwany „nige“ wytwarzany jest przez roje mikroskopijnych owadów, które oblegają liście niektórych roślin i po wymacerowaniu dają w rezultacie czarny olej. Ale tajemnica zdobnictwa leży nie tyle w przygotowaniu „nige“, ile w sztuce politurowania nim powierzchni łupiny dyni, która staje się czarnym żalobnym naczyniem.

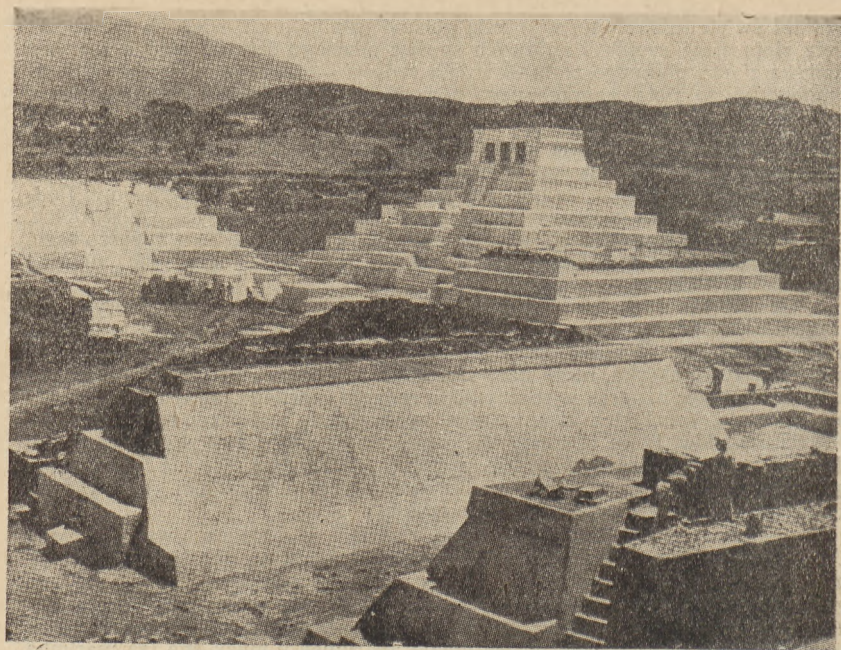
Przygotowawszy w ten sposób całą czarną, błyszczącą, wypolerowaną „jicara“, krajowiec przy pomocy ostrego noża rysuje na niej linie dekoracyjne, które występują jako białe, gdyż biały miąższ czarnej dyni ukazuje się tam, gdzie nóż uwolni go z warstwy „nige“. Te ornamenty mają najszerzą skalę: od prostych podobizn ptaków, ssaków, drzew, wulkanów, motyli, do skomplikowanych rysunków arabskich, gdzie instrumenty muzyczne jak marimba albo harfa spletają się z motywami życia wiejskiego. Nie zapominajmy też o „jicarach“, które noszą na sobie napisy świadczące o przyjaźni, albo wyznania miłosne w zwrotach to wzniosłych i poetycznych, to znów pospolitych.

Zatrzymujemy się na przykładzie „jicara“, bo chodzi tu o najskromniejsze naczynie. Subtelny artysta, jakim jest Indianin, umie przybrać je w najświętsze motywy zdobnicze i w ten sposób nadać im wyjątkową wartość. Zdarzają się „jicary“, które przez swe starożytne pochodzenie i oryginalny deseń są klejnotami muzeów, najrzadszymi zdobami kolekcji dzieł sztuki.

Boże Narodzenie dostarcza garncarzom sposobności do stworzenia całego świata glinianych dziecięcych figurek „pastores“ o jaskrawych kolorach, które wyobrażają wieśniaków, podróżnych, pasterzy. Te jasełka odtwarzają w miniaturze życie wioski, pomieszczone z legendami związanymi z narodzeniem Mesjasza, stąd nic dziwnego, że wśród glinianych pasterzy w strojach tubylczych, widzimy Trzech Króli i zwiastujące narodziny Jezusa anioły.

Podkreślić trzeba, że te prace artystyczne wykonują nie jacyś wyjątkowi artyści, a każdy Indianin, w stopniu lepszym lub gorszym. Wytlumaczenie tego stanu rzeczy znajdujemy w ich wierzeniach (ich bogowie byli artystami), w ich tradycjach, (ich przodkowie byli wspaniałymi architektami, rzeźbiarzami, rysownikami i malarzami) w ich codziennych pracach użytkowych (tkaniny, ceramika, koszykarstwo, wyroby metalowe, grafika) i w panoramie, która otacza ich wioski: o zachodzie cały krajobraz zalany jest potopem złocistej czerwieni, a o świcie ptaki „cenzontles“ gamami czterystu dźwięków wydobywanych z kryształowego gardziółka budzą orgię najpyszniej olśniewających kolorów — zanim wzejdzie słońce.

Gdy to piszę, rozbrzmiewa sardoniczny wybuch śmiechu. Obracam się. Zdażę mi się, że na ścianach pokoju maski ludowe wykrzywione są w strasznym grymasie. Wyrób masek, tak zwalczany przez Hiszpanów, odnajduje teraz swą



Wspaniałe ruiny świątyni Majów. Sztuka Majów osiągnęła, jak się na ogół przypuszcza, swój punkt szczytowy w VIII wieku.

starożytną świetność, bo są one rozchwytywane przez mieszkańców wsi tubylczych. Wycina się je z lekkiego drzewa, by zmniejszyć ich wagę. Artysta z całą umiejętnością pokrywa je barwami jaskrawymi, ale w całości harmonijnymi, z wielką przewagą złota i srebra, dodaje im rogi i straszliwe zęby, mongolskie policzki, włosy pociągnięte szafranem, rzęsy, brwi, frędzle...

Ale fabrykant masek wie, że tuż obok szumią warsztaty, gdzie wyrabia się materiały na stroje kobiece. Szeroka skala artystycznego wyrazu, która cechuje stroje kobiet indyjskich jest utrzymana w tak ścisłych formach estetycznych i tak piękna, że można to zrozumieć dopiero po bezpośrednim obejrzeniu tych wspaniałych tkanin. Kobieta indyjska, przyodziana w magię swych kamizelek „huipiles”, spódnic „cortes”, podobna jest do tanagryjskiej figuryki. Jej warkocz przewiązane są wstążkami zielonymi, błękitnymi, czerwonymi, fioletowymi, albo żółtymi.

„Elegancki i luksusowy realizm” odziedziczony po przodkach, wrodzony zmysł ornamentacji, wypiastowany w łagodnym klimacie tropikalnym, radość życia związana trwale z motywem estetycznym — dają Indianinowi Maja z Guatemali tę cechę artysty, którą staraliśmy się podkreślić. Realizm, fantazja, wieczność bez innych ograniczeń jak dobry smak — dają natchnienie tej fascynującej sztuce ludowej, która czerpie życie z ziemi spalonej słońcem, wyrasta śmiało, rozkwita na kształt magicznego świata baśni i szeroko rozciągając swą koronę, rzuca cień letejskiej wrażliwości, opiekunki marzeń i fantazji.

MALARSTWO REALISTYCZNE NA XXVI BIENNALE W WENECJI

ANTONELLO TROMBADORI

NARODY czterech kontynentów uczestniczą w tym roku w XXVI Międzynarodowej Wystawie Malarstwa i Rzeźby w Wenecji. Tak przynajmniej głosi wstęp do katalogu. W rzeczywistości — z wyjątkiem sztuki japońskiej, izraelskiej, egipskiej i południowo-afrykańskiej, Biennale jest nadal tradycyjnym przeglądem sztuki zwanej zachodnią. Wśród krajów europejskich brak istotnie Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, z wyjątkiem Polski. Na Biennale reprezentowanych jest tylko sześć krajów Ameryki Łacińskiej — Meksyk, Argentyna, Brazylia, Boliwia, Gwatemala i Kuba.

Nie można powiedzieć, aby ta panorama artystyczna, jakkolwiek bardzo cenna, odbijała w swej całości prawdziwą sytuację i prawdziwy stopień rozwoju sztuk plastycznych w różnych krajach. Na przykład sek-

cja francuska przedstawiła prace 21 artystów — rytowników, malarzy i rzeźbiarzy — wraz z retrospektywnym przeglądem dzieł wielkiego mistrza, Antoine Bourdelle. Nie chcę tutaj dyskutować na temat, czy słuszne jest przyjmować w takim wypadku kryterium przedstawiania rozmaitych kierunków, ale pewne jest, że wybór dokonany przez oficjalnych organizatorów francuskich nie pozwala zwiedzającemu zdać sobie sprawy, czy sztuki plastyczne we Francji zatrzymały się na ćwiczeniu przeciętnego stylu, czy też — jak w innych krajach — rozwijają się w kierunku bardziej realistycznym. Wyjąwszy interesujące prace Dufy'ego i Légera, oraz całość prac Desnoyera i Brianchona, stanowiących wartościowe świadectwo ściśle określonego okresu współczesnego malarstwa francuskiego, oficjalni organizatorzy przedstawili obok przyłaczającej



większości prac abstrakcyjnych, lub pseudoabstrakcyjnych tylko dwóch lub trzech młodych artystów, których prace odbijają w pewien sposób troskę o podniesienie malarstwa francuskiego na wyżynę obecnych poszukiwań w dziedzinie realizmu — André Minaux, Paul Rebeyrolle, Bernard Buffet. Oto arbitralny sposób organizowania wystawy.

PODOBNE uwagi poczynić można pod adresem doboru dzieł angielskich i amerykańskich, ale niewysoki poziom współczesnej tradycji plastycznej w tych krajach osłabi

szkodliwość tendencyjnego zestawienia eksponatów, reprezentujących sztukę tych krajów. Jednak nawet tam, gdzie formalne podobieństwa mogą spowodować ogólnikowe i przybliżone sądy, warto rozróżnić pewne odcienie. Nie ulega na przykład wątpliwości, że o ile fantastyczne abstrakcyjne rzeźby Moore'a mają tendencję narzucania zoologicznej koncepcji życia i stosunków człowieka z naturą, o tyle pewne formy abstrakcyjne i symboliczne Sutherlanda zmierzają właśnie do włączenia się ponownie do humanistycznej koncepcji życia.

„BITWA GARIBALDCZYKÓW“ (FRAGMENT)



O starym malarzu Edwardzie Hopperze, urodzonym w Nyak w 1882 r. można powiedzieć to, co Sokrates mówił o Anaksagorasie — jedyny mędrzec wśród tylu pijanych. Najbardziej pijani są rzeźbiarz Calder i malarz Yasuo Kuniyoshi, urodzony w 1893 r. w Japonii. Edward Hopper nie zna obecnych poszukiwań realizmu, ale chce i umie dać w swoich pracach żywe wyobrażenie swego kraju. Ten malarz kocha Amerykę; mówi o tym czysty i jasny kolor jego obrazów. Wraz z miłością amerykańskiej wsi i prowincji kryje się w jego obrazach wielki smutek, nie-

mal wrażenie koszmaru i rozpacz, kiedy w pejzażu jego ukazuje się zuchwały i zimny profil betonowych dróg i mostów, z których zniknął ślad człowieka.

W sekcji niemieckiej nie znajdujemy młodych artystów. Nie znajdujemy też świadectwa tragedii Niemiec.

Sekcja Niemiec zachodnich ukazuje tylko dzieła artystów, wyłącznie poświęcone problemom i polemice — teraz przebrzmiałej — na temat ekspresjonizmu i abstrakcji. Prace te stworzyli ludzie, którzy dawno przekroczyli pięćdziesiątkę. Wśród malarzy, należących do grupy „Die Brücke

ke" (Most) — lata od 1908 do 1915 — odnajduje się obok poszukiwań z dziedziny koloru i psychologii przeżycie niemieckiej tragedii narodowej. Sztuka ta odzwierciedla ich upodobanie do melancholijnych wzruszeń, rozpaczliwą koncepcję, czasem wyłącznie fizyczną i seksualną losu i osobowości człowieka. Ta zupełnie nieświadoma postawa biernie świadczy o kryzysie.

JEŻELI chodzi o Amerykę Łacińską, jedynie pawilony meksykański i boliwijski (ten ostatni przedstawia zresztą wyłącznie prace rzeźbiarza Marina Nunez del Prado) noszą cechy nowoczesne i narodowe. Organizatorzy z krajów: Brazylii, Argentyny, Kuby i Guatemali żądali pilnie, by nie przedstawić na Biennale innych dzieł rodzimych artystów prócz paru kopii, nacechowanych malarskim schematyzmem abstrakcyjno - kubistycznym sprzed lat pięćdziesięciu. A jednak Ameryce Południowej znany jest wielki rozkwit malarstwa meksykańskiego. Tymczasem, oglądając pawilony tych krajów, możnaby przypuszczać, że sztuka postawiła sobie za cel pominięcie charakteru narodowego i wszelkiego związku z rzeczywistością.

Artysta kubański, lub szary człowiek z Brazylii lub Guatemali, który by zwiedził tę wystawę, zauważył by, że wszystkie formy sztuki, owiane natchnieniem realistycznym i narodowym znikły w powodzi nieciekawej przecież produkcji krajów takich, jak Szwajcaria, Holandia, czy Dania, dysponujących większymi środkami finansowymi.

W pawilonie belgijskim wielka wystawa retrospektywna Constanta Permeke z jego flamandzkimi wsiami i chłopami wyróżnia się spośród innych prac malarzy i rzeźbiarzy belgijskich swym narodowym charakterem. To też tylko biorąc pod uwagę czysto formalistyczny punkt widzenia, można było zgrupować w katalogu wszystkich belgijskich artystów pod jedną etykietą *ekspresjonizmu*. Zapewne, malarstwo Permeke można określić jako ekspresjonistyczne, ale poważny wysiłek krytyczny winien raczej rozróżnić w jego płótnach to, co jest tylko zręcznością i manierą od tego, co jest nowe i co umiał wyrazić.

RÓWNIEŻ w pawilonie włoskim panuje wielkie zamieszanie. Ale na pewno, co uznała cała prasa, *realiści włoscy* tworzą wraz z Meksykanami grupę najbardziej zwartą i najbardziej jednolitą w otwartej walce z manieryzmem i kosmopolitycznym stylem. Mimo szerokiego wachlarza indywidualności, znajdujemy w grupie włoskich realistów jednolity kierunek i spójność w metodach pracy, nową koncepcję artystyczną i funkcję społeczną sztuki. Artyści czerpią tematy przede wszystkim z życia i walki mas ludowych w przeszłości i teraźniejszości. Kierunek ten nie zrodził się nagle we współczesnej historii sztuki włoskiej z wielkiej walki o wyzwolenie narodowe, a potem w codziennej walce o pokój i wolność, ale już w czasie wojny abisyńskiej i wojny hiszpańskiej, artyści jak Carlo Levi, Mario Mafai, Renato Guttuso i Renato Birilli malowali obrazy, natchnione życiem biednych chłopów i dramatem zagro-

żonego świata. Wystarczy przypomnieć serię portretów chłopskich i smutnych krajobrazów wsi nadśródziennomorskich, malowanych przez *Leviego*, kiedy przebywał w „przymusowym miejscu zamieszkania“, słynne „fantazje“ Mafai, które pod przesłoną przezroczystą alegorią pokazywały ponure oblicze faszyzmu, prace Guttuso — „Egzekucja Garcia Lorca“ (1937), „Ucieczka z Etny“ i to „Ukrzyżowanie“, które narażiło go na prześladowania Watykanu — aby zrozumieć, że malarstwo realistyczne zapuściło we Włoszech głębokie korzenie.

Renato Guttuso króluje we włoskim pawilonie ze swymi 22 pracami, w tym „Egzekucja Belojannisa“ i „Bitwa Garibaldczyków“ przed bramami Palermo w 1861 r. Do tego historycznego obrazu malarz wprowadza akcenty uczuciowe tematyki współczesnej. Żołnierze Garibaldiego są jednocześnie bohaterami włoskiej walki o niepodległość narodową, ubogimi dzisiejszymi chłopami, którzy kroczą masą, by zająć ziemie feu-

dałów. Malarz *Giuseppe Zigaina* wystawia trzy wielkie kompozycje, przedstawiające walkę robotników rolnych z Friuli i epizody ich życia, pełnego uroku, smutku i bohaterstwa.

Jedną z wielkich zalet włoskich malarzy realistycznych jest, że nie zadowolają się ogólnikowym opisem, ale często udaje im się stworzyć obrazy typowe dzięki uważnemu studium rysunku i koloru w dziedzinie ekspresji i funkcji postaciowej człowieka w odniesieniu do innych elementów. Nawet malarze, którzy wczoraj jeszcze ściśle trzymali się abstrakcyjnego schematyzmu, zaczynają odczuwać konieczność nawiązania kontaktu z rzeczywistością. Malarz *Giulio Turcato* — na przykład — w swym „*Morderstwie przy użyciu napalmu*“ wykazuje jasno, że kiedy artysta chce wyrazić prawdziwie ludzką treść, nie wystarczają mu już linie i kolory sztuki abstrakcyjnej.

*

„*Rewolucja*“ pędzla *José Clemente Orozco* (Meksyk)



W PAWILONIE meksykańskim widzimy po raz pierwszy obok wielkich mistrzów jak *Posada*, *Orozco*, *Rivera* i *Siqueiros*, artystów — wśród nich *Leopoldo Mendez* — z Ludowej Pracowni Sztuk Graficznych (*Taller de Grafica Popular*). Znajdujemy tam fakty, obrazy, symbole, bohaterów walki ludu meksykańskiego. Oto „*Matka proletariuszka*“, „*Rewolucyjni chłopci*“, „*Urzednicy*“ itp. Trzeba zaznaczyć, że ta wartościowa wystawa sztuki meksykańskiej nie została uwzględniona w katalogu, podczas gdy wszystkie inne działy uzyskały wzmiankę historyczną i krytyczną.

Nie chcę wam mówić o pracach, nadesłanych przez artystów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ponieważ nadeszły do Wenecji już po mojej wizycie na Biennale, w miesiąc po otwarciu wystawy i decyzji jury.

Rozdział nagród usprawiedliwia także i w tym roku wstrzymanie się od udziału w wystawie Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Stronniczość polityczna sędziów jest faktem oczywistym. Żaden malarz realistyczny nie otrzy-

mał na XXVI Biennale ważniejszej oficjalnej nagrody. A bez gwarancji bezstronności organizatorów i jury trudno się spodziewać, by Biennale 1954 r. przyniosło rozszerzenie międzynarodowego zasięgu wystawy. Tylko udział ilościowy, jakościowy i promieniowanie młodego malarstwa realistycznego będzie mogło rozszerzyć ramy Międzynarodowego Biennale Malarstwa i Rzeźby, które w przeciwnym razie może spaść do roli rynku przeciętnych produktów kosmopolitycznych.



Giuseppe Zigaina: „Robotnicy rolni“
(Włochy)

HISTORIA WOJNY



W VIETNAMIE

II

W POPRZEDNIM numerze opowiedzieliśmy o wydarzeniach, które zaszły w Vietnamie podczas drugiej wojny światowej, o wypędzeniu Francuzów przez Japończyków, o powstaniu zbrojnym pod kierownictwem Viet-Minhu (Frontu Niepodległości Vietnamu), ogłoszeniu niepodległości, powrocie Francuzów po zwycięstwie aliantów, o ponownym podboju Kocinchiny oraz o rokowaniach francusko-vietnamskich, które doprowadziły do uznania Republiki Demokratycznej Vietnamu w łonie Unii Francuskiej i do *modus vivendi*.

Jak ten *modus vivendi*, podpisany przez prezydenta Ho Szi-mina w Fontainebleau będzie realizowany w praktyce?

Wysoki Komisarjat w Saigonie, wierząc w przytłaczającą przewagę wojskową korpusu ekspedycyjnego, starał się wszelkimi sposobami przeszkodzić jego realizacji i zastąpić ostatecznie wysiłki osiągnięcia porozumienia polityką siły.

PONOWNY PODBÓJ PÓŁNOCY

Artykuł nr 6 *modus vivendi* przewidywał utworzenie „Komitetu Koordynacji Ceny i Handlu Zagranicznego“.

Otóż 10 listopada władze francuskie przejęły kontrolę nad portem Haifong, jak to potwierdza telegram generała Valluy, tymczasowego Wysokiego Komisarza pod nieobecność admirała d'Argenlieu, bawiącego w tym czasie w Paryżu (zob. Bulletin d'Etude nr. 46 — Sztab Główny Obrony Narodowej).

16 listopada 1946 roku prezydent Ho Szi-min wysłał do francuskiego premiera, Georges Bidault telegram protestacyjny.

I tutaj następuje wydarzenie niezmiernej wagi, które w pewien sposób przypomina historię słynnej depeszy emskiej.

Ten nadeszły z Hanoi telegram przekazano z Wysokiego Komisarjatu w Saigonie do Paryża *nie drogą radiową jak tego wymagała ważność dokumentu i napięcie sytuacji, lecz lotniczą pocztą dyplomatyczną*.

Toteż dotarł on do Paryża dopiero 30 listopada, to jest po 14 dniach!

Jaką treść zawierał w istocie ten telegram?

Prezydent protestował w sposób stanowczy:

1) „Przeciw jednostronnemu utwo-

czeniu w porcie Haifong francuskiego biura cel i kontroli handlu zagranicznego“ (pogwałcenie artykułu nr. 6 *modus vivendi*);

2) Przeciw „ustanowieniu i pobieraniu przez władze francuskie podatków bezpośrednich od obywateli francuskich zamieszkujących terytorium Wietnamu“ (pogwałcenie art. nr. 2, par. 1 *modus vivendi*).

Otóż zaledwie w trzy dni potem, jak Wysoki Komisarjat w Saigonie dowiedział się o tym proteście, spór między celnikami francuskimi i wietnamskimi doprowadził do prawdziwego starcia.

Pierwsze stwierdzenie — gdyby zniesiono francuską kontrolę celną w Haifong, jak głosił tekst *modus vivendi*, incydent ten nie byłby się wydarzył!

Rankiem 20 listopada pułkownik Debès, dowodzący wojskami francuskimi w Haifong, podejmuje ważne decyzje. Kieruje pierwsze ultimatum w sprawie zniszczenia barykad, które zbudowali w pośpiechu Wietnamczycy, zaniepokojeni obrotem spraw na skutek incydentu. Mimo, że ultimatum przyjęło, pułkownik przygotowuje atak na Teatr Miejski, gdzie znajdowała się oficjalna siedziba Wietnamczyków.¹⁾ O godzinie 16 generał Morlière, dowódca wojsk francuskich na Północy, wydaje swemu podwładnemu, pułkownikowi Debès rozkaz nie używania artylerii. Pułkownik Debès upiera się i przypuszcza atak na teatr. Około godziny 20 generał Morlière wydaje mu przez telefon rozkaz *zaprzestania ognia i utrzymania zajętych już punktów*.

Tymczasem w Hanoi zastępca generała Morlière, pułkownik Lamu i wiet-

¹⁾ W depeszy z 22 listopada do generała Valluy, generał Morlière stwierdza, że „...z taktycznego punktu widzenia teatr dowodzi wszystkim“.

namski minister spraw wewnętrznych Hoang - Hun - Nam osiągać porozumienie w sprawie przerwania walki. Postanawiają udać się do Haifong.

Rankiem 21 listopada przybywają do miasta, gdzie tymczasem ogień znacznie osłabł.

Po południu minister Hoang-Hun-Nam i pułkownik Herckel podpisują nowy układ francusko - wietnamski, potwierdzający układ z dnia poprzedniego. Układ ten przewiduje przede wszystkim „formalny zakaz pod jakimkolwiek pretekstem strzelania tak z jednej, jak i z drugiej strony”.

Wówczas na arenę wkracza Saigon. Pułkownik Debès otrzymuje od generała Valluy (w tym momencie najwyższego rangą Francuza w Indochinach, ponieważ admirał d'Argenlieu wyjechał do Paryża) następujący telegram (Nr. 52.769.70/24.052.53):

„Na skutek wydarzeń z 20 Haifong uważam za niezbędne skorzystać z incydentu aby polepszyć nasze położenie w Haifong. Stop. Wydałem następujące instrukcje generałowi Morlière:

Po przeprowadzeniu dochodzenia należy otrzymać takie gwarancje:

1) ewakuacja Haifongu przez całość wietnamskich sił zbrojnych tak regularnych, jak paramilitarnych;

2) całkowita swoboda dla naszych wojsk, stacjonujących w mieście”.

Rzecz zrozumiała, że ten sam telegram otrzymał generał Morlière w Hanoi.

Następne stwierdzenie — Wysokie Dowództwo i Wysoki Komisariat w osobie generała Valluy podejmują więc faktycznie decyzję rozpoczęcia ponownego podboju Północy, podobnie, jak Leclerc około 14 miesięcy wcześniej na Południu. Pierwszym etapem miał być Haifong.

Uderzające jest porównanie z Południem. Jak konieczne było obrać dysponujący ważnym portem Saigon, za punkt wyjścia kampanii przeciw Południowi, tak Haifong, drugi port Indochin, stał się bazą dla ofensywy przeciw Północy...

22 listopada „inicjatywa“ Saigonu alarmuje generała Morlière, który odpowiadając natychmiast generałowi Valluy, zauważa:

„Domagać się całkowitej ewakuacji Haifong przez regularne i paramilitarne wietnamskie siły zbrojne, zajmujące bez wątpienia całe miasto tubylcze, to tyle co zdecydować się z całym przekonaniem na podbój tego miasta. Akcję tę winno poprzedzić, jeżeli chcemy uniknąć wielkich strat, częściowe zniszczenie miasta przez artylerię. To tyle, co doprowadzić do całkowitego zerwania układów z 6 marca i modus vivendi, oraz do niemal nieuchronnego rozszerzenia walk na wszystkie garnizony w Tonkinie”.

Tymczasem w pałacu na bulwarze Nerodom w Saigonie panuje atmosfera nieprzejednania... Jeszcze przed otrzymaniem tego telegramu generała Morlière, generał Valluy wysłał nową depechę. Kopię wysłał również pułkownikowi Debès.

Nowy tekst generała Valluy ma charakter jeszcze poważniejszy, niż pierwszy. Powiada w szczególności:

„Nadeszła chwila, kiedy możemy dać twardą lekcję tym, którzy nas zdradzieli. Wszystkimi stojącymi do waszej dyspozycji środkami musicie całkowicie opanować Haifong i zmusić dowódcę armii wietnamskiej do wycofania się”.

Oznajmiono również bliskie przybycie *Dumont-d'Urville*. Następują nowe alarmy generała Morlière, który, przypominając, że w Haifong od blisko 24 godzin panuje spokój, zawiadamia generała Valluy, że zastosowano dostateczne środki, które „przyczyniły się do poważnego zmniejszenia się prestiżu Wietnamu”.

MASAKRA W HAIFONG

23 listopada pułkownik Debès, w oparciu o dyrektywy generała Valluy, zgodne zapewne z jego własnymi zamiarami, przygotowuje ultimatum i przekazuje je o 7 rano Wietnamskiemu Komitetowi Administracyjnemu w Haifong.

Pod groźbą bombardowania ewakuacja miasta i całego portu przez wojska wietnamskie ma nastąpić w ciągu dwóch godzin.

Komitet Administracyjny odrzuca ultimatum i udaje się do Hanoi, by poinformować o tym rząd wietnamski...

O godzinie 10 rozpoczyna się ofensywa francuska. Do akcji przystępuje artyleria. Okręt wojenny „*Suffren*” pod rozkazami admirała Battet, otwiera ogień na miasto Haifong. Oszalała ludność miazdży się na ulicach, usiłując wydostać się na wieś. Pociski kalibru 138 i 152 dokonują rzezi, której wynik sam admirał Battet ocenił na 6 tysięcy poległych (Paul Mus, „*Témoignage Chrétien*”, nr 292 z 10 lutego 1950 r.).

Co się dzieje tymczasem w Hanoi?

Pułkownik Herckel spotyka się z ministrem Nam w tym samym czasie, kiedy generał Morlière dowiaduje się od pułkownika Debès o wysłaniu ultimatum. Jest w tej chwili godzina 13. Walka toczy się zatem już 3 godziny...

Następuje nowa wymiana depeesz między Hanoi i Saigonom.

Generał Morlière zawiadamia generała Valluy, że pułkownik Debès po raz drugi otrzymał rozkazy bezpośrednio z Saigonu. „*Sądzę, że powinienem zawiadomić Pana, pisze, o niebezpieczeństwie i niewłaściwym wobec mnie charakterze tych bezpośrednich instrukcji*”.

Odpowiedź generała Valluy: „*Z powodu trudności uzyskania szybkiego porozumienia między Hanoi a Haifong, zależało mi na szybkim poinformowaniu pułkownika Debès w celu uniknięcia wszelkich wahań z jego strony. Ponawiam zapewnienie mojego całkowitego zaufania do trudnej akcji, którą Pan podjął. Łączę uprzejme wyrazy*”.

24 listopada operacja toczą się dalej. Ogień marynarki wojennej trwa.

25 listopada oddział 500 spadochroniarzy pod ochroną aut pancernych atakuje lotnisko w Haifong. Miasto, opuszczone przez ludność wietnamską, podlega teraz kontroli wojsk francuskich.

W tym samym dniu generał Morlière uprzedza Saigon, że nazajutrz ma się spotkać z wietnamskim ministrem Obrony Narodowej Vo-Nguyen-Giap.

26 listopada, zawiadomiwszy generała Morlière, że przekaże mu samolotem tekst warunków w sprawie Haifong, które chciałby podyktować rządowi wietnamskiemu, generał Valluy prosi go w związku z tym, aby opóźnił spotkanie z Vo-Nguyen-Giap o 24 godziny.

Warunki generała Valluy są bardzo ciężkie.

Nie chodzi już teraz tylko, jak 22 listopada, o żądanie ewakuacji jednego miasta Haifong przez wojska wietnamskie. Tym razem generał Valluy zamie-

rza usunąć je z obszernego okręgu o promieniu 30 kilometrów wokół miasta!

Nowe zaniepokojenie generała Morlière, który proponuje złagodzenie warunków. Negatywna odpowiedź Saigona.

27 listopada generał Morlière przedstawia ministrowi Vo-Nguyen-Giap tekst przygotowanego w Saigonie ultimatum. Minister Obrony Narodowej Vietnamu żąda udzielenia wiadomości na piśmie i proponuje, by sprawę zbadała komisja mieszana.

Generał Morlière przekazuje do Saigona to żądanie, które zostaje bez odpowiedzi, ale zaznacza, że wojska francuskie w *każdym wypadku utrzymają kontrolę Haifong*.

W ten sposób zakończył się tragicznie tydzień o decydującym znaczeniu dla historii stosunków francusko-wietnamskich.

Proste odtworzenie faktów ujawnia w sposób niezaprzeczalny odpowiedzialność najwyższych władz francuskich za pogorszenie sytuacji, która teraz musiała doprowadzić do rozszerzenia konfliktu.

Widać wyraźnie wolę doprowadzenia do takiego stanu rzeczy. Wystarczy przypomnieć trzy okresy rozwoju wydarzeń:

1) Utworzenie francuskiej kontroli celnej w Haifong i *utrzymywanie jej wbrew postanowieniom „modus vivendi”*, otwiera pole do wszelkich możliwych prowokacji;

2) W ultimatum z 22 i z 23 listopada z całą jasnością przejawia się pragnienie wykorzystania do maksimum mało ważnego incydentu (zresztą uregulowanego układem Nam-Lami);

3) Wreszcie w ultimatum z 27 listopada francuskie Wysokie Dowództwo ujawnia ostatecznie zamiar uczynienia z Haifong *przyczółka* akcji mającej na celu podbój Tonkinu.

Gdyby można było w to wątpić, przypomnienie wydarzeń w Lang Son, równoczesnych z wydarzeniami w Haifong wystarczyłoby, aby rozproszyć wszelką niepewność.

Rzeczywiście w zupełnie identyczny sposób jak w Haifong (niewielki incydent, rozszerzenie walki, rozcin, nowy atak, zakończony zajęciem miasta) wojska francuskie zawładnęły w ciągu kilku dni tym ważnym ośrodkiem.

Zresztą zacytowany wyżej Bulletin d'Etudes nr 46 wyznaje szczerze:

„Rezultatem incydentu z 20 listopada było uszczuplenie garnizonu wietnamskiego i przejście przez władze francuskie kontroli drogi wiodącej do Chin...”

Po zajęciu Haifong i Lang Son dowództwo francuskie, uzupełniając manewr okrążenia, zajęło dwie najważniejsze pozycje strategiczne Vietnamu.

HO SZI-MIN CHCIAŁ JESZCZE ROKOWAC...

Nawet wtedy wszystko można było uratować. 6 grudnia Ho Szi-min zwraca się przez radio do Francuskiego Zgromadzenia Narodowego:

„Zwracam się z pilnym wezwaniem do Francuskiego Zgromadzenia Narodowego i do Rządu Francuskiego, aby w imię najwyższego dobra obu narodów — francuskiego i wietnamskiego — rozkazał władzom francuskim w Vietnamie przywrócić w Haifong i Lang Son sytuację sprzed 26 listopada w celu wprowadzenia w życie modus vivendi z 14 września i w celu położenia fundamentów szczerej i trwałej współpracy

francusko - wietnamskiej. Zbyt wiele krwi francuskiej i wietnamskiej polało się w tej wojnie i zbyt wiele zniszczeń ta wojna przyniosła..."

Napięcie wzrastało z dnia na dzień i z godziny na godzinę. Wietnamczycy oczekiwali nowego uderzenia. W Tourane ląduje batalion legionistów. Krwawe wydarzenia wybuchają w Hanoi. Szerzą się wieści o powrocie z Francji admirała d'Argenlieu. Wojna wydaje się nieunikniona. Wietnamczycy przygotowują się do obrony Hanoi.

15 grudnia Ho Szi-min kieruje nowe orędzie do Leona Bluma, premiera rządu francuskiego i przedstawia mu konkretne propozycje — powrót strony francuskiej do sytuacji sprzed 20 listopada, zaniechanie przez stronę wietnamską stosowania środków samoobrony, powołanie komisji dla wprowadzenia w życie *modus vivendi*.

Zarząd Generalny przekazał to orędzie do Paryża dopiero 26 grudnia. Za późno!

Z nocy z 19 na 20 grudnia, w naładowanej burzą atmosferze, wybuchła iskra między Wietnamczykami i Francuzami w Hanoi. Rząd wietnamski rzuca wezwanie do powszechnej walki na wszystkich frontach. Wojna w Wietnamie rozpoczęła się.

STRACONE OKAZJE

Upłynęło blisko sześć lat. Większość francuskich dzienników nie poinformowała czytelników o początkach i prawdziwych przyczynach tej wojny. Podali one tylko wersję Zarządu Generalnego, która, rzecz jasna, pomija milczeniem zarówno pogwałcenie układów z 6 marca i 14 września 1946 r., jak i masakrę w Haifong. Mowa jest tylko o wydarzeniach w Hanoi, przedstawionych, jako

napaść, której nic nie tłumaczy, ani nie usprawiedliwia.

Jednak nawet w tym momencie nie wszystko jest stracone. 31 grudnia Ho Szi-min kieruje orędzie do rządu francuskiego, w którym ponawia swe propozycje i poddaje myśl spotkania z Mariusem Moutet, bawiącym z misją w Indochinach. Ale Moutet wyjeżdża, nie wyraziwszy zgody na to spotkanie. Gubernator generalny oświadcza: „*Nie można pertraktować z Ho Szi-minem*”.

Korzystając z rozpoznawczej misji Bollaerta w Indochinach, wietnamski minister spraw zagranicznych zaproponował natychmiastowe przerwanie działań wojennych i rozpoczęcie rokowań w celu pokojowego uregulowania konfliktu (19 kwietnia 1947 r.).

Francja stawia warunki — *natychmiastowe zaprzestanie wszelkich działań wojennych, aklów terroru i propagandy, złożenie poważnej ilości broni, wolne poruszanie się wojsk francuskich na całym terytorium Wietnamu, uwolnienie zakładników, jeńców i dezertersów*.

Ho Szi-min ocenia te warunki jako nie do przyjęcia. „*Gdybyśmy przyjęli te warunki, odpowiada, byłibyśmy zdrajcami. W Unii Francuskiej nie ma miejsca dla zdrajców*”.

Jeszcze jedna stracona okazja.

Nie zamierzamy odtwarzać tutaj wojskowych epizodów tej okrutnej wojny, pustoszącej Wietnam, wyczerpującej Francję, która spływa krwią obu narodów, ani chętności, ani manewrów politycznych, które za zgodą większości parlamentarnej poświęcają — jak w Hoa-Binh — życia ludzkie. Ministrowie, generałowie, administratorzy i gubernatorzy przychodzą i odchodzą. Ale wojna staje się coraz ostrzejsza w miarę, jak armia wietnamska organizuje się i

krzepnie. Korpus eksperycyjny broni się przeciw całemu narodowi, który powstał do walki z najeźdźcą. Wróg jest wszędzie. Sprzęga wszystkie siły dla wyzwolenia swej ziemi.

MARIONETKOWY RZĄD

Nie chcąc prowadzić rokowań z Ho Szi-minem, francuscy mężowie stanu pomyśleli o utworzeniu rządu wietnamskiego, z którym mogliby pertraktować. Nawiązano rozmowy z byłym cesarzem Bao-Dai.

Z tym marionetkowym rządem przed stawiciele Francji podpisali 5 czerwca 1948 r. protokół, w którym uznają na papierze to wszystko, czego odmówili prezydentowi Ho Szi-min, a więc niepodległość Wietnamu i jego prawo do swobodnego przeprowadzenia zjednoczenia kraju. Bao-Dai znowu stał się cesarzem, zapominając beztrąsko o tym, co podpisał 25 sierpnia 1945 r.

Ale, jak łatwo było przewidzieć, rząd Bao-Dai nie zdołał zjednać sobie wietnamskiej opinii publicznej. Pozostała ona niemal jednomyślnie wierna Viet-Minhowi, jak o tym świadczy coraz skuteczniejszy opór narodu wietnamskiego i żywotność państwa wietnamskiego, które utrzymuje pod swą władzą i administruje dziewięćcioma dziesiątymi obszaru. Sytuacji tej nie zmieniło użycie przez Francuzów haniebną broni — napalmu.

WOJNA BEZ WYNIKU

Nie ma już dzisiaj francuskiej polityki, czy generała, który by nie przyznawał fiaska polityki podboju i niemożliwości pokonania siłą woli narodu wietnamskiego.

Jedynę rozwiązanie to zakończyć tym, od czego należało zacząć — pertraktacjami z Ho Szi-minem.

Ale ślepy upór wynalazł nowy tekst dla uchylenia się jeszcze na chwilę przed tym nieuniknionym przecież skutkiem. *Front indochiński, mówią francuscy ministrowie, stanowi tylko część ogólnego frontu walki z komunizmem, zupełnie jak front koreański. Nie możemy przeto pertraktować. Ale ponieważ nie możemy udźwignąć jednocześnie ciężaru zbrojeń i przytłaczającego brzemienia wojny w Indochinach, żądamy pomocy od Amerykanów.*

Rzeczywiście w czerwcu Amerykanie obiecali, że wezmą na siebie niewielką część wydatków. Ale krew francuska płynie nadal jednocześnie z krwią wietnamską. Ta wyczerpująca oba narody wojna jest bez celu. Wielu uczciwych ludzi, którzy nad tym ubolewają, uważają ją za smutną konieczność, wierząc, że została Francji narzucona. Mamy nadzieję, że nasze sprawozdanie może wyprowadzić ich z błędu. We Francji narodzić się musi wielki ruch narodowy, żądający podjęcia pertraktacji w sprawie zawieszenia broni z jedynym istniejącym rządem Wietnamu, z rządem Ho Szi-mina.



KONSERWATYWNA TEŚCIOWA

CZAO SZU-LI

Emancypacja kobiet jest jednym z najważniejszych, a jednocześnie jednym z najbardziej romantycznych elementów rewolucji chińskiej. Kobieta, wyzwalamca się ze starych, poniżających zwyczajów, jest sylwetką występującą coraz częściej we współczesnej literaturze chińskiej. Nowela niniejsza została napisana w okresie, kiedy rząd Mao Tse-tunga kontrolował dopiero obszary położone wokół Jenanu.

JEST to historia prawdziwa, która wydarzyła się w małej, górskiej wiosce na południowo-wschodnim krańcu prowincji Hopei, w północnej części Chin. W wiosce, o której mówiono: „Leży tak wysoko w górach, że jest poza zasięgiem władzy cesarza”. Po wyzwoleniu zmieniono jedynie koniec przysłowia: „Leży tak wysoko, że jest poza zasięgiem władzy ludowej”.

Wioska ta była tak daleka, że zwyczaje jej od trzech czwartych wieku nie ulegały zmianie. Gdy młoda dziewczyna szła za mąż, dawała się lajać i bić przez teściową. Gdy z kolei sama starzała się i stawiała się teściową, lajała i biła swoją synową. Gdyby nie czyniła tego nie uważano by jej za teściową w całym tego słowa znaczeniu.

Jeżeli chodziło o mężów, to winni oni byli postępować ze swymi żonami zgodnie ze starym przysłowiem: „Zonę trzeba prowadzić jak konia i jak konia regu-

larnie ją bić". Jeżeli zdarzyło się, że jakiś mąż nie bił żony, było to dowodem, iż jej się boi.

Meng miała „pwo-pwo” — to znaczy teściową — która stosowała się wobec swej synowej do wszystkich istniejących zwyczajów, i której zasadniczym charakterystycznym rysem było to, co się nazywa „być pyską”. W młodości, a także i po ślubie nie brak jej było przyjaciół. Mąż jej na pewno nie był z niej zadowolony, lecz nie śmiał nigdy otworzyć ust, by jej o tym powiedzieć.

Stare zwyczaje obowiązujące w wiosce i potworny „pysk” teściowej wystarczały, by życie Meng było nader ciężkie. Lecz i inne czynniki wpływały na to, że była osobą bardzo nieszczęśliwą.

Meng nie miała rodziny, która by o nią dbała. Rodzice jej umarli, gdy miała dziewięć lat, pozostawiając ją z 13-letnią siostrą i małym braciszkiem. Na domiar złego rodzina, do której weszła przez małżeństwo jej siostra, była poróżniona z własnymi teściami.

Meng nie miała posagu.

Straciwszy wcześniej matkę, nie umiała dobrze szyć.

Bandażując zbyt słabo stopy, dopuściła do tego, iż wyrosły one do rozmiarów prawie naturalnych. Otóż mieszkańcy wioski patrzyli na normalne stopy kobiece z takim samym zdumieniem, jak patrzają mieszkańcy miast na stopy bandazowane.

Będąc wreszcie zmuszoną od dzieciństwa do samodzielnego prowadzenia domu, Meng nauczyła się rozmawiać. Nie chciała zgodzić się, aby nadużywano władzy wobec niej. I ta jej postawa była w oczach jej teściowej dostatecznym powodem do łajania i bicia.

Maltretowana kobieta, nie mając innych możliwości do wyrażenia swej urazy, znajduje ratunek w łzach. Meng nie miała nawet możliwości napłakać się dowoli. Gdyby żyli jej rodzice, mogłaby pójść do nich, by się wypłakać. Jedynym krewnym, jaki jej pozostał w domu, był maleńki brat, lecz jego właśnie Meng musiała pocieszać, gdy płakał.

Gdyby rozumiała się dobrze z mężem, mogłaby mu się poskarżyć w nocy na swą okrutną „pwo-pwo”. Lecz mąż bił ją za każdym razem, gdy mu nakazywała jego matka. Gdyby się przed nim skarżyła, czyż nie wywołałaby nowych razów?

Nie można jednak twierdzić, że Meng nie miała nigdy sposobności do wypłakania się. Siostra jej mieszkała niedaleko, mogła więc wypłakać się, gdy ją spotkała. Ponadto tuż obok Meng mieszkała młoda kobieta, którą również gnebiła teściowa, nieraz więc płakały razem. Teściowie Meng mieli fabrykę papieru, więc gdy Meng była sama na podwórzu, susząc wilgotny papier, mogła płakać przy tej pracy. W rzeczywistości też najczęściej płakała przy tej okazji i wracając do domu, miała suknię zupełnie mokrą od łez.

PEWNEGO razu płacz Meng zakończył się przykrym dla niej incydentem. Przygotowując w młynie proso, bardzo płakała; w tym momencie nadszedł wuj jej męża i widząc ją płaczącą, zapytał o powód jej rozpacz. Gdy Meng opowiedziała mu o traktowaniu jej przez teściową, ta nadeszła właśnie i usłyszała wszystko. Korzystając ze swego autorytetu szwagra, wujek ostro skrytykował „pwo-pwo”, która bojąc się, by przy tej okazji nie wyszła na jaw jakaś awan-

tura z okresu jej młodości, nie dyskutowała z nim, lecz starała się zmienić temat rozmowy.

„Pwo-pwo“ za wszelką cenę starała się przeszkodzić Meng w rozmowach z obcymi, a szczególnie z młodymi kobietami, gdyż z własnego doświadczenia wiedziała, że gdy młode kobiety spotkają się, do niczego nie jest im tak śpieszno, jak do opowiadania o swych teściowych. Skoro tylko zobaczyła Meng w towarzystwie innych kobiet, szukała jakiegokolwiek pretekstu, aby ją później zwymyślać. Historia w młynie była w oczach „pwo-pwo“ wyjątkowo ciężkim przewinieniem Meng: w tym wypadku Meng zwierzyła się mężczyźnie i to w dodatku, aby ją krytykować!

— Tym razem, pomyślała, ja ją nauczę.



Nie jest trudniej teściowej znaleźć pretekst do ofuknięcia synowej, jak znaleźć ślad kopyta muła w okolicy młyna: jest ich tak wiele! W parę dni później Meng zламala miotłkę i „pwo-pwo“ zrobiła z tego obrazę stanu. W potoku obelg obraziła ona w haniebny sposób matkę Meng. Meng usiłowała ją powstrzymać.

— Nie klnij — rzekła Meng — naprawię miotłę.

— Napraw... twojej matki!

— Pożyczę miotłę u siostry i dam ci.

— Pożycz u swojej matki!

— Moja matka nie żyje od wielu lat — zawołała wreszcie Meng, której gniew dodał śmiałości — a teraz ty jesteś moją matką. Siebie samą obrażasz.

„Pwo-pwo“ przestała krzyżeć. Nie wiedziała co rzec: synowa odważyła się jej odpowiedzieć! Poszła w pole szukać syna.

— Wracaj natychmiast — krzyczała — nie mogę wytrzymać z twoją żoną. Ona byłaby zdolna zjeść mnie na surowo!

Syn jej, Mey, wrócił natychmiast do domu, aby skorzystać z przysługującego mu prawa. Wierny tradycji, nie usiłował nawet dowiedzieć się o co poszło. Chwycił kij i chciał uderzyć żonę. Lecz siły jego były ograniczone. Miał szesnaście lat, Meng była o rok starsza od niego. Wytrąciła mu kij z rąk.

Ach! — było to ciężkie naruszenie zwyczajów. W zasadzie kobieta winna była dać się parę razy uderzyć, potem uciec, a w tym momencie przyjaciel lub sąsiad wtrącał się do sprawy i powstrzymywał męża. A Meng, zamiast dać się uderzyć kilka razy, wyrwała mu z rąk narzędzie jego władzy. Mey zrozumiał, że czyn ten jest poważnym naruszeniem jego prestiżu. Chwycił sierp i głęboko zaciął żonę w czoło. Gdy nadeszli sąsiedzi, rana jeszcze obficie krwawiła.

Wszyscy krytykowali postępek Mey'a.

— Nie bije się żony w głowę, mówili. Należało znaleźć miejsce, na którym nie widać uderzeń.

Nikt nie zapytał, co było powodem bicia Meng, ponieważ zgodnie ze starą tradycją, nie było potrzeby pytać męża, za co bije swą żonę.

Gdy podniecenie minęło, wszyscy zapomnieli o incydencie. Wszyscy, za wyjątkiem Meng. „Przedziurawiono mi czoło i nikt się o nic nie pyta. Jak postępować dalej, aby nie pozwolić mężowi bić mnie, ilekroć przyjdzie mu na to ochota? Jak długo mam znosić takie życie?”

I nie widząc innego wyjścia, postanowiła popełnić samobójstwo. Zażyła opium. Zażyła jednak za mało, aby umrzeć, dosyć natomiast, aby dostać silnych wymiotów. Zmuszono ją do wypicia dużej ilości słonej wody, aby usunąć truciznę z organizmu.

W jakiś czas potem, gdy teściowa i mąż odpoczywali, Meng usiłowała się powiesić. Na szczęście zauważyła ją mieszkająca tuż obok młoda kobieta. Odkrywszy Meng wiszącą na belce, narobiła takiego wrzasku, że zaalarmowała całe sąsiedztwo. Meng odratowano i musiała żyć dalej wbrew swojej woli.

W 1942 roku przybył do wioski przedstawiciel władzy, z poleceniem zorganizowania Ligi Kobiet. Gdy dowiadywał się, kto nadawałby się na przewodniczącą Ligi, szereg osób zaproponowało Meng.

— Ona dobrze mówi i ma sprawiedliwe zasady, mówiono mu. Lecz nikt nie miał odwagi pomówić na ten temat z jej świekrą. Przedstawiciel władzy zwrócił się więc osobiście do niej, lecz ta kategorycznie odmówiła.

— Meng nie nadaje się do tej pracy, to czarownica, nie mogę z nią wytrzymać.

Przedstawiciel prosił, schlebiał — ale bezskutecznie.

Dlaczego „pwo-pwo” tak bardzo zależało na tym, aby Meng nie zajęła tego stanowiska? Za tym wszystkim krył się pan „Prawie”, o prawdziwym nazwisku Nyu. Był to dawny szpieg kuomintangowski, który się „przemienił”. Wieśniacy dali mu ten przydomek „Prawie”, ponieważ „przemiana” jego nie była naturalnie całkowita.

W okresie, gdy wioskę okupował Kuomintang, Nyu był bardzo ważną osobistością. Przyjaźnił się bardzo z teściami Meng. Przed kilku laty teść Meng sprzedał mu swoją ziemię, aby uratować od upadłości swoją fabrykę papieru (potem odnajął mu znowu część). Żona pana Prawie w młodości swej miała tytuł przyjaciół co „pwo-pwo” i obie damy przedstawiały sobie wzajemnie interesujących gości. Przez długi czas były w przyjaźni. Jakkolwiek pan Prawie stał się właścicielem ziemi teściów Meng i rokrocznie zabierał im trzy czwarte ich zbiorów — byli oni bardzo dumni z tej przyjaźni. Poza więzami przyjaźni, łączącymi obie damy, pan Prawie był ważną osobą, więc teściowie Meng byli szczęśliwi, że część jego sławy spływa na nich.

Po rozszycie armii kuomintangowskiej, wioska przeszła ostatecznie pod władzę rządu ludowego. Lecz ze względu na jej odosobnienie, mieszkańcy dawali się łatwo mamieć informacjami pana Prawie, że Japończycy lada moment odbiją wioskę, lub że nadchodzi armia kuomintangowska.

— Armia komunistyczna — zwykł on dorzucać — to nic dobrego.

Na tym punkcie teść Meng zgadzał się z nim tylko częściowo. Jego zarobki związane z fabryką papieru skończyły się w momencie wybuchu wojny antyjapońskiej, a z chwilą nadejścia armii ludowej zaczęły się z powrotem. W ciągu dwóch lat sprzedał takie ilości papieru nowemu rządowi, że był w stanie odkupić ziemię, której musiał się przedtem pozbyć.

Teść Meng nie był całkowicie przekonany, że nie ma „nic dobrego” w komunistycznej armii. A przecież pan Nyu był poważnym człowiekiem, nie z tych co to gadają na wiatr.

Chociaż teść Meng nie był całkowicie zgodny z panem Prawie, teściowa była jednak wierną zwolenniczką pani Nyu. „Pwo-pwo” nie interesowała się, kto kupuje ich papier, lub w jaki sposób weszli z powrotem w posiadanie ziemi. Wierzyła tylko w jedną osobę: w panią Nyu.

Gdy pani Nyu zapewniała, że nadchodzi armia kuomintangowska, „pwo-pwo” wierzyła, że nastąpi to już jutro. Gdy pani Nyu mówiła, że wszyscy aktywiści z wioski będą rozstrzelani, „pwo-pwo” sporządzała plany, jak zawiadomić rodziny, by przygotowały trumny.

Było naturalnie zrozumiałe samo przez się, że nie pozwoli Meng zostać przewodniczącą Ligi Kobiet. Zirykowany jej uporem, przedstawiciel władzy rzekł jej w końcu:

— Jeżeli Pani nie chce, aby Meng przyjął to stanowisko, dlaczego Pani sama nie weźmie się do tej pracy?

Bezwiednie trafił w sedno rzeczy. „Pwo-pwo” uważała, że jest bardzo niebezpiecznie być aktywistką we wsi; nie bała się, że Meng zostanie rozstrzelana, lecz bała się kompromitacji swojej osoby. Gdy urzędnik zaproponował, by ona została przewodniczącą Ligi Kobiet, wpadła we wściekłość. Woląла zgodzić się, by Meng objęła to stanowisko.

Od tej chwili Meng często brała udział w zebraniach. Teściowej to się nie podobalo, lecz nie miała odwagi wtrącać się. Zdaniem starej damy organizowanie przez kobiety zebrań było wielkim nonsensem. Mimo wszystko hyla bardzo cieka-

wa o czym one tam mówią. Przez pewien czas obawa przed powrotem armii Kuomintangowskiej powstrzymywała ją od chodzenia na zebrania. Pewnego dnia jednak ciekawość wzięła górę i poszła na zebranie.

Lecz co się dzieje? Te kobiety żądają „emancypacji”? One nie chcą być więcej bite przez teściowe? Nie chcą odtąd być uległe mężom? Nie chcą więcej bandażować nóg? Twierdzą, że kobiety winny mieć prawo ścinania drzewa, noszenia wody i uprawiania roli? I chcą chodzić zimą do szkoły?

Cóż to takiego? To bunt! — myślała „pwo-pwo”. Jeżeli mężom i teściowym nie wolno odtąd bić kobiet kto będzie to robił? Przecież one chyba nie chcą przez to powiedzieć, że nie chcą być w ogóle więcej bite! A ta historia z bandażowaniem nóg! (oni bili i prawili kazanie Meng, bo nie chciała zaciskać bandaży, a teraz miałażby zdjąć je zupełnie?) Wszystko czego żądają te kobiety, jest sprzeczne ze

zwyczajami i w ogóle nie do przyjęcia! I tak dość kłopotów sprawia pilnowanie kobiet, a kto je utrzyma, jeżeli zaczną uczyć się czytania? W ogóle świat na opak, stwierdziła „pwo-pwo”.

Meng pracowała więcej niż kiedykolwiek, lecz mąż i teściowa nie dotknęli jej więcej. Gdy rznąła drzewo lub nosiła wodę, zaciskali usta i mruzczyli, lecz na tym się kończyło.

Wiele młodych kobiet we wsi poszło za przykładem Meng, uwolniło swe stopy i zabrało się do pracy, wykonywanej dotychczas przez mężczyzn. Zresztą nie wszyscy mężczyźni we wsi byli tacy, jak mąż Meng. Niektórzy byli szczęśliwi widząc, że kobiety robią w gospodarstwie szereg prac, gdyż to pozwalało im poświęcić więcej czasu wielkiej pracy w polu.

Wszyscy mogli sądzić o Meng co chcieli, lecz teściowa jej uważała, że Meng staje się coraz gorsza. Nie śmiać więcej obrażać ani bić Meng, chodziła dławiąc wściekłość. Zobaczywszy pewnego dnia panią Prawie Nyu, chciała zapytać ją o zdanie.



— Zaczekaj chwilkę, zawołała. Lecz pani Nyu udawała, że nie słyszy i przyspieszyła kroku. „Pwo-pwo“ musiała pobiec, aby dogonić swe bożyszcze.

Patrząc przed siebie, nie zatrzymując się, pani Nyu wyrzuciła z siebie kilka strasznych słów:

— Na przyszłość lepiej, abyśmy się nie spotykały. Choćby Pani nawet uważała, że nogi Pani synowej są nieodpowiednie, kiedy przyjdzie armia kuomintangowska powiedzą i tak, że ona jest żoną komunisty i Pani będzie skompromitowana. Nie chcemy mieć z Panią nic więcej do czynienia.

Stara dama omal nie zemdląła. Była już i tak chora, hamując swą wściekłość, a oto teraz... Pobiegła do domu i opowiedziała wszystko synowi, lecz on nie mógł jej nic poradzić.

Przez długi czas siedzieli nic nie mówiąc, wzdychając tylko przez zaciśnięte usta.

KILKA dni później „pwo-pwo“ znalazła sposób pozbycia się swej niebezpiecznej synowej.

— Zbiory tegoroczne były bardzo marne, rzekła do syna. Nie mamy dość żywności na utrzymanie nas wszystkich. Zawieź twą żonę do miasta, do twego brata.

Prawdą było, że rodzina nie miała dosyć wyżywienia, a i Meng byłaby szczęśliwa, gdyby mogła odejść od teściowej. Lecz jej praca społeczna tak ją absorbowała, że nie widziała możliwości odejścia. Tego wieczoru, wracając do domu wcześniej niż zazwyczaj z kursu czytania, który zorganizowała dla kobiet ze wsi, usłyszała głosy męża i teściowej, którzy znowu o niej rozmawiali.

— Gdy ją zawieziesz do miasta, mówiła „pwo-pwo“, sprzedasz ją. Jesteś jeszcze młody i łatwo będziesz mógł ożenić się powtórnie.

Meng pobiegła natychmiast do przedstawiciela władzy i zapytała, co ma robić.

— Zachowuj się tak, jakbyś o niczym nie wiedziała, poradził jej, mów tylko, że masz tutaj za dużo roboty.

I projekt „pwo-pwo“ nie doszedł do skutku. Po wielu bezsennych nocach stara dama postanowiła, że jest tylko jedno wyjście: przeprowadzić podział rodziny na dwie grupy i rozdzielić majątek na dwie równe części.

W obecności pana Prawie Nyu, który był świadkiem, Meng zgodziła się opuścić dom wraz z mężem, pod warunkiem otrzymania 8 mu ziemi. Zapasów żywności nie podzielono, bo stara oświadczyła, że zbiory były bardzo złe i że wszystko już zjedzono.

Zainstalowawszy się w nowym domu, Meng zorientowała się, że ją oszukano. Ziemia była według starych zwyczajów zapisana na własność męża, a ten od razu porzucił ją wracając do matki.

Przy końcu roku Meng zabrakło żywności i zmuszona była zwrócić się do spółdzielni wiejskiej o pomoc. Lokalny zarząd Ligi Kobiet dowiedziawszy się, w jakiej sytuacji znajduje się Meng, postanowił przyjąć jej z pomocą, zdecydowano, że Meng powinna dalej pracować na odcinku, na którym tak dobrze zapisala się dotąd i mianowano ją przedstawicielką lokalnej organizacji Ligi. Później otrzy-

mała tytuł „Bohaterki Pracy”. Nie dodam nic więcej, gazety pełne były wiadomości o uzyskanych przez nią wynikach.

ZAPYTYWANO mnie: dlaczego teściowa i mąż Meng mają do niej aż tak wielki żal? Czy boją się, że ma za duże nogi i zgniecie ich przechodząc? Czy, że pracuje tak wiele, że nie zostawi już dla nich nic do roboty?

Ale nie, nigdy nie słyszano, by mówili coś podobnego.

Mówiono mi też, że ze zbyt małym szacunkiem wyrażałem się o mężu i teściowie Meng, oraz o małżeństwie Prawie Nyu. Pytano mnie, czy chciałem przez to powiedzieć, że dla ludzi tych nie ma drogi do poprawy?

Na to mogę odpowiedzieć: Meng jest bohaterką pracy, mając zaledwie dwadzieścia trzy lata. Długo jeszcze będzie się mówiło o niej i o osobach z jej otoczenia. Miejmy cierpliwość, a zobaczymy, kto z nich pójdzie naprzód z duchem czasu, a kto pozostanie w tyle.



ilustr. ZUKA

DZIEJE JEDNEJ FABRYKI I JEDNEGO OSZUSTWA

JAN DĄBROWSKI

K

OWALENKO to doskonały pracownik. Dzisiaj znowu przez całą zmianę ani palcem nie kiwnął. Stał, patrzył i niczego nawet nie dotknął...

Jakto? Bezczynność jako wyraz kwalifikacji? Pochwala za nieróbstwo? Cóż byśmy powiedzieli, gdyby tego rodzaju rozmowa przywitała nas przy wejściu do jakiejś fabryki, przy zapoznaniu się z jej załogą? Po prostu kpiny, ironia!

Ale wchodzimy przecie do fabryki odmiennej od innych dotychczas nam znanych. Wchodzimy do fabryki, która jest prototypem zakładu przemysłowego, wyposażonego we wszystko co może dać epoka powstającego komunizmu. I dlatego nie ironia dźwięczy w słowach sławiących beczczynność Kowalenki.

Kowalenko jest bowiem pracownikiem automatycznej fabryki tło-

ków samochodowych, która przed dwu laty została uruchomiona w Związku Radzieckim, fabryki która produkuje tłoki dla popularnych w ZSRR samochodów ciężarowych „ZIS-150”. A w fabryce tej wiele rzeczy dzieje się inaczej, niż w jakiegokolwiek innej. Fabryka ta bowiem realizuje najpełniej z dotychczas istniejących zasadę społeczeństwa komunistycznego, zasadę zrównania pracy robotnika z pracą umysłową inżyniera, realizuje zasadę całkowitego przełożenia trudu produkcyjnego na maszynę, zasadę uczynienia człowieka nadzorcą procesów produkcyjnych, jedynie „lekarza maszyn”, który może wmieszać się do procesu wytwórczego tylko wtedy, gdy nie przebiega on prawidłowo. Dlatego też właśnie jeśli Kowalenko, operator automatycznej fabryki, pracuje dobrze, jeśli dobrze wypełni swe obowiązki — to znaczy wyreguluje maszyny — może nic nie robić, może przyglądać się przez cały czas

swego dyżuru czyli zmiany, jak mądre maszyny same wykonują pracę. Dlatego w tej właśnie fabryce bezczynność pracowników mierzy się stopień doskonałości ich pracy nadzorczej.

Czy w każdej fabryce automatycznej sprawa wyglądałaby tak samo? Bezsprzecznie nie. Gdyby taką fabrykę budowano w kraju o ustroju kapitalistycznym, funkcjonowałaby ona zupełnie inaczej. Znowu ktoś zapyta: Jaki? Cóż ma ustrój do organizacji procesu technologicznego produkcji? I znowu okaże się, że rzeczywiście ma i to ma dużo.

Ale aby to zrozumieć musimy odbyć maleńką wycieczkę w przeszłość, sięgnąć do dziejów automatyki.

Automat — maszyna czy urządzenie działające samoczynnie — to bardzo stara rzecz. Pierwszym ze znanych automatów była klepsydra — naczynie, z którego równomiernie wyciekała woda. Wyciekaniem tej wody mierzono czas. Był to więc pierwszy zegar, który następnie zastąpiła klepsydra piaskowa, wskazująca czas przesypywaniem piasku. Takie klepsydry do dziś dnia są używane np. w szpitalach, dla określenia czasu mierzenia gorączki.

Na zasadzie wyciekania wody, ewentualnie jej parowania były skonstruowane również inne automaty. Jeden z nich kapłani starożytnych ludów chętnie wręczali w swą służbę, czyniąc zeń narzędzie wyzysku wiernych. Oto przed drzwiami świątyni, za którymi stał posąg bożka, umieszczano płytę i na niej wierni, pragnący ujrzeć bóstwo i prosić

je o łaski składali ofiary. Pod płytą tą umieszczone było naczynie z wodą, uczepione do liny. Równoważyło ono ciężary, otwierające przy pomocy lin na blokach i utrzymywało drzwi zamknięte. Gdy teraz na płycie ofiarnej naiwny petent złożył smakowitego barana, a kapłani podpalił stos drzewa, aby upiec tę ofiarę dla bóstwa, na skutek nagrzewania woda w naczyniu parowała. W pewnej chwili było jej już za mało, aby zrównoważyć ciężary, odciągające wierzaje wrót. I wtedy — samoczynnie zupełnie otwierały się przed człowiekiem olśnionym „cudem“ dokonanym przez bóstwo drzwi świątyni, posąg ukazywał się wiernemu, zaś kapłani zabierali sobie barana, jako honorarium za... dobrą znajomość automatyki. Inny znów automat polewał święconą wodą ręce nabożnych gdy wrzucono doń monety.

Wiele takich automatów, „androidów“ jak je nazywali starożytni Grecy opisał filozof grecki Heron Aleksandryjski Starszy 2000 lat temu. Wiele podobnych automatów, opartych na wykorzystaniu ciężaru, wylewaniu się wody, wreszcie na rozprężaniu się ściśniętej sprężyny, skonstruowano przez wieki następnie. Galileusz i Leonardo da Vinci wnieśli również swój wkład w dzieje automatyki. Miała ona licznych fanatyków. Czymże bowiem, jak nie poszukiwaniem idealnego automatu były próby skonstruowania „perpetuum mobile“, maszyny wiecznie działającej? Oczywiście tego rodzaju maszyna, na mocy znanych nam praw zachowania energii nie mogła

być skonstruowana. Jednak pomysły fanatyków tych poszukiwań nieraz częściowo trafiały do nowych automatów, przyczyniały się do posunięcia naprzód tej dziedziny techniki.

Tak np. zegar z wagami i zegar sprężynowy — to właśnie automaty, które wiele zawdzięczają bezwzględnej falandze szaleńców, fanatyków wiecznego ruchu.

Zegar i wszystkie od niego pochodne mechanizmy stanowiły już konkretny przykład istotnego pożytku, jaki daje automat. Początkowo wyrabiane dla rozrywki moździerzy stały się dzisiaj sprzętem powszechnie używanym. Ale automatyka nie zatrzymała się na tym.

Pozostały nam wiadomości o dwóch wielkich pionierach automatyki, opartej na mechanizmie zegarowym: Iwanie Kulibinie i Terencjuszu Wołoskowie. Obaj oni montowali w siedemnastym wieku zegary, które nie tylko pokazywały godziny, ale i dni tygodnia, miesiące, znaki zodiaku, lata. Zegar Wołoskowa pokazywał fazy księżyca, miesiące i lata.

Innymi drogami szli bracia Osyp i Fedor Bażeninowie. Ci zbudowali w Archangielsku skomplikowane urządzenie do samoczynnego rozpiłowywania drzewa, używając jako napęd bieżącą wodę. „Samoczynny młyn drzewny“ braci Bażeninych był pierwszą próbą zastąpienia pracy ludzkiej pracą samoczynnej maszyny.

Parowa maszyna Polzunowa, urządzenia zmontowane przez Fiodora do wypompowywania wody z szybów kopalnianych, do wydobywania u-

robku z tychże szybów, do rczdrabniania rudy — to wszystko właśnie wkład rosyjskich mechaników w dziedzinę automatyki.

W dziedzinie obróbki metalu niesłychanie doniosłym był wynalazek Andrzeja Nartowa, który skonstruował automatyczny suport do tokarni, suport, który sam przesuwiał się w miarę ruchu obrotowego maszyny.

I tak, gdy sięgniemy do historii jakiegokolwiek maszyny, to stwierdzimy, że jest ona jednocześnie historią wysiłków zastąpienia pracy człowieka pracą maszyny, historią automatyki.

Karol Marks pisał, że „zegar, do którego tak już przywykliśmy „był pierwszym automatem, stworzonym dla celów praktycznych“, a dalej zauważył, że to właśnie „w XVIII wieku zegar nasunął myśl zastosowania automatów (zwłaszcza nakręcanych, sprężynowych) do produkcji“.

Ale rozwój automatyki w krajach kapitalistycznych prowadził nieuchronnie do zmniejszenia ilości zatrudnionych robotników, do zwiększenia bezrobocia. W okresie najgwałtowniejszego rozwoju techniki kapitalistycznej twórcy automatów i półautomatów myśleli jedynie o tym, aby stworzyć maszyny, wymagające obsługi jak najmniej przyuczonego robotnika. Celem ich było zwiększenie wyzysku człowieka, nie ulżenie mu w pracy. Słynna pod tym względem była maszyna, nazwana przez amerykańskich robotników „charlestonem“, maszyna którą robotnik obsługiwał nie tylko przy pomocy obu rąk i obu nóg, ale jeszcze — wprężony w specjalne chomąto — powo-

dował ruch maszyny poruszając plecami. Przy tej pracy podobny był do wstrząsanego konwulsjami paralitika, był wprzęgnięty w maszynę, tworzył jej część, nie mógł ani na chwilę wyzwolić się z rytmu jej pracy.

Takie „maszyny dla idiotów“, jak je cynicznie nazywali amerykańscy przedsiębiorcy, miały wiele modeli, wiele też uczyniły krzywdy klasie robotniczej w warunkach ustroju kapitalistycznego.

Zupełnie inaczej wyglądało zagadnienie zastosowania mechanizacji i automatyzacji w ustroju socjalistycznym.

„Myśleć, że można obejść się bez mechanizacji przy naszym tempie pracy — powiedział tow. Stalin — i przy naszej skali produkcji, znaczyłoby mieć nadzieję, że uda się wy-czerpać morze łyżką“.

Słowa te dobitnie wskazują na wielką rolę mechanizacji i jej wyższej formy, automatyzacji, w procesie wytwórczym kraju socjalizmu. Mechanizacja i automatyzacja w ustroju socjalistycznym — jak to możemy stwierdzić na przykładzie techniki radzieckiej, podnosi na niewidziane dotychczas poziomy wydajność pracy, uwalnia człowieka od wysiłku mięśni, pozwala postawić produkcję na znacznie wyższym poziomie technicznym.

Zastosowanie urządzeń automatycznych pozwala uwolnić człowieka w ogóle od udziału w procesie produkcyjnym, pozostawić mu rolę jedynie nadzorcy tych procesów, uczynić zeń rzeczywistego władcę maszyny.

Wiele mamy przykładów wspaniałego rozwoju mechanizacji i automatyzacji w przemyśle ZSRR. Potężne koparki, których działaniem kieruje się przy pomocy naciskania guzików, wykonują prace siedmiu tysięcy kopaczy. Dźwigi jednym ruchem przenoszą ładunek całego wagonu, maszyną układa tor kolejowy z szybkością 5 km na godzinę.

W przemyśle przetwórczym, chemicznym wiele procesów zautomatyzowano całkowicie. Zmechanizowano i zautomatyzowano także w olbrzymim stopniu, tak ciężkiej dawniej wymagające pracy, procesy wyrobienia węgla, jego załadunku, transportu pod ziemią. Zautomatyzowano procesy wytopienia żelaza i stali w wielkich piecach i piecach martenowskich. Wszędzie tam automaty pozwalają produkować szybciej, więcej, dokładniej. Dla ręki i oka ludzkiego nie są dostępne dokładności i szybkości działania, właściwe automatom.

Jednym z najbardziej wybitnych osiągnięć automatyki radzieckiej było zbudowanie wspomnianej na wstępie automatycznej fabryki tłoków samochodowych.

Zastosowanie automatów w dziedzinie obróbki metali nie jest rzeczą nową. Ale nową i całkowicie sporządzoną przez radzieckich konstruktorów jest pomysł tworzenia zespołów automatycznych obrabiarek, działających w ścisłym powiązaniu jedna z drugą. Poprzez obrabiarki — agregaty, wielonarzędziowe maszyny, radzeczcy konstruktorzy, za przykładem inicjatora tej techniki, Inoczkina, poczęli tworzyć automatyczne linie obrabiarek. Pierw-

sza z takich linii, skonstruowana przez Inoczkina, działała w Stalin-gradzkiej Fabryce Traktorów jeszcze przed drugą wojną światową.

Połączenie obrabiarek skrawających w jedną linię, dawało dobre rezultaty. Udało się dostosować do współdziałania maszyny, które miały inny okres czasu poszczególnych operacji. I dziś w wielu fabrykach, zwłaszcza przemysłu samochodowego i traktorowego istnieją setki automatycznych linii obrabiarek, na których przedmiot obrabiany podlega kilku czy kilkunastu operacjom obróbczym, bez najmniejszej interwencji człowieka. Operator takiej linii obrabiarek interweniuje jedynie wtedy, gdy proces przebiega niewłaściwie, gdy coś zepsuło się w maszynach czy rozregulowało, gdy trzeba zmienić narzędzie skrawające itp.

Automatyczna fabryka łoków — to zadanie bardzo skomplikowane. Chodziło tam nie tylko o zsynchronizowanie pracy poszczególnych maszyn obróbki wiórowej, obróbki na zimno. W wyprodukowaniu łoka samochodowego nie mała część pracy przypada na operacje gorące, należące do obróbki cieplnej. Operacje te mają zupełnie inny czas trwania, stwarzają zupełnie inne warunki niż obróbka na zimno. Dlatego też skoordynowanie tych wszystkich czynności, wprzęgnięcie ich w jeden rytm wymagało olbrzymiej dozy wynalazczości, wielkiej pracy, poświęconej na badanie poszczególnych etapów produkcji w warunkach zwykłych.

Automatyczna fabryka łoków — to właściwie połączenie odlewni, o

całkowicie automatycznym procesie odlewania, z linią obrabiarek wiórowych oraz z poszczególnymi aparatami kontroli wymiarów i innych własności obrabianego przedmiotu.

Spójrzmy, jak ona wygląda. Oto transporter przynosi do pierwszej maszyny — elektrycznego pieca odlewniczego — cegielkę po cegielce aluminiowego stopu. W miarę jak cegielki roztopiają się w piecu transporter przynosi i wrzuca coraz nowe. Roztopiony metal, poprzez urządzenie zwane dozatorem dostaje się do składanych form odlewniczych. Dozator, to urządzenie, w którym metal wycieka przez otwór, zakrywany igłą z twardego stopu. Igła unosi się w równych odstępach czasu, odsłaniając otwór i wypuszczając ściśle odmierzoną ilość metalu. Metal wlewa się do jednej z sześciu form, ustawionych na obwodzie koła, poruszającego się jak karuzela. Formy przesuwają się z miejsca na miejsce, przyjmują ładunek płynnego metalu, chłodzą odlew, wyrzucają go na dalszy transporter i zamykają się, by otrzymać nową porcję gorącego metalowego płynu.

Następna maszyna służy do obcięcia nadlewów na łoku. Były poważne trudności z wprowadzeniem tej maszyny w rytm całości, bowiem narzędzie tnące pracuje tu w metalu gorącym, co powodowało zabijanie się zębów miękkim stopem, tępienie ostrzy. Odpowiednie kąty skrawania i twardy stop na zęby skrawające freza pozwoliły dostosować wreszcie to „wąskie gardło“ do pracy reszty zespołu.

Po obcięciu nadlewów tłok dostaje się do pieca odpuszczalniczego, gdzie w temperaturze 210° przebywa około sześciu godzin wędrując po pochylniach tego urządzenia. Ma to na celu zapobieżenie zbyt szybkiemu ostygnięciu i zmianom, jakie w tym wypadku zachodziłyby w strukturze metalu, zmniejszającym jego wytrzymałość.

Po odpuszczeniu tłok idzie do aparatu, który przeprowadza automatyczne badanie twardości metalu. Wrazie niedostatecznej twardości — spada z transportera i boczny przenośnik idzie do powtórnego przetworzenia.

Na tym kończy się oddział termiczny. Zaczyna się linia obróbki mechanicznej. Ale oba te oddziały nie pracują w jednakowym tempie. W każdym z nich może zdarzyć się awaria. Wreszcie, aby nie wygaszać pieców, oddział termiczny pracuje na trzy zmiany, oddział mechaniczny zaś na dwie. Aby wyrównać tempo posuwania się tłoków przez maszynę skonstruowano automatyczny zasobnik. Tłoki, obrobione termicznie zbierają się w nim, jeśli np. jest czas trzeciej zmiany, lub jeśli dla naprawy linia obrabiarek jest unieruchomiona. Z kolei, gdy trzeba zatrzymać bieg operacji termicznych, obrabiarki mogą pracować dalej, korzystając z nagromadzonego zapasu półfabrykatów.

Kolejno następuje osiem maszyn, osiem obrabiarek, które wykonują przy produkcji tłoka wszystkie operacje obróbki mechanicznej, a więc wiercenie otworu dla sworznia tłokowego, otworów dla smaru, nacinanie rowków na pierścienie tłoko-

wę, nacinanie przecięć płaszczu tłoka, nadających mu większą sprężystość, wyrównywanie wagi. Niektóre z tych operacji wymagają niezwykłej dokładności. Tak np. otwór dla sworznia tłokowego obrabiany jest z dokładnością do 3 tysięcznych milimetra. Większe odchylenie od rozmiarów powoduje brak. Pomiędzy obrabiarkami ustawione są aparaty kontrolujące wykonaną operację, sprawdzające wymiary nadane na obrabiarce. Działają one na zasadzie połączenia sprawdzianów szczegółowych czy tłokowych z komórką fotoelektryczną. Najmniejsze odchylenie ponad normę powoduje otwarcie zapadni i tłok zabrakowany idzie z powrotem do pieca odlewniczego.

Po obróbce mechanicznej, tłok idzie do kąpieli oczyszczającej w odpowiednich mieszaninach chemicznych, po czym zostaje powleczony warstwą cyny, wreszcie natłuszczony i zapakowany. Wszystko to odbywa się zupełnie bez interwencji człowieka. Jedynie gdy gdzieś operacja przebiegnie niezadowalająco, gdy tłok zostanie zabrakowany przez przyrząd kontrolny, zatrzymuje się maszyna, daje sygnał alarmowy i przy źle funkcjonującym mechanizmie zapala się lampka. Wtedy właśnie czas na wzmieszenie się człowieka — władcy maszyn, który reguluje je, usuwa uszkodzenie i puszcza dalej w ruch.

Oczywiście sprzęgnięcie maszyn, wykonujących te operacje wymagało wielkich trudów i długotrwałych prac badawczych. Oczywiście jest również, że praca pracowników tej fabryki w niczym nie przypomina

pracy niewykwalifikowanych lub mało kwalifikowanych robotników. To właściwie są już pracownicy inżynierzy, o wyższym wykształceniu technicznym, o dużej wiedzy fachowej. Jest ich bardzo niewielu i nie mają oni nic do roboty, jeśli maszyny pracują dobrze, jeśli są dobrze nastawione i należyście konserwowane. Stąd przytoczona na początku opinia o operatorze fabryki, jakoś pracy którego określa właśnie fakt, że może nic nie robić w ciągu całej zmiany.

Dokładny opis całej fabryki zajął by wiele miejsca i wiele czasu. Wiele poświęcić by również trzeba miejsca, aby opisać, jak konstruktorzy radzieccy przezwyciężyli wszelkie trudności, nasuwające się przy konstruowaniu poszczególnych maszyn, a zwłaszcza przy koordynowaniu ich pracy.

Fabryka została uruchomiona już dwa lata temu. Ostatnio została uruchomiona druga taka fabryka, a właściwie druga linia tej fabryki, która wyrabia takie same tłoki, jedynie o innych wymiarach, przeznaczone dla samochodów marki „GAZ”. Twórcy tej fabryki z prof. Dikuszynem i Władzewskim na czele zostali już w roku ubiegłym odznaczeni Nagrodą Stalinowską. Fabryka weszła do zespołu przemysłu radzieckiego.

I tu zaczyna się historia, która wiele daje do myślenia tym, którzy interesują się sprawą przechwytywania wynalazków. Otóż w dwa lata po uruchomieniu tej fabryki, kiedy prasa podała obszernie jej opisy, niektóre zaś pisma nawet schematy jej działania, zaczęli nad stworze-

niem takiej fabryki radzić... inżynierowie amerykańscy. Zespół inżynierów i profesorów Szkoły Przemysłowej w Harwardzie — jak o tym donosiło pismo amerykańskie „Machinist” — zabrał się do studiów, czy... w obecnym stopniu rozwoju techniki zbudowanie automatycznej fabryki jest w ogóle możliwe. Po długich badaniach — ciągle nad wyrobem właśnie tłoka samochodowego tak jak w ZSRR — „wynalazcy” amerykańscy doszli do przekonania, że zbudowanie takiej fabryki „nie jest grą wyobraźni”. I najspokojniej udają, że to oni właśnie pierwsi wpadli na myśl budowy fabryki, która już od dwóch lat funkcjonuje w ZSRR. Tu mielibyśmy właśnie na gorącym uczynku złapany przykład przechwytywania wynalazków, które tak często miało miejsce w dziejach techniki, jeśli chodziło o wynalazki uczonych rosyjskich.

Ale to jeszcze nie wszystko. Otóż projektowana przez harwardzkich „wynalazców” fabryka — to wcale nie kopia radzieckiej. Brak jej bowiem... całego oddziału odlewniczego i obróbki termicznej. Założeniem jest że obrabia otrzymane z innej fabryki odlewy tłoków. Jest zatem właściwie jedynie zwykła automatyczna linia obrabiarek jakich — jak wspomnieliśmy w ZSRR — funkcjonują setki.

I jeszcze szczegół niemało pikantny. Oto „wynalazcy” z Harwardu odbiegają skonstruować taką, teoretycznie przez nich zaprojektowaną fabrykę w r.... 1960. Tyle lat trzeba im na wprowadzenie swego, a właś-

ciwie cudzego pomysłu w życie. Radzieccy konstruktorzy załatwili się z zagadnieniem znacznie szybciej. Ale i to jeszcze nie wszystko. Abyśmy mogli na tym właśnie przykładzie stwierdzić, jak wpływa ustroj kapitalistyczny na postęp techniczny, to właśnie owi harwardzcy „wynalazcy“ oświadczają, że będą mogli tę fabrykę zbudować w r. 1963 jeśli „kierownicy przemysłu potrafią przystosować swoje myślenie i planowanie do tej dotychczas jeszcze rewolucyjnej idei“, czyli po prostu, jeśli przemysłowcy stwierdzą, że się to im opłaci i dadzą na to pieniądze.

Aby zaś żadne zagadnienie nie pozostało tu na boku, to wynalazcy harwardzcy obiecują, że w fabryce

tej „praca robotnika nie będzie cięższa“. Uważacie. Nie będzie cięższa. Ani słowa o zmniejszeniu wysiłku człowieka, o uwolnieniu go od pracy produkcyjnej na korzyść pracy nadzorczej. To nie jest cel, do jakiego mogą zmierzać automatyzatorzy kraju kapitalistycznego.

Takie są dzieje istniejącej fabryki i „gry wyobraźni“ amerykańskich „wynalazców“ spod ciemnej gwiazdy i gwiazdzonego sztandaru. Uczą nas one znacznie więcej, niż szereg innych przykładów z historii wynalazków, uczą także — lepiej niż jakikolwiek wykład — czym jest różnica pomiędzy techniką w zależności od tego kćmu ona służy, w zależności od ustroju, w którym się rozwija.





STARE GRODY NAD HUCZWĄ

PAWEŁ JASIENICA

NIEDALEKO od jakichś budynków, przypominających młyn parowy, wypadło nam rozstać się z szosą. Ciężarówka wtoczyła się na wyboiste, polne drogi. Słychać, jak pod kołami cmoka i młascze tłusty tutejszy czarnoziem. W pewnej chwili poziomy konar

wierzby przydrożnej zmusił szofera do karkołomnego objazdu polem.

Nie, budowniczowie i dotychczasowi użytkownicy tych dróg na pewno nie przewidywali potrzeb samochodów.

Pisząc o użytkownikach myślałem nie tylko o gospodarzach, którzy wo-

żą tedy zboże do młyna. Brałem bowiem pod uwagę także i własną osobę. Byłem już tu przecie. I na dobitkę było to równo, jak obszyi, trzynaste lat temu, 22 września 1939 roku. W szeregach niedobitków 41 dywizji piechoty maszerowałem wtedy na południe.

Trzynaste lat temu nie mogłem przewidywać, że jeszcze raz zaw tam w te zapadłe kąty, na polną drogę między Werbkowicami i Tyszowcami w województwie lubelskim. A zwłaszcza już nie mogłem nawet marzyć, po co tu przyjadę.

Wtedy, podczas wojny, bez zatrzymywania minęliśmy okolice wsi Czermino. Nikt z nas nie zwrócił uwagi na wygląd tutejszych łąk. Sama nawet nazwa osiedla od razu ulotniła się z pamięci.

Tym razem samochód nasz zatrzymał się przed jedną z ostatnich chałup wsi. W izbie, na glinianym toku, puste w tej chwili, uporządkowane posłania na kilku ludzi. Pod ścianami tekturowe pudła. Na stole rulony papieru, szkice, plany, wykresy.

Jesteśmy w kwaterze ekspedycji wykopaliskowej, badającej teren wsi Czermino, która tysiąc lat temu nosiła nazwę Czerwienia i była stolicą historycznych Grodów Czerwieńskich.

Jest rzeczą dość powszechnie znaną, że kilka lat temu rozpoczęły się w Polsce na niebywałą skalę zakrojone badania nad początkami państwa naszego. Archeologowie ryli i kopali w Wielko- i Małopolsce, na

Pomorzu, Śląsku i Mazowszu. Osiągnięte wyniki ogromnie posunęły naprzód naukę historii.

W grudniu 1951 roku, podczas konferencji historyków w Otwocku, gdzie byli także obecni przedstawiciele nauki radzieckiej, rzucono myśl wspólnego zbadania terenu Grodów Czerwieńskich. Specjaliści każdego z dwu państw mają „spenetrować” swoją stronę Bugu.

Projekt powstał kilka miesięcy temu i już wszedł w stadium realizacji. Do końca pracy jeszcze daleko, ale osiągnięte rezultaty już teraz zdumiewają.

W sierpniu tego roku, po uprzednim zaplanowaniu i przygotowaniu robót, wyruszyła w teren polska ekipa badawcza. Jej kierownikiem jest dr Zdzisław Adam Rajewski, dyrektor Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.

Tak więc dr Rajewski stanął wobec twardej konieczności zmiany swoich przyzwyczajęń życiowych. Musiał mianowicie rozstać się na czas pewien ze swoim umiłowanym Biskupinem, który badał już przed wojną i w którym obecnie z wielkim powodzeniem hetmani.

W skład ekipy wchodzi też prof. dr Konrad Jażdżewski, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, kierownik sławnych prac wykopaliskowych w Gdańsku oraz nieco dawniejszych w Łęczycy i w Lutomiersku. Tym dwóm przedstawicielom starszego pokolenia (tzn. takiego, które czterdziestkę już przekroczyło, ale do granicy pięćdziesiątki dopiero się po mału zbliża) pomagają zupełnie młodzi, już po wojnie wyszkoleni naukowcy. Na

Grody Czerwieńskie wysłany został zespół o pierwszorzędnym kwalifikacjach.

Badania na Grodach Czerwieńskich prowadzone są w Czerminie, w Gródku nad Bugiem (czyli w historycznym Wołyniu przy ujściu Huczwy) we wsi Sasiadka oraz w Lipnie pow. Tomaszów Lubelski.

W Sasiadce, która dawniej zwała się Sutiejskiem, znajduje się niezmiernie ciekawy gród feudalny, ryglujący ważną drogę handlową przez bagna nad rzeczką Porem, dopływem Wieprza. Dr Zofia Wartołowska i prof. dr Włodzimierz Antoniewicz zaczęli tam kopać jeszcze w roku 1936, płacąc za wszystko z własnej kieszeni, bo funduszy żadnych na to nie było. Obecnie ci sami badacze prowadzą prace nadal, korzystając z obfitej pomocy skarbu państwa.

W Lipnie prof. Michał Drewko bada cmentarzysko kurhanowe, w którym leżą zapewne szczątki ludności autochtonicznej z I tysiąclecia naszej ery.

Sprawozdanie niniejsze zamierzam ograniczyć do samego tylko Czermina — Czerwienia. W jednym niewielkim artykule niepodobna bowiem przedstawić całokształtu badań. Zwłaszcza o Gródku należałoby wiele papieru zapisać.

Jak się już wspomniało, samochód został przed kwaterą ekspedycji. Pasażerowie zaś niezwłocznie uszykowali się w kolumnę „gęsiego“ i ruszyli ścieżką, wiodącą na bardzo rozległe błonia.

Niedaleko od wsi leży wśród łąk regularny pierścień starych wałów. Kontury ich zostały już dobrze opi-

łowane przez czas i gospodarską orkę. W tej chwili gromada robotników oczyszcza głęboki i szeroki wykop, przecinający wnętrze grodziska. W jednym rogu jamy wystają skrzyżowane, czarne, od starości kłody — zapewne szczątki jakichś budowli.

Obchodzimy grodzisko po samym grzebieniu jego wałów i zaraz schodzimy w dół, między istniejące pola pokrzyw i purpurowo kwitnących ośtów. Wąska kładka nad Huczwą i jesteśmy na skraju obłej wyniosłości. Wiatr i słońce suszą tu świeżo zoraną glebę i powlekają ją jakby fioletowym nalotem. Z pomiędzy bruzd tu i ówdzie wystaje coś na kształt żółtawych, zgrubiałych u końca pałek. To kości ludzkie. Na tym polu, co służyło ongi za cmentarz, wszędzie ich pełno. Przybyły wraz z nami szofer ciężarówki schyla się, wygrzebuje z ziemi ludzką szczękę i podziwia zdrowe, świetnie zachowane zęby. Inni podnoszą to kawałki kości, to znów szczątki przedwiecznych naczyń, zdobnych rytym ornamentem.

Kierownicy prac nie pozwolili nam jednak zabawić się zbyt długo. Zaraz poprowadzili nas z powrotem przez Huczwę, pokazali jeszcze jedną zoraną wyniosłość obok grodziska, która też była kiedyś ludzkim osiedlem, i skierowali nasze kroki ku odległym o jakieś dwa kilometry tyśzowieckim lasom.

Wiedzie w tamtą stronę zwykła polna droga. My jednakże maszerujemy po łące. Z trawy wystają poczerniałe wierchołki słupów, które kilkaset, a może nawet tysiąc lat temu wbite zostały w trzęsawisko. Biegą prostą linią, parami. Odle-

głosc między słupami każdej pary wynosi cztery metry. Taką więc szerokość posiadał przedwieczny pomost, czy grobla, wiodąca ku owym lasom. Dwa wozy mogły się na niej z łatwością wyminąć.

W lesie, w kierunku poprzecznym do grobli biegnie szczątek długiego wału ziemnego.

Rezultaty dotychczasowych prac na terenie Czerwna są takie:

Wykryty został olbrzymi, imponujący wręcz obszar osadniczy, zgrupowany wokół grodziska. Wszystkie okoleczne wyniosłości i wybrzuszenia terenu zajęte były ongi przez ludzkie osiedla. System grobli zapewniał połączenie między nimi, bo teren ten był dawniej — i wcale jeszcze nie tak dawno temu — jednym

wielkim moczarem. Mel'oracji dokonano tu dopiero przed wojną, powierzchnia bagnistych łąk obniżyła się i wtedy właśnie spod kożucha traw wyrzały szczyty starodawnych słupów.

Co się zaś tyczy owego wału w lesie, długiego na przeszło dwa km, to istnieje domysł, że zamykał on dostęp w widły rzeczek Huczwy i Siniuchy, a więc zabezpieczał jądro terenu osiadłego.

Obszar osadniczy rozciąga się tu na przestrzeni jakichś 9 — 12 kilometrów kwadratowych!

Po pięcioletnich pracach tegorocznych uczeni nasi zdobyli pewność, że obecna wieś Czerwno leży na terenie dawnego historycznego Czerwienia. Wiadomości pochodzące

Zwykły widok na polach wsi Czerwno



z tradycji oraz wysnute pośrednio ze źródeł pisanych zostały potwierdzone. Mieszkańcy Czeramna zawsze twierdzili, że tam, gdzie obecnie znajduje się ich wieś było dawniej miasto Czerwieńsk.

Wiadomo z pewnością, że już w XVI stuleciu wieś ta nazywała się Czermino, a nazwa Czerwienia po roku 1309 nie występuje. Prof. Jazdzewski domyśla się, że Czerwień istniał i funkcjonował w granicach lat: 940 — 1300. Bardzo możliwe, że kres jego świetności położyli Tata-ry Batu-chana w roku 1241.

Jeżeli chodzi o zabytki, to w kwarterze głównej ekspedycji, w Hrubieszowie, oglądałem ich wielkie mnóstwo. Między innymi widziałem:

Piękny kolczyk srebrny. Jest to czworokątna ramka z drutu, na której dolnym ramieniu obraca się bezczulkowaty cylinder ozdobiony granulacją. Dzwoneczki, podobne do tych, których dzisiaj używamy do uprząży konskiej. Dawniej upiększano nimi ubrania i obuwie. Sprzączkę metalową o kształcie obwarzanka. Długie, płaskie i kończyste groty strzał. Pisanki kijowskie, zdziałane z ciemno-glazurowanej gliny, a pokryte prześlicznym, kolorowym ornamentem. Szklane bransolety z barwnym, spiralnym szlakiem. Noże, większe i lepsze od tych, które pochodzą z wykopalisk Polski centralnej i zachodniej. A przede wszystkim — skorupy naczyń białawego koloru.

Wszystko, co powyżej wymieniłem, zalicza się do zabytków typu wschodnio-słowiańskiego, ruskiego. Na terenie Grodów Czerwieńskich rzeczy

typowo ruskich jest bardzo wiele — typowo polskich zupełnie mało.

Ale sama nazwa Czerwienia jest raczej polska niż ruska. Nie jest wykluczone, że gród ten powstał jako wynik ekspansji młodego państwa polskiego w latach 900 — 950 (a więc przed Mieszkim I). Pobyt załogi polskiej nie wpłynął jednak na charakter kultury miejscowego ludu. Zresztą załoga ta mogła być rekrutowana spośród Rusinów.

Wykopane zabytki powędrowały do pudeł i do pracowni naukowców, gdzie poddane zostaną najbardziej skrupulatnemu badaniu. Na przyszłe lato ekspedycja znowu wyruszy w nieco już „rozorany“ teren. Wyruszy uzbrojona w tegoroczne zdobycze.

Zanim jednak wszystko to nastąpi, warto, a nawet konieczne potrzeba zastanowić się nad pewną sprawą.

Polscy uczeni pokopali trochę na Grodach Czerwieńskich i oto wyjrzało spod ziemi to, co określić można jednym słowem: Ruś. Mówi się o tym głośno i bez ogródek, dodając, że to samo napotyka się na terenach położonych daleko na zachodzie. Aż za Wierpem.

Problem Grodów Czerwieńskich stanowił dawniej kość zażartej niezgody trzech nacjonalizmów: polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego. Jeżeli więc rozumować wedle ówczesnych metod, to znaczy według obyczajów wojujących szowinizmów, to z rezultatami tegorocznych kopania należałoby postąpić tak, jak swego czasu Niemcy uczynili w Opolu: zasypać, zaprzestać badań, słowem — *totschweigen*... Tego jednakże nikt u nas dokonywać nie myśli. Uczeni



Doraźna segregacja zabytków

poiscy już planują przyszłoroczne badania.

Przyniosą one doniosłe rezultaty w dziedzinie wiedzy o naszej własnej przeszłości. Poznamy zasięg i charakter ekspansji wczesnofeudalnej Polski. Będziemy wiedzieć, jak po mału plemiona polskie opanowywały i polszczyły tereny między Wieprzem i Bugiem. Ale z prac naszych uczonych ogromne korzyści odniosą też narody Związku Radzieckiego — Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini.

Jest niezmiernie ważne i dla naszej nauki współczesnej charakterystyczne, że osiągnięć polskich badaczy ci Ukraińcy czy Rosjanie nie będą potrzebowali traktować nieufnie, przepuszczać ich przez żaden filtr. Bo

badania te służą wyłącznie obiektywnej prawdzie i ją tylko odsłaniają. Nikt u nas białej ceramiki ruskiej odymiać i upadabniać do wielkopolskiej nie zamierza.

Sprawa, stanowiąca ongi sam sztandar narodowej nienawiści — jest obecnie obustronnie badana bez jadu, żółci i uprzedzeń. W imię spraw do niej podobnych można narody szczuć przeciwko sobie i podjudzać do wzajemnej rzezi. A oto widzimy, że można też moralnie je ku sobie zbliżać w służbie prawdy.

Prace badawcze na Grodach Czerwieńskich, ich charakter oraz cele, którym służą, są bardzo znamienne dla nadchodzącej, a u nas już realizowanej epoki braterstwa narodów

Tradycje przyjaźni POLSKO-NIEMIECKIEJ

W DNIU 29 listopada 1848 roku na zebraniu, które odbyło się w rocznicę wybuchu powstania listopadowego w Londynie, w imieniu demokratów niemieckich przemawiał Fryderyk Engels. Oświadczył on m. in.:

„...My, demokraci niemieccy, jesteście szczególnie zainteresowani w wyzwoleniu Polski. Właśnie niemieccy żołnierze uciskają jeszcze dziś Galicję i Poznań. Nam, Niemcom, a przede wszystkim nam, demokratom niemieckim, musi zależeć na tym, aby zmyć tę hańbę z naszego narodu. Naród nie może stać się wolnym, a jednocześnie uciskać inne narody. Niemcy nie mogą się więc stać wolne bez wyzwolenia Polski od ucisku niemieckiego“.

Słowa te zostały wypowiedziane w tym czasie, kiedy w Berlinie dobiegał końca monstrualny proces wytoczony przez rząd pruski, reprezentujący interesy junkierstwa, a nie narodu, przeciwko dwustu pięćdziesięciu czterem Polakom, uczestnikom niedoszłego powstania, które pod wodzą Ludwika Mierosławskiego miało w lutym 1846 roku objąć wszystkie ziemie polskie,

rozdarte kordonami zaborów. Wśród tej olbrzymiej ilości oskarżonych — większość to przedstawiciele mas ludowych, to chłopci, rzemieślnicy, komornicy, zagrodnicy i służba folwarczna. W trzy dni po mowie Engelsa zapadł wyrok w sprawie polskich więźniów Moabit. Ośmiu spośród oskarżonych, wśród nich zaś Ludwik Mierosławski, filozof poznański Karol Libert i chłop Jan Palacz zostali skazani na karę śmierci, siedmiu innych oskarżonych na dożywotnie więzienie, reszta na długie lata turmy. Zamknięci w ciasnych celach moabickiego więzienia oczekiwali skazańcy uprawomocnienia się wyroku.

Bezwzględny wyrok sądu pruskiego wywołał głębokie oburzenie wśród niemieckich mas, przede wszystkim zaś wśród berlińskiego ludu.

Poszatkwane granicami księstw i ksiąstewek, niemieckie masy ludowe walczyły w tym czasie o prawo stania się jednolitym narodem, o zjednoczenie, o prawo do postępu i rozwoju. Nawołyują do zjednoczenia narodu niemieckiego najlepsi jego synowie, mistrzowie słowa, jak Lessing, Schiller czy Goethe,

zachęcają burzliwe i rewolucyjne tony muzyki Beethovena. A to parcie wszystkich niemieckich ludów do zjednoczenia, do stania się jednym narodem, jest tak silne, że zdawało się, iż nic mu się nie może przeciwstawić. Znalazła się jednak przeszkoda, a przeszkodą tą były hohenzollernowskie Prusy.

Nic też dziwnego, że teoretycy i twórcy naukowego socjalizmu — Marks i Engels — uważali Prusy i prusactwo za największy hamulec postępu, za ognisko wstecznictwa w Niemczech. Królestwo Pruskie, wyrosłe na mordach i grabieżach, na podbojach i gwałtach, służyło wyłącznie dynastii Hohenzollernów oraz kasty w Prusach rządzącej — pruskiemu junkierstwu. Panowanie pruskich Hohenzollernów zespolonych z junkierstwem, ich agresywna polityka zagraniczna, oraz straszliwy ucisk i brutalny terror na wewnątrz, wszystko złożyło się na to, że państwo Hohenzollernów stało się bastionem reakcji nie tylko na Niemcy, ale i na całą Europę. Prusy nie zmieniły swego oblicza w czasie przemian i burz dziejowych, które zmieniały świat.

Inaczej jednak czuły i myślały masy niemieckie, masy berlińskiego ludu. Pragnąc same się wyzwolić z gniołącego jarzma pruskiego żołdaka, swymi trupami ściełać drogę do zjednoczenia, do prawa nazwania się narodem, berliński lud zrozumiał szybko i w czynie zrealizował prawdę głoszoną przez Engelsa, że „*naród nie może stać się wolnym, a jednocześnie uciskać inne narody*“.

Przewaliły się nad Francją dni lutowe 1848 roku. Jak fale wezbranej rzeki zmyły oparty na klerze i bankierach tron Ludwika Filipa.

Przyniosły tchnienie wiosny, nadzieję wolności wszystkim podbitym i ujarzmionym. Zerwał się za przykładem Paryża do walki lud włoski, wiedeński, a w nocy z 18 na 19 marca 1848 roku spracowane dłonie berlińskiego rzemieślnika i wyrobnika zbudowały przeciw junkierstwu i królowi pruskiemu barykady.

Do wczoraj jeszcze tak butny i ufny w siłę żołdackich bagnetów król pruski Fryderyk Wilhelm IV stchórzył przed grozą zrewolucjonizowanych mas. Wobec berlińskiego ludu zastosował, tak jak jego poprzednicy na pruskim tronie, taktykę obludy i zdrady. Wprawdzie wycofał z Berlina dwudziestopięcioty sięczną armię, wprawdzie udzielił dyktanda jawnie reakcyjnemu rządowi junkrów, wprawdzie przyrzekł nadanie liberalnej konstytucji, gwarantującej swobody obywatelskie, wprawdzie uroczyście ogłosił zjednoczenie ziem niemieckich, wprawdzie pod naciskiem mas odkrył 19 marca głowę przed przyniesionymi na dziedziniec zanku królewskiego zwłokami pomordowanych w czasie rewolucji berlińczyków, ale jednocześnie porozumiewał się z carem Mikołajem I, jakich sposobów użyć, aby najlepiej i najskuteczniej zdusić rewolucję.

Ani na chwilę nie zapomniał lud berliński o moabickich skazańcach. Już 20 marca 1848 roku pod Moabitą odbyła się olbrzymia demonstracja ludowa, pod hasłem zwolnienia polskich więźniów politycznych. Wkrótce bramy więzienne zostały wywalone, na dziedziniec więzienny wdarł się tłum berlińczyków, wznosząc entuzjastyczne okrzyki na cześć więźniów polskich. Grupa dwustu czterdziestu więźniów, otoczona zwar-

tym kołem berlińskiego ludu, opuściła mury więzienia. Skazani na śmierć Polacy, przez rewolucyjny lud berliński wyrwani katom, jechali ulcami uwolnionego od despotyzmu miasta w powozie, z którego wyprężono konie, i który ciągnęły chmary berlińskiego pospólstwa.

Kwiatami i okrzykami na cześć bratniej Polski, oklaskami i uśmiechem radości witali berlińczycy triumfainy pochód polskich więźniów. Jako zaś symbol zapoczątkowanej przyjaźni polsko-niemieckiej, robotnicy zdejmują z bramy oranienburskiej czarno-czerwono-złoty sztandar zjednoczonych Niemiec i oddają go w ręce wiezionych powozem Polaków.

Tak samo jak w dniu poprzednim ludność Berlina ze zwłokami poległych w boju towarzyszy, zorganizowała demonstracyjny pochód pod zamek królewski, aby wymusić na królu oddanie im hołdu, tak i w dniu 20 marca nieprzeliczone tłumy, które nadciągnęły z samego miasta i wszystkich okolic Berlina, z więźniami polskimi na czele, załaziły dziedziniec królewskiego zamku, domagając się stanowczo ukazania się króla i złożenia przezeń hołdu, przez odkrycie głowy, polskim więźniom, a w ich osobie i polskiemu narodowi. Wobec postawy demonstrantów, król zmuszony był do spełnienia wszystkich postulatów berlińczyków.

Zapoczątkowane w dniu 20 marca braterstwo i przyjaźń polsko-niemiecka, pogłębiała się jeszcze bardziej w dalszych dniach berlińskiej rewolucji. Z akademików polskich studiujących na uniwersytecie berlińskim została stworzona Legia Akademicka, która objęła ochronę ważnych obiektów jak poczty, czy też pilnowała porządku przy zwa-

caniu zastawów w lombardzie miejskim. W Berlinie żył i wzmagał się entuzjazm dla sprawy polskiej i nikomu z ludu berlińskiego przez myśl nie przeszło, aby rewolucja mogła mieć inny rezultat, aniżeli stworzenie wolnej, zjednoczonej i demokratycznej Polski. Przekonanie to żywili nie tylko berlińczycy, ale i cały naród niemiecki, a nawet ściągnięta na teren polski ludność narodowości niemieckiej. Oto 22 marca 1848 roku przed Towarzystwem Ziemstwa Kredytowego w Poznaniu odbyła się manifestacja ludności niemieckiej, której przedstawiciele zgłosili chęć nawiązania ścisłej współpracy z Komitetem Narodowym Polskim. Organizatorzy manifestacji wydali odezwę, odczytaną ze schodów Towarzystwa Kredytowego, której fragment warto przytoczyć:

„Teraz bracia nasi w Berlinie przyczynili się do założenia kamienia węgielnego dziejów waszego odrodzenia. Więzienia się rozwarły, a wasi więźmi skrepowani bracia przez naszych braci uwolnionymi zostali. Wy to uznajecie i podajecie nam braterską prawicę. Bracia! my ją przyjmujemy, a za naszym przykładem pójdzie cały wolny lud niemiecki, który już zniweczył przymierza monarchów z barbarzyństwem azjałyckim i teraz gotów jest stawić swoją chorągiew czerwoną i czarną ze złotem, obok waszej, w walce światła przeciw ciemności“.

Poczucie konieczności współdziałania w walce przeciw prusactwu i reakcji hamującej postęp polskich i niemieckich mas ludowych, z trudem jeszcze, ale coraz uparciej i konsekwentniej, zaczęło wsiąkać w świadomość społeczeństwa polskiego. 29 marca 1848 roku w Piątkowie, Tymczasowy Komitet Naro-

dowy Prus Polskich wydaje „Do Braci Polaków tu zamieszkałych“ odezwę, która niemieckim masom ludowym przypisuje ważną rolę w przebiegu polskich walk narodowo-wyzwoleńczych. Czytamy tam:

„...to oni (niemieckie masy ludowe — przyp. aut.) byli, którzy na barykadach berlińskich pierwszy chorągiew Wolności i Braterstwa utkwili. Oni to swoją bohaterską piersią odparli przemoc pragnącą i nadal jeszcze rozdziwoju pomiędzy bratem a bratem. Krwią swoją poświęcili rozlaną i sobie i nam wolność wywalczyli; gdyż to pewna, że w pamiętnej nocy z dnia 18 na 19 marca, której bój krwawy toczył się na bruku w Berlinie, zeszła jutrzienka i naszej polskiej wolności. Im więc cześć, im braterstwo, im miłość wieczna!...“ Odezwą kończy się hasłem: *„Pozdrowienie i braterstwo! Niech żyją wolne Niemcy! Niech żyje wolna Polska! Niech żyje ludzkość wolna i braterska!“*

Nie było jednak w smak ani pruskiemu junkrom z Hohenzollernem na czele, ani też polskim panom z hrabią Mielżyńskim czy księciem Radziwiłłem to współdziałanie polskich i niemieckich mas ludowych. Zdawali oni sobie sprawę, że coraz szersze kręgi zataczająca przyjaźń obu narodów ponad ich głowami musi pociągnąć za sobą przykre dla nich konsekwencje z punktu widzenia ich osobistego interesu. Złączone we wspólnej walce rewolucyjnej masy ludowe Berlina, Poznania czy Torunia, walcząc o prawo do narodowego wyzwolenia, zaczęłyby bić się także o swe wyzwolenie społeczne, o ostateczne obalenie jarzma panowania obcego na jeźdźcy i własnego wyzyskiwacza.

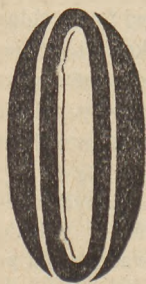
W krótkim czasie okazało się, że król

pruski bynajmniej nie zamierza na czele armii rewolucyjnej maszerować przeciw najsilniejszej ostoi reakcji w Europie — caratowi. Okazało się też, że panowie polscy nie będą mogli przy boku króla pruskiego wyprawić się celem odzyskania latyfundiów magnackich na ziemiach białoruskich czy ukraińskich. Król pruski szybko porozumiał się z carem Mikołajem przeciw własnemu narodowi. Panowie polscy skapitulowali od razu przed królem pruskim ze swych dążeń narodowych, grożących im głębokimi konsekwencjami społecznymi. Wynikiem tego było przywrócenie junkierskich rządów w Prusach, zduszenie rewolucyjnego zapалу berlińskiego ludu, powrót samowoli i terroru pruskiego żołdactwa. Na ziemiach polskich wynikiem tej zmiany była kapitulacja jarosławiecka, było bezczynne przypatrywanie się temu, jak rozbestwione żołdactwo pruskie we krwi topiło chłopskie powstanie. Zdrada króla i junkierstwa pruskiego wobec interesów własnego narodu, zdrada szlachty polskiej wobec rozpalającej się walki o wolność i niepodległość, przyczyniły się do tego, że tak na terenie Berlina i innych miast niemieckich, jak i na terenie polskich ziem zabranych, zapanował „pruski porządek“.

Zapoczątkowana w dniach rewolucji berlińskiej próba ścisłego współdziałania najbardziej konsekwentnych elementów demokratycznych i postępowych, zespolenia polskich i niemieckich wysiłków rewolucyjnych w walce ze wspólnym wrogiem, w roku 1848 nie powiodła się. Odżywała ona jednak ustawicznie na kartach historii narodu polskiego i niemieckiego. (d. c. n.)

„NATION EUROPA” MADE IN USA

MARIAN PODKOWIŃSKI



OTTO Bismarck powiedział kiedyś (cyt. z t. II Nr 256, str. 87 „Die grosse Politik der europaeischen Kabinete“): „Słowo „Europa” znajdowałem zwykle w ustach polityków, ilekroć domagali się oni od innych państw takich rzeczy, o które nie miałoby odwagi występować we własnym imieniu”.

Adolf Hitler również snuł plany o „Nation Europa”. Wciągał młodzież „nordyckich” narodów do swoich drużyn Waffen-SS i kazał im na polach rosyjskich walczyć o „zjednoczoną Europę” hitlerowskiego Reichu. Jak taka „Europa” miała wyglądać po zwycięstwie „Tysiącletniej Rzeszy” (która

trwała 12 lat), wyszło na jaw podczas procesu norymberskiego! Himmler w swoim przemówieniu do korpusu gauliterów oświadczył w r. 1942, że Szwajcaria i północna Francja włączone zostaną do Reichu, na wschodzie granica Niemiec przesunięta będzie o 500 km, Baku zaś i półwysep Kola znajdą się w obrębie „Altreichu”.

Dzisiaj Wall Street odgrzewa hitlerowskie marzenia pod maską „zjednoczonej Europy”. Dlatego Waszyngton pozwolił Hallsteinowi interpretować granicę takiej Europy, jako sięgającą aż do Uralu. Dlatego Adenauer mógł pozwolić sobie na złożenie deklaracji podczas konferencji swojej partii (CDU) w Siegen, że „należy zaprowadzić nowy ład na Wschodzie”.

Wall Street oczywiście rozumie, że jeśli pragnie się oddać kierownictwo

takiej Europy w ręce spadkobierców Hitlera, trzeba jednakże uspokoić masy społeczeństw zachodniej Europy. Gorzką pigułkę jaką stonowi Adenauer w roli żandarma zachodniej Europy na służbie USA, trzeba więc było najprzód osłodzić bredniami i kłamstwami na temat wspaniałości ery, jaka czeka kraje zachodnie, jeśli dojdzie do skutku „Unia Europejska” lub jeden z jej wariantów, jakie od trzech lat dyskutowane są bez przerwy w Strassburgu i Luksemburgu. Pod parawanem tych „parlamentów” i „ciał doradczych” Wall Street sposobi się do zawładnięcia krajami zachodniej Europy, do penetracji gospodarczej, do uzależnienia ekonomiki tych krajów od własnej polityki i utworzenia tzw. armii europejskiej, najemników, którzy mają stać się „mięsem armatnim” amerykańskiego imperializmu. Dla nikogo bowiem nie jest już dzisiaj tajemnicą, iż taka czy inna forma zjednoczonej Europy stać się ma narzędziem Wall Street w jej agresywnych planach przeciwko obozowi pokoju.

Przecież nie kto inny jak ówczesny dowódca atlantyckiej armii i obecny kandydat na prezydenta USA, generał Eisenhower oświadczył w wywiadzie dla prasy niemieckiej w Monachium, że *„żadna decyzja nie mogłaby być bardziej pomocna naszym celom, niż Unia Europejska”*.

USA od dawna dążyły do całkowitego przekreślenia niezależności gospodarczej i politycznej państw Europy z chodniej, do zniesienia ich armii narodowych, do przekształcenia ich w zjednoczony gospodarczo - wojskowy poligon dla amerykańskich planów wojennych. Zbyt wielkie sprzeczności targły jednak obozem państw kapitali-

stycznych, zbyt wielkie rozbieżności istniały między partnerami bloku atlantyckiego, aby można było przejść do zwykłych rokowań, skutkiem których — jak wyraził się prawicowy polityk francuski Pierre André — *„Francuzi mogą obudzić się pewnego dnia bez obywatelstwa francuskiego”*.

„Idea” Unii Europejskiej powstała jeszcze w r. 1948, kiedy grupa zachodnio-niemieckich, francuskich i włoskich intelektualistów czerpiąca natchnienie z „nauk” ideologów nieodzowności III wojny światowej Jamesa Burnhama i Sydneya Hooka, postanowiła opracować „ideologiczną” podkładkę imperialistycznej imprezy Wall Street. Z jej ducha powstał później w Berlinie zachodnim kongres „wolności kulturalnej”, w którym wzięli udział dzisiejsi sztabowcy „wojny psychologicznej” Waszyngtonu, nieublagani wrogowie pokoju i postępu: James Burnham, Artur Koestler, Bertrand Russell, Eugen Kogon, Gabriel Marcel, Raymond Aron, Malvyn Lasky i Sydney Hook.

W rok później plany ideologów federalizmu skonkretyzowane zostały w postaci Rady Europejskiej — z natchnienia Churchilla i pod egidą rene-gata Spaaka. Była to polityczna przybudówka paktu atlantyckiego. W ten sposób chciano otworzyć furtkę dla tych krajów, które formalnie nie należały do paktu. Ale sprawa Rady nie dawała spodziewanych rezultatów i mimo amerykańskich pogroźek (senator Green powiedział wtedy *„No federation — no money”*) i demonstracyjnego ustąpienia Spaaka z prezydentury, tonęła nadal w mnogostawiu sprzeczności i niekończących się tyradach przez nikogo nie upelnomocnionych „parlamentarzystów”.

Wówczas Wall Street przystąpiła do drugiego aktu bezowocnych jak dotąd prób „federalizowania“ Europy. W tym czasie wypłynęła sprawa armii europejskiej — narzędzia wskrzeszania neohitlerowskiego Wehrmachtu. Dołączono więc do układu o tej „armii“ klauzulę w sprawie utworzenia „ponadnarodowej“ władzy politycznej dla uczestników paryskiego układu po jego ratyfikacji przez parlamenty zainteresowanych państw. Pierwsze skrzypce, jakie w zachodnio - europejskim koncercie gra obecnie Adenauer i jego general-ska klika, nie ułatwia bynajmniej dyplomacji amerykańskiej kamuflowania istoty „armii europejskiej“. Rządy państw sateliokich Wall Street w Europie zachodniej pod naciskiem opinii publicznej, a przede wszystkim społeczeństwa francuskiego i belgijskiego zdają sobie doskonale sprawę z planów amerykańsko - adenauerowskich i zmuszone są protestować przeciwko hegemonii magnatów Nadrenii w amerykańskiej „federacji europejskiej“. Ratyfikacja układu o „armii europejskiej“ napotyka więc na razie na poważne trudności, a dyskusja wokół niej przynosi każdego dnia całkiem „niepożądane dla amerykańskiej polityki w Europie echa i komentarze...“ — jak pisał „New York Times“.

Trzecią możliwością, do której do-czepić było można amerykański projekt „federacji europejskiej“ — był „plan Schumana“. Amerykanie postanowili utworzyć „ponadnarodową władzę europejską“ oraz opracować „konstytucję Stanów Zjednoczonych Europy“, w o-parciu o „kombinat węgla i stali“.

To przrzucanie się z jednej koncepcji do drugiej, ale stale pokrywającej się z zasadniczą linią polityki Wa-

szyngtonu w kierunku oddania zachodniej Europy w pacht osi Waszyngton-Bonn, trafnie scharakteryzowała jeszcze 24 października 1951 roku moskiewska „Prawda“, pisząc o bezsilności uczestników kolejnych zebrań w Strassburgu:

„Strassburska rada z jej papierowym patosem odchodzi w wieczność jako nędzny epizod, jako symbol niemocy francuskiej burżuazji. Miejsce jej zajęć ma organ opierający się na mocniejszym fundamencie — sztabie europejskiego militarno-przemysłowego superkartelu i sztabie armii europejskiej. Kamieniem węgielnym tego fundamentu winien się stać węgiel Zagłębia Ruhry, zakłady Kruppa, kontyngenty niemieckich żołnierzy i sfera hitlerowskich generałów z bogatym doświadczeniem w zakresie agresji“.

Aby uchwalić więc nową formę „unii europejskiej“ zebraли się we wrześniu br. wszyscy ci, którzy wbrew interesom własnego narodu i wbrew protestom bojowników o pokój, postanowili nadać amerykański kształt hitlerowskiemu planom o „Nation Europa“. W Strassburgu i w Luksemburgu zebrałi się wierni wasale amerykańskiego imperializmu: Adenauer, Schuman, de Gasperi oraz ich socjal-demokratyczni sojusznicy w forsowaniu koncepcji Wall Street o cementowaniu agresywnej „wspólnoty europejskiej“.

Nie jest przypadkiem, że luksemburskiemu zgromadzeniu ministrów wydelegowanych przez kraje biorące udział w kombinacie węgla i stali, przewodniczył właśnie Konrad Adenauer. Miał on do tego dwojakie upoważnienie: jak wiadomo, w ramach „planu Schumana“ przemysł zachodniej Europy podporządkowany zostaje w istocie

magnatom Zabłębia Ruhry, ściśle powiązanym z amerykańskimi monopolami. Po wtóre: podobnie jak Krupp Thyssen nadawać będą ton w „zjednoczeniu węgla i stali“, odwetowcy z Bonn i hitlerowscy generałowie stanowić mają trzon politycznych władz „zjednoczonej Europy“. Przecież n'e kto inny, jak znany dziennikarz Walter Lippmann pisał niedawno w „*New York Herald Tribune*“ po swoim powrocie z podróży europejskiej, że „w naszych planach możemy się bez obawy oprzeć tylko na Bonn“. Kiedy jednakże Adenauer wystąpił w Luksemburgu z wezwaniem do pośpiechu w realizacji „Nowej Europy“, we Francji i w Belgii, a nawet w Szwajcarii przypomniano deklarację jednego z bońskich ministrów Jakuba Kaisera, który oświadczył: „*Prawdziwa Europa nie zostanie utworzona dopóty, dopóki nie będzie istniał blok niemiecki... obejmujący Austrię, część Szwajcarii, Saarę i naturalnie Alzację i Lotaryngię*“. Plan, jak żeż podobny do snów Hitlera!

Oczywiście, że kosmopolici w rodzaju Schumana czy Renè Mayera i socjaldemokratyczni zdręcy interesów klasy robotniczej pokroju Guy Molleta gotowi są nawet do odstąpienia Lotaryngii (Adenauer domagał się niedawno okręgu Forbach), ale wystarczy przejrzeć prasę francuską czy holenderską, aby przekonać się na jak poważne przeszkody natrafia realizacja waszyngtońskich planów na zachodnio-europejskim podwórku. Niechętnym okiem spoglądają na plany Adenauera i niektórzy francuscy przemysłowcy, niełatwo mogąc zgodzić się na amerykańsko-bońską supremację w kombinacie węgla i stali. Nawet reakcyjny dziennik „*Aurore*“ pisał z nieukrywa-

nym niepokojem: „*Widzimy grę toczącą się na osi Waszyngton-Bonn, grę która wywołuje w naszym społeczeństwie całkiem usprawiedliwione obawy*“.

Europejscy wasale Wall Street gotowali się już do „jednoczenia Europy“ na bazie organizacji „planu Schumana“, kiedy nowy zgrzyt powiększył i tak już dostateczny zamęt w głowach „rajców ze Strassburga“, dokąd przeniosły się z kolei obrady „parlamentarnego zgromadzenia kombinatu węgla i stali“ i gdzie przewodniczącym wybrany został Spaak, który z takim hałasem opuścił swego czasu tonącą w nieustannych kłótniach „Radę Europejską“, powstałą z inicjatywy Churchill'a.

Tym nowym zgrzytem w koncercie państw zachodniej Europy było wyraźne zaniepokojenie Wielkiej Brytanii oraz innych krajów nie wchodzących w skład „kombinatu węgla i stali“ ani „armii europejskiej“ — odradzającą się przy pomocy Wall Street hegemonią Trizonii w Europie zachodniej. Dla Wielkiej Brytanii utworzenie superkartelu stalowo - węglowego pod kierownictwem baronów nadreńskich oznacza dalsze i efektywniejsze niż dotychczas zagrożenie własnych rynków zbytu, jak i jej dotychczasowej roli arbitra wśród krajów zachodniej Europy, a więc resztek dawnej świetności dyplomatycznej, paraliżowanej konsekwentnie przez Waszyngton. Obawy brytyjskie poparte przez całą prasę londyńską wykazały z całą otwartością zastrzeżenie się istniejących dotąd anglo-amerykańskich sprzeczności. Niechęć do „planu Schumana“ w ogóle, a do nowej koncepcji „unii europejskiej“ na

jego bazie w szczególności, poruszyła gwałtownie nawet burżuazję angielską, która coraz dotkliwiej odczuwa konkurencję przemysłu Trizonii. Konserwatywny dziennik „Daily Mail” pisał z oburzeniem: *„Organizacja taka byłaby nie tylko zagrożeniem dla naszej produkcji i naszego eksportu, ale również spowodowałaby zachwianie równowagi sił w Europie, czego brytyjska polityka pragnie uniknąć”*.

W tej sytuacji minister Eden wniósł swój własny projekt „zjednoczenia Europy” pod obrady dyskutującej w Strasburgu — „Rady Europejskiej”.

O co chodzi Edenowi?

Jego projekt powiada, że nie plan Schumana, który obejmuje 6 państw, ale Rada Europy, która obejmuje 14 państw z Anglią włącznie, winna stać się záłącznikiem przyszłej federacji europejskiej. Należy — powiada Eden — wykorzystać Radę Europejską oraz jej istniejące już agendy i poddać ich kompetencji zarówno kartel węgla i stali, jak i armię europejską.

„Plan Edena” przewiduje więc powiązanie organów „planu Schumana” i „armii europejskiej” z „Radą Europejską”, w której dominuje oczywiście wpływ Londynu. Jasne, iż na bazie „Rady” Anglia miałaby stosunkowo mocniejszą pozycję przetargową w stosunku do USA i jej żandarma Adenauera.

„Plan Edena” zdradza wyraźnie nie tylko niepokój Wielkiej Brytanii o jej rolę w Europie zachodniej, ale i chęć uzyskania od USA tej roli, jaką Wall Street wyznacza obecnie Adenauerowi, a co oznacza dalsze osłabienie pozycji

brytyjskiej w obozie imperialistycznym. Za parawanem frazesów o „Stanach Zjednoczonych Europy”, o jej rozmaitych koncepcjach i sformułowaniach „ideologicznych”, w gruncie rzeczy kryje się potęgowanie sprzeczności, przede wszystkim między USA a Wielką Brytanią.

Niezależnie od tego jak potoczą się dalsze losy „europejskiej federacji” pod batem dolarowego pogromcy, nie dadzą się już dzisiaj dłużej ukryć rozdźwięki, jakie coraz wyraźniej dają się słyszeć w obozie agresji, a które świadczą o narastaniu rozbieżności, rozszadających od wewnątrz waszyngtoński blok agresji. Nie ulega również wątpliwości, iż pod naciskiem opinii publicznej krajów zachodniej Europy, opierającej się wojennej polityce Wall Street, coraz odważniej demaskowane są cele Waszyngtonu. *„USA stoją w obliczu katastrofy ich polityki europejskiej”* — pisze William Simms z koncernu prasowego „Scripps - Howard” po powrocie z Europy.

Opisując nastroje, jakie panują w zachodniej Europie, Simms powiada:

„Pewnego dnia możemy ocknąć się i zauważyć, że wpadliśmy „do rowu” i nawet nie będziemy zdawać sobie sprawy z tego w jaki sposób to nastąpiło. Opieramy się bowiem na siłach, które nie istnieją, a lekceważymy... siły, które faktycznie istnieją i występują przeciwko nam...”

Te właśnie siły — siły bojowników o pokój i suwerenność narodów — coraz odważniej i konsekwentniej bronią swych praw i pokoju w Europie.

NAUKI XIX ZJAZDU

(Z przemówienia Prezydenta Bolesława Bieruta po powrocie z Moskwy do Warszawy 16.X.1952 r.)

Niepodobna w kilku krótkich słowach omówić olbrzymie międzynarodowe znaczenie XIX Zjazdu WKP(b), która odąd będzie nosiła nazwę Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Zjazd ten stanowił wydarzenie polityczne najwyższej wagi, o skali światowej.

Znaczenie tego Zjazdu i sprawy, które były przedmiotem jego obrad dają się streścić w sposób następujący:

Zjazd dał ocenę walk, prac i wydarzeń za 13-letni, niezwykle doniosły w historii ludzkości okres, jaki upłynął od XVIII Zjazdu w 1939 roku. Był to okres wielkiej wojny światowej, okres rozbitcia i zdruzgotania faszystwu przez zwycięskie armie narodów radzieckich, okres wyzwolenia i odrodzenia w oparciu o władzę ludu pracującego szeregu narodów — odrodzenia narodu polskiego.

Dla kapitalizmu światowego był to okres nowych połącznych wyrw w jego systemie, okres znacznego pogłębienia i zaostrzenia się ogólnego kryzysu systemu kapitalistycznego.

Dla narodów radzieckich i narodów wyzwolonych dzięki ich braterskiej pomocy z pęt kapitalizmu, był to okres połącznej, twórczej odbudowy i rozbudowy, okres wielkich historycznych przeobrażeń, okres szybkiego wzrostu sił wytwórczych tych narodów, okres przejścia do wielkich budowl komunistu w ZSRR. Był to okres olbrzymiego wzrostu siły, autorytetu, roli ZSRR w świecie, olbrzymiego wzrostu wpływu Wielkiego Kraju Rad na świadomość, ideologię, postawę przodujących warstw całej ludzkości. Związek Radziecki stał się dla olbrzymiej większości ludzi w całym świecie niezawodną i niezwykłą ostoją pokoju i nadzieją lepszego, szczęśliwego jutra.

Nic przeło dziwnego, że na obrady XIX Zjazdu Wielkiej, bohaterskiej Partii narodów radzieckich zwrócone były oczy całego świata.

Zjazd poprzedziło opublikowanie nowego, historycznego dzieła towarzysza Stalina pt. „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“. Doniosłe znaczenie tej

ciężkiej pracy nie tylko dla narodów radzieckich, ale i dla wszystkich krajów budujących socjalizm, przełomowe jej znaczenie dla nauki ekonomicznej, dla nauk społecznych, dla marksizmu-leninizmu odczuć i docenione zostało przez całą przodującą część ludzkości. XIX Zjazd przyjął tę pracę za podstawę programowych wytycznych i zadań Partii.

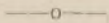
Zjazd ustalił wytyczne piątej Pięciolatki — nieodparte świadectwo dalszego coraz szybszego rozkwitu gospodarczego Związku Radzieckiego, wzrostu jego potęgi gospodarczej i wzrostu dobrobytu ludności.

Zjazd uchwalił nowy Statut Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — dokument niezmiernej wagi świadczący o ogromnych osiągnięciach wielkiej Partii Lenina-Stalina, o nowym zasięgu praw i obowiązków członka Partii, odpowiadających zadaniom nowego okresu, dokument, który będzie twórczym bodźcem dla wszystkich bratnich partii.

Niemniej doniosła była międzynarodowa rola XIX Zjazdu, jego potężne znaczenie dla mas pracujących całego świata. Zjazd uwypuklił z niezwykłą siłą nie tylko potężną i niewzruszoną zwartość i monolitność wielkiej 7-milionowej Partii Lenina-Stalina, ale i jej najgłębszy i wzruszający w swym wyrazie patriotyzm, ofiarność i żelazną wolę w pracy nad rozbudową siły, dobrobytu i kultury społeczeństwa radzieckiego. Z obrad, z atmosfery Zjazdu promieniował równocześnie z niezwykłą siłą internacjonalizm, najgłębsze tętno uczuć solidarności międzynarodowej i gotowości oddania wszystkich sił dla wielkiej sprawy zabezpieczenia pokoju między narodami, poparcia i solidarności z walką wszystkich narodów o ich niepodległość. Troska o pokój, o braterstwo między wolnymi narodami biła z niezównaną mocą ze wszystkich przemówień, z całokształtu obrad Zjazdu. Z głębokim poczuciem siły zdolnej zabezpieczyć pokój, z przekonaniem, że sprawa pokoju jest największym problemem ludzkości dopóki istnieje imperializm, Zjazd dawał nieprzerwanie wyraz gotowości poświęcenia sprawie pokoju wszystkich rosnących szybko i nieprzerwanie sił narodów radzieckich.

Doniosłe uchwały XIX Zjazdu winny być głęboko, gruntownie i wszechstronnie przestudiowane i przyswojone przez każdego, kto pragnie kroczyć aktywnie w szeregach bojowników o nowy, lepszy ustrój społeczny, o dalszy jeszcze szybszy rozwój sił i potęgi swego narodu, o pokój między narodami, o niepodległość, demokrację i socjalizm.

Oto, drodzy Towarzysze i Przyjaciele, to, co się da w paru słowach powiedzieć o Zjeździe...



FAKTY

Komentarze



WZROST SPRZECZNOŚCI W OBOZIE IMPERIALISTYCZNYM

W SWOIM artykule na temat „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“, zamieszczonym w październikowym numerze czasopisma „Bolszewik“, Stalin podkreślił zaostrenie się ogólnego kryzysu kapitalizmu na obecnym etapie, wskazując jako najważniejszy rezultat ekonomiczny drugiej wojny światowej i jej następstw gospodarczych rozpadnięcie się jednolitego, wszechobejmującego rynku światowego. Jak stwierdza Stalin, spowodowało to dalsze pogłębienie się kryzysu systemu kapitalistycznego, wskutek czego wzrastają wewnętrzne sprzeczności w obozie imperialistycznym.

Również Malenkov w referacie sprawozdawczym Komitetu Centralnego WKP(b) na XIX Zjeździe Partii podkreślił, że „w miarę, jak kapitalizm amerykański pod przykrywką kampanii wokół tzw. pomocy, drogą udzielania kredytów, wciska się do ekonomiki Anglii, Francji, Włoch, zagarnia surowce i rynki zbytu w koloniach angielskich i francuskich, sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi i Anglią, między Stanami Zjednoczonymi i Francją zaostrażają się i będą się jeszcze bardziej zaostrażać“.

Te tezy o wzrastających sprzecznościach w obozie imperialistycznym znalazły swoje jaskrawe potwierdzenie w fakcie nie przyjęcia do wiadomości i od-

rzucenia przez rząd francuski noty amerykańskiej w sprawie finansowania zbrojeń francuskich.

Nie przyjęcie noty do wiadomości i zwrócenie jej jest w praktyce dyplomatycznej posunięciem niecodziennym i stosowanym raczej w stadium zaistnienia ostrego konfliktu między dwoma rządami mało przyjaznymi, aby nie powiedzieć wręcz wrogimi. Posunięcie takie jest krokiem niezwyklej pomiędzy dwoma rządami, związanymi agresywnym sojuszem tzw. „wzajemnej pomocy“, jakim jest pakt atlantycki. Toteż krok Pinay'a wywołał w całym obozie kapitalistycznym niesłychane poruszenie.

Incydent ten był najsilniejszym w dobie powojennej zgrzytem w stosunkach francusko - amerykańskich. Według relacji paryskiego korespondenta agencji Reutera, premier Pinay, odmawiając przyjęcia noty amerykańskiej, oświadczył ambasadorowi Stanów Zjednoczonych, Dunnowi: „Rząd Stanów Zjednoczonych w swojej krytyce wykroczył poza ramy swoich uprawnień“, ale nie zapominając jednak o swojej roli satelity, Pinay — jak stwierdził korespondent Reutera — szybko dodał: „Goltów jestem zapomnieć, że nota ta została kiedykolwiek do nas skierowana“.

Zatarg francusko-amerykański bezpośrednio dotyczył zamówień zbrojowych, lokowanych przez rząd Stanów Zjednoczonych na terenie krajów Europy zachodniej, głównie we Francji, planowanych przez Stany Zjednoczone w

dolarach. Od zamówień tych uzależniony jest budżet zbrojeniowy Francji. Rząd francuski oświadczył, że tylko wówczas będzie w stanie zrealizować wymagany przez mocodawców waszyngtońskich trzyletni program zbrojeniowy Francji, o ile będzie mógł dysponować dostateczną sumą dolarów, przyznaną od razu na 3 lata. Biorąc za podstawę konieczność realizowania programu, ustalonego na początku bieżącego roku w Lizbonie, rząd francuski domagał się na rok budżetowy 1952/53 kredytów amerykańskich w wysokości 625 milionów dolarów. Rząd francuski domagał się również, aby większość tych kredytów ułożona została w przemyśle francuskim pod postacią amerykańskich zamówień zbrojeniowych w ramach tzw. pomocy wojennej dla Europy. Tą drogą rząd Pinay'a usiłuje złagodzić skutki kryzysu, w jaki wtrąciły Francję zbrojenia i brudna wojna w Vietnamie.

Waszyngton przeznaczył dla Francji tylko 500 milionów dolarów kredytu, z czego w przemyśle francuskim zgodził się ułożyć tylko niecałe 200 milionów dolarów. Amerykanie odmówili także przyznania kredytów od razu na 3 lata, stwierdzając, że nie mogą udzielić żadnych gwarancji, które przekraczałyby termin czerwca 1953 r. Nota amerykańska ostro krytykowała francuską politykę podatkową i zawierała opracowane przez ekspertów amerykańskich sugestie zmiany sposobu finansowania zbrojeń w ramach budżetu francuskiego.

Paryski „Monde” pisał, że „*nota amerykańska zawiera pewne sugestie, krytyki lub warunki związane z przydzieleniem i wykorzystaniem kredytów, które godzą w administrację gospodarczą, finansową i wojskową Francji. Nota sugeruje — stwierdzał dalej „Monde” — procedurę w zakresie przekazywania funduszy, na którą rząd nie może się zgodzić*”.

Proamerykańska „Paris Presse” ujawniła, że w dziedzinie polityki zagranicznej nota Departamentu Stanu wyrażała ubolewanie „z powodu zwłoki w ratyfikacji układów podpisanых w Bonn i w Paryżu”, krytykowała sta-

nowisko Francji wobec paktu atlantyckiego i wywierała presję w sprawach Maroka i Tunisu.

Charakterystyczny był artykuł paryskiego korespondenta londyńskiej gazety „Observer”, który pisał: „*Oburzenie we Francji na ingerencję amerykańską do spraw francuskich świadczy o naprężeniu w sojuszu północno-atlantycznym, spowodowanym tym, że między Stanami Zjednoczonymi a ich europejskimi partnerami ułożyły się stosunki podobne raczej do stosunków między możnowładcą a poddanym, aniżeli do stosunku między sojusznikami*”.

Energiczne stanowisko, zajęte przez Pinay'a w stosunku do noty amerykańskiej, było przede wszystkim próbą ratowania resztek prestiżu zbankrutowanego rządu wobec francuskiej opinii publicznej. Wspomniany incydent francusko - amerykański jest dobitną ilustracją wzrostu sprzeczności rozdzierających obóz agresji.

KONFERENCJA LABOUR PARTY

ODBYTA na początku października w Morecambe doroczna konferencja brytyjskiej Labour Party wykazała rosnącą przepaść między dółami partyjnymi a reakcyjnym kierownictwem partii. Przebieg tej konferencji dowiódł, że w łonie Labour Party dojrzał kryzys, że dotychczasowa oficjalna polityka partii jest zdyskredytowana. Wszystko to jest jakby drugą stroną medalu pogłębiającego się kryzysu systemu kapitalistycznego, który pociąga za sobą również kryzys socjal-demokracji. Coraz bardziej rośnie opór milionowych mas robotniczych, które wypowiadają walkę klasie panującej i kapitalistycznym pracodawcom w obronie własnych interesów, powstają coraz kategoryczniej przeciwko nagonce wojennej i zbrojeniom, walcząc o postęp i pokój.

Reakcyjne wystąpienia wysługujących się imperializmowi amerykańskiemu przywódców Labour Party i brytyjskich związków zawodowych w rodzaju Attlee, Morrisona i Deakina nie są w stanie powstrzymać masowego ruchu 8 milionów zorganizowanych robotników W. Brytanii, domagających się

poprawy bytu przez podwyżkę płac. Ta walka ekonomiczna przybiera w W. Brytanii na sile mimo zdradzieckich poczynañ reakcyjnego kierownictwa Labour Party, łączy się z walką przeciw ciężarom zbrojeniowym.

Wyrazem wzrostu dojrzałości politycznej angielskiej klasy robotniczej były liczne rezolucje lokalnych i terenowych organizacji partyjnych, domagające się zmiany kursu polityki Labour Party. Około 400 rezolucji w takich sprawach, jak wojna w Korei i na Malajach, jak remilitaryzacja Niemiec Zachodnich i wyścig zbrojeń, jak militaryzacja Japonii i stosunek do Chin Ludowych — wszystkie te rezolucje świadczyły o narastaniu niezadowolenia z obecnej polityki Labour Party w szeregach dołów partyjnych. Rezolucje te nie doczekały się jednak przedyskutowania ich na konferencji w Morecambe. Komisja organizacyjna konferencji, pod czujnym okiem „bossa” Morrisona, przeprowadziła „komasację” rezolucji, łącząc je w cztery główne rezolucje, z których wszystkie radykalne zwroty antyamerykańskie i mocne akcenty krytyki kierownictwa partyjnego zostały usunięte.

Ale i z tych „skomasowanych” rezolucji dwie uznane zostały za zbyt niebezpieczne, aby je omawiać na plenum konferencji: i — destano je po prostu jako dezysteraty do egzekutywy Labour Party. Los ten spotkał rezolucję, potępiającą przeciąganie rokowań rozejmowych w Korei, bombardowanie elektrowni na rzece Yalu i używanie bomb napalmowych, oraz wzywającą rząd brytyjski do wystąpienia w ONZ z żądaniem zaprzestania wojny w Korei; przyjęcia do Rady Bezpieczeństwa Chin Ludowych i położenia kresu prowokacjom Czang Kai-szeka. Taki sam los spotkał rezolucję wyrażającą zaniepokojenie z powodu odrodzenia militarystyki i hitlerystyki w Niemczech i domagającą się utworzenia zjednoczonych Niemiec na podstawie porozumienia wielkich mocarstw.

W sprawie zbrojeń kierownictwo partyjne przeforsowało własną rezolucję, podtrzymującą oficjalną politykę Labour Party w sprawie programu zbrojeniowego. Ale rezolucja mniejszości,

potępiająca program zbrojeń i domagająca się znacznej redukcji w programie zbrojeń, uzyskała 2 miliony 300 tysięcy głosów. Rezolucja kierownictwa partyjnego uzyskała tylko jeden milion głosów większości i to jedynie dzięki antydemokratycznemu systemowi głosowania poszczególnych, reprezentowanych na konferencji związków zawodowych zwartymi blokami, nie uwzględniającymi okazałych mniejszości opozycyjnych, występujących w poszczególnych związkach zawodowych.

Jeszcze dobitniej zarysowała się opozycja dołów partyjnych przeciwko reakcyjnemu kierownictwu w sprawie wyborów do egzekutywy. Na siedem miejsc w egzekutywie, obsadzanych przez terenowe organizacje partyjne, sześć zdobyli przedstawiciele opozycji na czele z Bevanem, który demagogicznie szermował hasłami pseudo-radykalnymi, a tylko jedno miejsce przypadło w udziale przedstawicielowi oficjalnego kierunku. Nie wszedł do egzekutywy Herbert Morrison, właściwy „boss” partii, który od 30 lat zasiadał w egzekutywie i trzymał w swoim ręku wszystkie nici organizacyjne partii. Taki sam los spotkał również zasiadającego od przeszło 20 lat w egzekutywie Hugh Daltona, kierującego działalnością zagraniczną Labour Party.

Kłeska Morrisona i Daltona w jaskrawy sposób odzwierciedliła postępowe nastroje szerokich mas laburzystowskich, potępiających reakcyjną politykę obecnego kierownictwa Labour Party.

W IMIENIU 1600 MILIONÓW LUDZI

KONGRES Obrońców Pokoju krajów Azji i strefy Pacyfiku, odbył się w pierwszej połowie października w Pekinie.

W Kongresie wzięło udział 404 delegatów i obserwatorów z 37 krajów, wyrażających wolę pokoju 1600 milionów ludzi, zamieszkujących kraje Azji i strefy Pacyfiku. Tematem tych narad były usiłowania znalezienia dróg pokojowego rozwiązania najbardziej palących zagadnień w tej części świata.

Znaczenie Kongresu jest olbrzymie. Wszak to właśnie w Azji toczy się wojna w Korei; w Azji naród wietnamski walczy o swoje wyzwolenie przeciwko imperializmowi francuskiemu, zasilanemu przez imperializm amerykański; w Azji toczy się na Malajach bezlitosna wojna, którą imperializm brytyjski prowadzi przeciwko walce ludu malajskiego o wyzwolenie; w Azji imperializm amerykański uczynił z wysp japońskich swoje agresywne bazy wypadowe i dąży do remilitaryzacji Japonii jako swojego narzędzia ujarzmnienia wyzwolonych Chin.

Kongres w Pekinie uchwalił 5 tez zasadniczych, które dotyczą:

1) zaprzestania odbudowy militarystyki japońskiej, zawarcia traktatu pokojowego z Japonią i wycofania obcych wojsk z Japonii;

2) natychmiastowego przywrócenia pokoju w Korei na sprawiedliwych i rozsądnych zasadach;

3) zawarcia Paktu Pokoju pomiędzy pięcioma mocarstwami, rozbrojenia w skali międzynarodowej, zakazu broni atomowej, bakteriologicznej i innej broni masowej zagłady, potępienia mordów popełnianych na jeńcach wojennych;

4) zapewnienia wszystkim narodom niezawisłości narodowej i zaniechania polityki blokady;

5) zakazu uprawiania propagandy wojennej i nienawiści rasowej, zakazu stosowania dyskryminacji wobec narodów kolorowych, zaprzestania prześladowań ruchu w obronie pokoju.

Kongres powziął również rezolucję w sprawie stosunków gospodarczych, zwyczajając wszystkie narody krajów Azji i strefy Pacyfiku do popierania rozwoju międzynarodowej wymiany handlowej i nawiązania z wszystkimi narodami świata normalnych stosunków gospodarczych na zasadzie równości i wzajemnych korzyści. Rezolucja domaga się usunięcia wszystkich sztucznych barier w dziedzinie międzynarodowej wymiany handlowej.

Kongres uchwalił również rezolucję w sprawie międzynarodowej wymiany kulturalnej, proponując wymianę delegacji uczonych, pracowników technicz-

nych, pracowników sztuki, wykładowców, studentów, chłopów, robotników przemysłowych i chałupników. Rezolucja proponuje uroczyste obchodzenie dat doniosłych wydarzeń kulturalnych, organizowanie festiwałów, zawodów sportowych oraz zwoływanie konferencji działaczy kultury.

Najważniejszą uchwałą Kongresu jest jego orędzie do Organizacji Narodów Zjednoczonych. W orędziu tym czytamy między innymi:

„ONZ została stworzona, żeby uchronić ludzkość przed „biczem wojny”. Karta Narodów Zjednoczonych stwierdza, że ONZ powinna bronić pokoju i bezpieczeństwa całego świata, oraz zapobiegać agresywnym wojnom. Mimo to w ciągu 7 lat swego istnienia ONZ naruszała niejednokrotnie zasady swej Karty; nie wykonywała swych obowiązków i dopuściła do tego, by w jej imieniu prowadzono wojnę w Korei.

Karta Narodów Zjednoczonych stwierdza, że równość praw wszystkich narodów powinna być szanowana oraz uznaje prawo wszystkich krajów do niezależności narodowej i nietykalności ich praw suwerennych.

Mimo to ONZ naruszała niejednokrotnie tę zasadę, tolerując tłumienie ruchu narodowo-wyzwoleńczego w wielu krajach oraz dopuszczając do ingerencji pewnych państw w wewnętrzne sprawy innych i do naruszania suwerenności praw wielu krajów, jeśli chodzi o ich granice lądowe, morskie i powietrzne.

ONZ zobowiązała się, że przeprowadzi i że będzie kontrolowała redukcję sił zbrojnych w skali międzynarodowej, lecz nie uczyniła nic, ażeby to zobowiązanie wykonać. Przeciwnie, zezwoliła ona wielu krajom na zwiększenie na olbrzymią skalę zbrojeń i na prowadzenie przygotowań do wojny.

ONZ nie wykonała swych obowiązków w dziedzinie zapewnienia normalnych stosunków gospodarczych między krajami. Zamiast tego pozwoliła ona wielu krajom na wprowadzenie embargo i ustanowienie blokady w celu przygotowań do wojny“.

Orędzie Kongresu Obrońców Pokoju krajów Azji i strefy Pacyfiku proponuje: 1) ONZ winna potępić wszelką akcję, sprzeczającą z odrodzeniem militarystyki w Japonii i w Niemczech Zachodnich, oraz zawarte z Japonią i Niemcami Zachodnimi traktaty, mające na celu przygotowanie wojny. 2) ONZ powinna natychmiast doprowadzić do zawarcia rozejmu w Korei na słusznych i rozsądnych zasadach. Wszyscy jeńcy wojenni powinni być repatriowani zgodnie z postanowieniami Konwencji Genewskiej, a wszystkie obce wojska wycofane z terytorium Korei; naród koreański powinien otrzymać możliwość swobodnego rozstrzygnięcia własnych spraw.

3) ONZ powinna przedsięwziąć skuteczne kroki celem położenia kresu działaniom wojennym w Vietnamie i na Malajach.

Wysuwając dalsze postulaty pod adresem ONZ, mające na celu stworzenie na świecie normalnych stosunków pokojowych, Kongres stwierdza, że „*narody Azji i strefy Pacyfiku, przekonane o możliwości pokojowego współistnienia krajów o różnym ustrojach społecz-*

nych i różnym sposobie życia, wzywają wszystkie państwa należące do ONZ, by broniły zasad Karty i wprowadziły je w życie”. „*Tylko w takim wypadku — stwierdza Orędzie — ONZ zdoła odzyskać utracony autorytet i służyć skutecznie sprawie utrzymania powszechnego pokoju*”. Orędzie kończy się stwierdzeniem, że narody domagają się, aby ONZ uchroniła ludzkość przed „*biczem wojny*”.

Dla realizacji swoich uchwał Kongres Obrońców Pokoju krajów Azji i strefy Pacyfiku ustanowił stały Komitet Łączności z siedzibą w Pekinie.

Nie ulega wątpliwości, że prace Kongresu i jego uchwały znajdują silny odzew wśród setek milionów ludzi krajów Azji i strefy Pacyfiku i zmobilizują ich do jeszcze bardziej zdecydowanej walki w obronie pokoju i o wyzwolenie ludów, ujarzmionych przez imperializm.

Kongres Obrońców Pokoju krajów Azji i strefy Pacyfiku stanowił imponujący wstęp do Kongresu Narodów w Obronie Pokoju, który zbierze się w Wiedniu w grudniu br.

STEFAN LITAUER

W NASTĘPNYM NUMERZE:

**WIELKI KONKURS
NOWOROCZNY
Z NAGRODAMI**

TREŚĆ NUMERU:

PIERRE COT: Mobilizacja sił pokoju	2
Przed Kongresem Narodów	
FRYDERYK JOLIOT-CURIE: Nasz wspólny cel	5
Wolna Trybuna ludzi dobrej woli	8
— prof. JACQUES MADAULE	9
— prokurator ALFREDO OCCHIUTO	10
— senator UGO DELLA SETA	12
— szejik MOHAMMED AL ACHMAR	13
REVISOR: Szanse porozumienia	15
Prof. JOSEPH NEEDHAM: Prawda o wojnie bakterio- logicznej	21
JEAN R. CLEMENTIN: Perspektywy siódmej sesji ONZ	29
WILLARD UPHAUS: Inicjatywa 183	33
ROGER VAILLAND: Fellah zabiera głos	37
GERALD CAZAUBON: Demagogia i rzeczywistość	46
GORDON SCHAFFER: Naród angielski pragnie pokoju	53
MARIA ROSA OLIVER: O jedność Ameryki Łacińskiej	57
MULK RAJ ANAND: Nad brzegami Gangesu	62
MIGUEL ANGEL ASTURIAS: Sztuka Majów	71
ANTONELLO TROMBADORI: Malarstwo realistycz- ne na XXVI Biennale w Wenecji	77
Historia wojny w Vietnamie (II)	83
CZAO SZU-LI: Konserwatywna teściowa	90
JAN DĄBROWSKI: Dzieje jednej fabryki i jednego oszustwa	98
PAWEŁ JASIEŃCZA: Stare grody nad Huczwą	106
Prof. ZYGMUNT MŁYNARSKI: Tradycje przyjaźni polsko-niemieckiej	112
MARIAN PODKOWIŃSKI: „Nation Europa“ made in USA	116
NAUKI XIX ZJAZDU — Z przemówienia Bolesława Bieruta po powrocie z Moskwy do Warsza- wy 16.X.1952 r.	121
STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze	123

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: Defense de la Paix“, 3 rue Vivienne, Paris II-e.
Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.
Prenumerata: 12 numerów — 18 rbl., 6 numerów — 10 rbl.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.
Prenumerata: 12 numerów — 1000 lew, 6 numerów — 500 lew.

WŁOCHY: „La Pace“, „Rasse na internazionale del mese“,
Roma, Via Savoia 82. Prenumerata: rocznie — 1000 li-
rów, półrocznie — 550 lirów.

ALGER: „Difaa Aani Silm“, Alger, 1, rue Borely-la-Sapie
(adres prowizoryczny). Numer pojedynczy — 60 fr.
Prenumerata: rocznie 600 fr., półrocznie — 350 fr.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Juarez
20. Numer pojedynczy — 1 dol., prenumerata roczna —
10 dol.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.
Prenumerata: rocznie — 2 dol., półrocznie — 1 dol.

NRD: „Friedenswacht“, Mauerstrasse Berlin, W. 8.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“. Duesseldorf, Beet-
hovenstrasse 24.

JAPONIA: „Heiwa Yogo“, Japan Peace Committee c/o Bun-
ka Kogyo Kaikan, 12, 7-chome, Shiba, Shinbashi, Mi-
nato-ku, Tokyo. Prenumerata roczna — 720 jen.

AUSTRALIA: „Peace“, Victoria, Glen Iris 3, Rix Street.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19. Prenumerata: 12 numerów — 300 lei,
6 numerów — 150 lei.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro. Prenumerata: roczna —
Cr 50.00.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto. Prenume-
rata: rocznie — 1 dol., numer pojedynczy — 10 centów.

PODROŻ INFORMACJI CIEKAWIE I WZAJEMNE WIEDZĄ WYBRANEJ WIEDZY
ZAMIESZCZA ARTYKUŁY WYBITNYCH PUBLICYSTÓW ŚWIATA - GŁOŚNIŁO SIĘ W KILKUNASTU JĘZYKACH



CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE MIESIĘCZNIK
„W OBRONIE POKOJU”